

MACLEAN ALISTAIR

PIORUN Z NAVARONY

TYTUŁ ORYGINAŁU: THUNDERBOLT FROM NAVARONE

PRZEŁOŻYŁ: PIOTR ROMAN

Dla Hexa, Berty i Garlindy

PROLOG

Kapitan Helmholz, dowódca uzbrojonego frachtowca Kormoran, popatrzył na zegarek. Była dziesiąta pięćdziesiąt cztery i trzydzieści trzy sekundy. Zostało jeszcze dwadzieścia siedem sekund do przerwy na kawę, która na wyraźne żądanie kapitana zaczynała się na mostku dokładnie za pięć jedenasta. Helmholz był pedantem i być może właśnie dlatego mianowano go dowódcą okrętu, który w tej właśnie chwili płynął po Morzu Egejskim pod czerwono - czarną banderą Kriegsmarine z rysunkiem żelaznego krzyża i swastyką, wyprężoną jak deska w dmącym tu zawsze po południu meltemi. Przez wielkie okno na mostku widać było luki ładowni numer jeden i dwa, za nimi - na dziobnicy - działo, a na końcu nieco zardzewiały dziób, przebijający się przez krótką, wysoką falę. Morze przed nimi migotało niczym szafirowy kobierzec rzucony po horyzont, kłujący ,w oczy swą jaskrawością. Nad horyzontem widać już było cel kormorana - przypominał z powodu odległości granatową chmurę, choć gdyby okazał się chmurą, to bardzo twardą, były to bowiem góry na wyspie Kynthos. Wszystko szło jak należy: spokojnie, gładko, idealnie według planu. Helmholz ponownie popatrzył na zegarek.

Zostało jeszcze piętnaście sekund do wyznaczonego czasu, gdy rozległ się charakterystyczny dźwięk: pobrzękiwanie tacy z kawą. Kiedy przynosił ją Spiro, zawsze brzęczała. Spiro był Grekiem i miał słabe nerwy. Kapitan Helmholz uniósł głowę tak, by skierować gładko wygolony podbródek prosto na małego tłustego Greka; lodowate błękitne oczy dowódcy zrobiły zeza, jakby chciał zahipnotyzować czubek swego długiego, spiczastego nosa, w rzeczywistości jednak wbijał wzrok w stewarda i przyglądał się, jak nalewa kawę do filiżanek, a potem je rozdaje. Człowiek ten przenikliwie cuchnął, jego fartuch pozostawiał sporo do życzenia, twarz miał pokrytą warstewką potu - jeśli nie jakiegoś tłuszczu. Z niezwykłą dla siebie tolerancją Helmholz pomyślał, że bez względu na to, jak zdegenerowany jest ten południowiec, to robi dobrą kawę i przynosi ją punktualnie. Kapitan ujął w dłoń filiżankę, zbliżył ją do ust, rozkoszując się znakomitym zapachem i panującym na mostku napięciem podległych mu oficerów, którzy czekali, aż weźmie pierwszy łyk i da w ten sposób znak, że wolno pić. Helmholz udał zainteresowanie rozmazanym w oddali granatowym konturem gór Kynthos i czując, jak napięcie wokół rośnie, z przyjemnością pławił się w poczuciu, że panuje nad wszystkim, zarówno jeśli chodzi o sprawy ważne, jak i o drobiazgi.

Niecałe dwa kilometry dalej, w pełnej ludzi i najrozmaitszych maszyn stalowej rurze, brodaty mężczyzna nazwiskiem Smith, cuchnący znacznie gorzej niż Spiro, energicznie

przytknął oczy do gumowego obramowania binokularu peryskopu bojowego i spytał:

- No i co tam z przodu, Derek? Zwykły bałagan?

- Prawdopodobnie - odparł podobnie zarośnięty i jeszcze gorzej śmierdzący Derek. - Lont zapalony i jesteśmy gotowi.

- Znakomicie. No to wal!

Z przypominających oczy pająka komór torpedowych na dziobie okrętu podwodnego Jej Królewskiej Mości Sea Leopard wydobyła się chmura pęcherzyków powietrza, za nią wysunęła się szczupła i perfekcyjna w swej funkcjonalności sylwetka torpedy Mark 8. Obliczając w pamięci, w które miejsce rdzawobrazowego kadłuba frachtowca trafi torpeda, Smith stłumił nerwowe ziewnięcie, kolejny raz żałując, że nie może zapalić papierosa. Mieli przed sobą statek z trzema przedziałami wodoszczelnymi.

Następna rybka, którą wypuszczą, powinna trafić na wysokości mostka. To zapewne wystarczy.

- Wystrzel drugą - rozkazał kapitan. Nie co dzień trafiał się niemiecki uzbrojony frachtowiec, płynący samopas na końcu świata. Jak kaczka do odstrzału. - Pokręcimy się chwilę w pobliżu. Może mają trochę sznapsa.

- Oby - odparł Numer Dwa.

Poczucie Helmholza, że panuje nad wszystkim, skończyło się, zanim jeszcze przytknął filiżankę do ust. Jednym z największych paradoksów w jego życiu było to, że choć na morzu działał jak automat, wystarczyło, by dostrzegł ład, a natychmiast zaczynało go nękać zniecierpliwienie, niemożliwe do wytłumaczenia w kategoriach racjonalnych. Tak samo było teraz - nagle dostrzegł okiem wyobraźni obraz Kormorana, stojącego przy pirsie w Kynthos i rozładowującego wieziony fracht. Natychmiast spociły mu się wnętrza dłoni. Podróż bez eskorty była szaleństwem, posunięciem wbrew zdrowemu rozsądkowi... z drugiej jednak strony, tak bardzo brakowało samolotów do bezpośredniej obrony Rzeszy, że wycofano do Niemiec znaczną liczbę personelu naziemnego. W efekcie większość samolotów eskortowych, stacjonujących w regionie, stała popsuta na ziemi. Nie lepiej było z okrętami eskortującymi i dlatego Kormoran musiał przebijać się sam przez wietrzne, ciemnogrnatowe Morze Egejskie - z tak ważnym frachtem i przypadkową załogą...

Helmholz przystawił filiżankę do ust i w tym samym momencie zobaczył nad krawędzią białej porcelany coś straszego.

Przy sterburcie, na wysokości luku ładowni numer jeden, wytrysnęła w górę fontanna jasnopomarańczowego ognia. Luk ładowni wybrzuszył się i pofrunął niesiony wielką ryczącą kulą ognia w kierunku mostka, i z potężnym impetem huknął w jego okna. Była to ostatnia

rzecz, jaką zarejestrował umysł Helmholza, gdyż fala uderzeniowa z taką siłą wbiła mu filiżankę w twarz, że kawałki porcelany wyszły tyłem głowy. Od zmienionych w pociski filiżanek poginęli także pozostali znajdujący się na mostku oficerowie, choć z powodu manier panujących w trakcie przerwy na kawę zginęli od ran w klatkę piersiową. Prawdopodobnie Helmholza pocieszyłoby to, że na jego okręcie porządek panował do chwili ostatecznego odejścia.

- W dziesiątkę - stwierdził porucznik Smith. - A niech go, ale się pali!

Określenie „pali się” było o wiele za słabe. Jeśli nawet w słońcu nie czyhała eskorta, słup wznoszącego się w niebo czarnego dymu był lepszy od flary sygnalizującej „statek w niebezpieczeństwie”. Umysł Smitha niemal natychmiast zaczął pracować utartymi schematami: Sea Leopard był długo w zanurzeniu i choć mało prawdopodobne, że dojdzie do pogoni, należało się do niej przygotować, i to od razu.

- Chyba złapiemy łyk świeżego powietrza - oświadczył. - Do góry!

Niemal natychmiast jęknęły pompy i silniki, a HMS Sea Leopard zaczął sunąć ku powierzchni krystalicznie czystego morza. Wypłynęli w odległości kilkuset metrów od Kormorana. Słysząc było odgłosy z pogranicza trzasku i wybuchu - pękały szyby w bulajach. Biedne dranie, pomyślał Smith; określenie nie dotyczyło jedynie Niemców, odnosiło się do wszystkich uczestników tej wojny. Marynarze po obu stronach siedzieli w ciasnych stalowych pomieszczeniach, do których w każdej chwili mogła się wdrzeć woda.

- Idzie na dno - stwierdził Braithwaite, Numer Dwa.

Sea Leopard wyłonił się, zrzucając z siebie tony morskiej wody. Smith błyskawicznie wspiął się po drabince wieżyczki i wypadł na pokład. Morze było spienione i ciemnognatowe, silnie wiejący meltemi szarpał grzywy fal, nadając im kolor lodu. Błady płomień palącego się statku przechodził w słup czarnego dymu, który odpływał w stronę Kynthos. Okręt szybko tonął, dziobem w dół. Jedna torpeda uderzyła w przednią ładownię, druga pod mostkiem. Niezłe strzały - doszedł do wniosku Smith, równocześnie krzywiąc nos od unoszącego się w powietrzu ostrego zapachu. Nie była to ropa, ale znał zapach doskonale... tak pachniały piecyki w kabinach jachtów, którymi pływał po Morzu Północnym przed wojną. Był to zapach alkoholu, lecz nie sznapsa. Nad wodą unosił się zapach alkoholu technicznego, używanego jako paliwo.

Okręt podwodny sunął w kierunku wraka. Wśród śmieci na wodzie wokół tonącego „Niemca” Smith dostrzegł podłużne cylindry. Zabiło mu mocniej serce, zaraz jednak się uspokoił, ponieważ były za małe na torpedy. Przyjrzał się dokładniej - w wodzie pływały butle z gazem! Przyłożył do oczu oprawioną w grubą gumę lornetkę i popatrzył na butle. Na

każdej za pomocą szablonu namalowano: O₂. Tlen. Nie mogły się przydać nikomu do niczego.

W niebo wystrzelił płomień i rozległa się rozrywająca uszy eksplozja. Smith odruchowo się odwrócił, a kiedy znów popatrzył na storpedowany okręt, zobaczył, że woda pod nim mocno się pieni. „Niemiec” pękł w pół i obie części szybko i gładko zatoniły.

Wiatr rozwiął dym. Pomijając unoszące się na wodzie śmieci, morze było puste - przynajmniej na tyle, na ile było widać z trzymetrowej wieżyczki przy dwuipółmetrowej fali. Podoficer Jordan z pomocą dwóch marynarzy złapał na hak unoszącą się na wodzie skrzynkę i wciągnął ją na pokład.

- Części samolotowe - poinformował kapitana.

Smith był rozczarowany. Naprawdę miał nadzieję, że znajdą trochę sznapsa.

- Lepiej się stąd zabierajmy - rzucił krótko. Marynarze weszli pod pokład i został sam.

Sea Leopard skręcił na zachód, ku bardziej przyjaznym wodom Sycylii, i zaczął się oddalać od zajętej przez Niemców Kynthos. Smith przepatrywał fale, niestety nie było rozbitków. Szkoda, ale cóż, nie da się nic poradzić... Zanim skończył myśl, zobaczył na zawietrznej, na szczycie fali jakieś dwa kilometry od nich, coś, co wyglądało na wyciągniętą w górę rękę. Na wodzie pływał człowiek czy martwy przedmiot? Warto sprawdzić. Otworzył usta, by nakazać skręt o dziewięćdziesiąt stopni, w tym jednak momencie jego wzrok powędrował w górę. Na wspaniałym błękitnie dostrzegł cztery ułożone w kwadrat kropki. Samoloty.

Wcisnął klakson, zszedł z wieżyczki, wsunął się do luku i zatrzasnął za sobą pokrywę. Sea Leopard zaczął się zanurzać. Kormoran był kolejnym frachtowcem zatopionym w kolejnym ataku, ale teraz nadszedł czas na zajęcie się własnym bezpieczeństwem, by móc dalej niszczyć.

- Herbata! - krzyknął Smith. Zwykle pito ją na okręcie gdzieś między jedenastą a jedenastą trzydzieści. Kiedy rzucił okiem na zegarek, by zrobić wpis do dziennika, stwierdził, że jest jedenaście po jedenastej.

PONIEDZIAŁEK 18.00 - WTOREK 10.00

W Plymouth padał ciepły deszcz znad Atlantyku; spowijał mgiełką przyładek Hoe i rozmazywał kontury wychodzących na kanał La Manche kutrów torpedowych i stawiaczy min. Pierwsze godziny przymusowo spędzane w apartamencie na najwyższym piętrze hotelu Majestic upłynęły trzem mężczyznom na wyglądaniu przez okno, lecz już dawno temu przestali to robić. Teraz leżeli rozwaleni w fotelach wokół niskiego stolika, na którym stały dwie puste butelki brandy i trzy przepełnione popielniczki. Ich pierwsza młodość minęła już dość dawno, zostawili także za sobą drugą młodość, twarze mieli ogorzałe od słońca, a oczy zapadnięte od wyniszczającego bitewnego zmęczenia. Ubrani byli w polowe mundury koloru khaki bez jakichkolwiek naszywek. Pierwszy był potężny, o kruczoczarnych włosach, drugi - wysoki i chudy, a jego twarda szczeka i nieruchome oczy nasuwały na myśl przypuszczenie, że umie się znakomicie wspinać. Trzeci - również wysoki, szczupły i gibki, miał smętną minę, w rękę trzymał szklaneczkę brandy, a w ustach papierosa. To on pierwszy się odezwał:

- Nie jest to coś, co mógłbym nazwać wakacjami.

Nazywał się Miller, jeśli zaś chodzi o formalny stopień, był kapralem w korpusie zaopatrzeniowym armii amerykańskiej. Poza tym był specem od powodowania zniszczeń za pomocą materiałów wybuchowych, najlepszym we wszystkich alianckich armiach.

Ten, który wyglądał jak alpinista, skinął głową, zapalił papierosa i zajął się własnymi myślami. Patrząc na niego nietrudno było sobie wyobrazić, że w razie potrzeby umiałby czekać bez końca - tak doskonale nad sobą panował. Nazywał się Mallory i był kapitanem, sławnym przed wojną nowozelandzkim wspinaczem wysokogórskim; od początku wojny zaszkodził armii Hitlera bardziej niż brygada gwardii.

- Zawsze to lepsze od serii z karabinu maszynowego... - mruknął.

Miller zastanowił się.

- Też tak sędzę - stwierdził, ale nie wyglądał na przekonanego.

- Niedługo na pewno znów coś nam znajdą - powiedział wielki. Miał grecki akcent i basowy, choć łagodny głos. Po tych słowach w pokoju zapadła kompletna cisza. Przypominał nieco niedźwiedzia z zaspanymi oczami, nazywał się Andrea i miał tak ciemny zarost, że stale sprawiał wrażenie nie ogolonego. Właśnie odrastały mu wąsy. Wyglądał jak najpodlejszy bandzior - rozleniwiona i zniszczona rozpustą góra mięsa - a wrażenie to zwiodło niejednego wroga, który stanął mu na drodze - zazwyczaj pomyłki takie kończyły się śmiertelnie. W

rzeczywistości Andrea był pułkownikiem greckiej armii; jego siłę można było porównać z siłą niewielkiego dźwigu, ale poruszał się szybko i lekko jak kot, a rozumem i sprytem nie ustępował najbardziej renomowanym edynburskim adwokatom. Kiedy się odzywał (co zdarzało się nieczęsto), zawsze uważnie go słuchano. - Myślą, że jesteśmy szpiegami. Sądzą, że poszliśmy na układ i zwialiśmy. To nawet nie pozbawione logiki podejrzenie. Macie o to do nich żal?

Miller pociągnął ze szklaneczki.

- Kazali nam wysadzić działa Nawarony i wysadziliśmy je. Kazali nam zniszczyć tamę na Neretwie i tama wyleciała w powietrze. Posłali nas, by coś zrobić z łodziami podwodnymi Werwolfu i łodzie zostały zniszczone. - Jego pociągła twarz miała bardzo smętny wyraz. - Teraz powiedzieli, że mają nową robotę, zdjęli nas w Zatoce Biskajskiej, przewieźli kawał drogi do Plymouth i dla zademonstrowania zachwytu nami, zamknęli nas w zapchlonym hotelu i postawili przy drzwiach strażników. - Rozkaszał się długim i ciężkim kaszlem. - Tak, mam do nich żal.

- Od akcji na okręty Werwolfu cały czas było stuprocentowe zachmurzenie - odparł Mallory. - Nie mogli zrobić zdjęć z powietrza, nie dostali także potwierdzenia z niezależnej strony. A jeśli pamiętasz, robota nie była łatwa.

- Pamiętam - stwierdził ponuro Miller.

- Popatrz więc na to nieco inaczej. Zamknęli nas tutaj, bo nie są w stanie uwierzyć, że dotarliśmy do celu. My jednak wiemy, jak wygląda prawda, więc to my mamy rację, a oni się mylą i kiedy to do nich dotrze, bardzo pięknie przeproszą. W sumie więc takie traktowanie to komplement.

- Nie potrzebuję komplementów - odparł Miller. - Potrzebuję paru drinków, czegoś przyzwoitego do jedzenia i trochę damskiego towarzystwa. Na Boga, przecież Jensen wie, co możemy. Dlaczego nic im nie powiedział?

Andrea złożył dłonie.

- Kto wie, co Jensen naprawdę zamyśla?

Na chwilę zapadła cisza. Przerwał ją Mallory.

- Moim zdaniem powinniśmy do niego iść i porozmawiać.

- Jasne - parsknął Miller. - Bardzo zabawna propozycja. Na schodach jest ze trzydziestu ludzi.

- Ale nie zauważyłem żadnego na parapecie okna - odparł Mallory.

Na twarzy Millera natychmiast pojawił się wyraz przerażenia.

- O nie... - jęknął.

Andrea uśmiechnął się - był to pełen radości i słodczy niewinny uśmiech.

- Dziesięć po szóstej kapitan Jensen pije w kantine koktajl. Kantina jest w piwnicy tego budynku, a właśnie mamy pięć po.

- Skąd wiesz?

- Popatrzyłem na zegarek.

- Mam na myśli to, kiedy pije koktajl.

- Pracuje tu pokojówka z Roumeli - zagruchał Andrea. - Rozmawiałem z nieszczęsną dziewczyną. Była bardzo zadowolona... Gotowi?

Mallory otworzył okno i pokój natychmiast napełnił się wilgotnym powietrzem. Oparł dłoń na zewnętrznym parapecie i popatrzył w dół fasady.

- Dziecko by sobie poradziło - stwierdził. - Spadamy.

Bar koktajlowy hotelu Majestic w Plymouth stał się w latach trzydziestych modnym miejscem spotkań - głównie dlatego, że był jedynym w mieście barem koktajlowym, a poza tym bawiono się w tym mieście w lokalach znacznie mniej nobliwych i nie tak spokojnych. Okazało się, że budowniczowie nieświadomie wzniesli go w miejscu jakby specjalnie stworzonym na czas wojny. Otóż bar hotelowy znajdował się prawie cały pod ziemią, co pozwalało w nim przebywać, nie będąc nękanym przez niemieckie bomby, które zrównały z ziemią dużą część miasta, do tego bliskość portu marynarki wojennej dawała barmanowi - bystremu dewończykowi imieniem Enrico - dostęp do niewyczerpanych źródeł dżinu, który był tak samo niezbędnym paliwem okrętów bojowych Jej Wysokości jak bardziej konwencjonalna ropa naftowa.

O szóstej w lokalu znajdowała się zwykła klientela: rozmawiający ściszone głosami mężczyźni, głównie w mundurach, o twarzach wymizerowanych z przepracowania i braku ruchu. Pięć po szóstej wszedł i ruszył do swego stałego stolika kapitan Jensen, niewysoki mężczyzna w mundurze marynarki wojennej ze złotymi kapitańskimi otokami na rękawach. Miał sardoniczny uśmiech i zadziwiająco łagodne spojrzenie, które jednak - kiedy nikt go nie obserwował - nabierało wyrazu charakterystycznego dla bardziej żarłocznych rekinów. Przybył z nim korpulentny mężczyzna o rumianej twarzy, ze zwisającym z epoletów grubym admirańskim sznurem.

- ...okręty podwodne to sprzęt dla tchórzy - mówił właśnie admirał. - Moim zdaniem są przeceniane. - Dopił do dna różowy dżin i kazał sobie przynieść następny.

- Naprawdę? - spytał Jensen i wziął mikroskopijny łyk ze swojej szklaneczki. - Ciekawy punkt widzenia.

- Na pewno niemodny - odparł admirał Dixon. - A moda to kapryśna pani, prawda?

Jedyne, co się liczy, to pancerniki, powiem panu, a reszta to... cóż... okręty podwodne, lotniskowce... dziś są, jutro ich nie ma.

Jensen grzecznie uniósł brew. Rysy admirała były nieco zmiękczone alkoholem. Przybył on do Plymouth niedawno, a został mianowany dowódcą Grupy Operacji Specjalnych Regionu Morza Śródziemnego, by pozbyć się go z mniej rozległych akwenów, zanim zdąży narobić poważnych szkód. Jensen sam interesował się obszarem Morza Śródziemnego i sam wymyślił oraz prowadził tu kilka operacji specjalnych. Założenie, że nie jest zachwycony mianowaniem na jego bezpośredniego dowódcę takiego bufona i matola rodem z biurka, jak Dixon, było logiczne, niczego jednak nie dał po sobie poznać. Jensen był subtelnym człowiekiem, co na własnej skórze poczuło wielu jego wrogów. Na podstawie informacji pochodzących od Jensena dwie japońskie dywizje piechoty walczyły ze sobą trzy krwawe doby, przy czym dowódcy każdej byli przekonani, że przeciwnikiem Orde Wingate*. Kierując się mapą sporządzoną na podstawie danych pochodzących od agentów Jensena, w bagnach Prypeci zniknęła bez śladu niemiecka dywizja pancerna. Od początku wojny agenci Jensena byli niezawodnymi dostawcami cygar dla najważniejszego człowieka w Anglii. Jensen maczał palce „we wszystkim”. Choć bardzo go interesował rozwój własnej kariery, jeszcze bardziej interesowało go to, kto wygra wojnę. W obu sprawach był bezlitosny - fakt ten zaniepokoiłby zapewne człowieka nieco inteligentniejszego niż Dixon.

Niestety Dixon nie widział świata poza tym, co dyktowało mu ogromne poczucie własnej ważności. Ponadto mógł myśleć tylko o jednej rzeczy naraz, a w tej chwili był nią dzin.

- Jakie to miłe, móc się napić po ciężkim dniu w biurze... - westchnął admirał i zamachał, by przyniesiono mu trzeci „różowy koktajl”.

- Widziałem zdjęcia dokumentujące wynik akcji przeciwko okrętom podwodnym Werwolfu - powiedział Jensen. - Pełen sukces.

- Tak, tak... Gdzie ta kelnerka?

- Czy mógłby pan wydać rozkaz zwolnienia moich ludzi?

- Jakich ludzi?

- Tych, których kazał pan zamknąć w kwaterze.

- Jutro, na Boga! W godzinach urzędowania.

- Może zasłużyli sobie na nieco wolności przed następną misją.

* Oficer brytyjski; jako dowódca sił brytyjskich w Burmie (1942 - 1944) stworzył metodę partyzanckiej walki w dżungli (przyp. tłum.).

- Będą robić, co im każę. Kelnerka!

Z niedużej, wyrazistej twarzy Jensena nie zniknął wyraz łagodności, lecz narastało w nim przeczucie, że zaraz coś się zdarzy. Dobrze znał Mallory'ego, Millera i Andreę - w końcu sam ich wybrał spośród najlepszych z najlepszych. Wiedział, że nie tylko są znakomitymi żołnierzami, ale także nie przypominają podwładnych, do jakich był przyzwyczajony admirał. Zamykanie ich w pokoju hotelowym pod strażą tylko dlatego, że nie miało się wyobraźni pozwalającej pojąć zdumiewający sukces ich misji, było głupim posunięciem. Mallory, Miller i Andrea nie byli przyzwyczajeni do bezpośredniego kontaktu z dowódcami, choć oczywiście wypełniali rozkazy w najdrobniejszych szczegółach. Jensen naprawdę miał wrażenie, że zaraz coś się wydarzy. Przy wejściu powstało jakieś zamieszanie...

Hotel Majestic mieścił się w budynku, którego front przecinały liczne poziome ornamenty i gzymsy, na dodatek był ozdobiony mocno wypukłymi płaskorzeźbami, przedstawiającymi kiście owoców. Wystawiwszy głowę na zewnątrz, Mallory głęboko wciągnął wilgotne morskie powietrze i popatrzył na znajdującą się dwa okna dalej drabinkę pożarową. Potem spuścił się z parapetu na „śliwki” z piaskowca, zdobiące okno piętro niżej. Chwilę odpoczął, a następnie skoczył na sąsiednią kiść. Miller zaklął w duchu, wziął głęboki wdech i poszedł jego śladem. Sześć pięter niżej, na podwórku zastawionym pojemnikami na śmieci, polował kot wielkości pchły. Miller postawił stopę na śliwkach, wziął kolejny głęboki wdech i skoczył na następny występ. Miał on nie więcej niż piętnaście centymetrów szerokości, ale Mallory wylądował na nim tak miękko, cicho i pewnie, jakby był to pokład lotniskowca. W oczach Millera występ nie był szerszy niż powieka dziecka. Skoczył i nagle wyszło mu w ustach. Poczuł, jak but dotyka podłoża, duży palec łapie grunt, zaraz jednak zaczyna się ześlizgiwać. Gwałtownie skurczył mu się żołądek i kiedy balansował na krawędzi, by zaraz spaść w dół, w głowie kołatała mu się tylko jedna myśl: Nawarona, Jugosławia, Pireneje... a wszystko miało się skończyć w hotelu Majestic w Plymouth. Cóż za ironia losu...

W tym momencie jego nadgarstek chwyciła twarda jak stal dłoń i tuż przy uchu rozległ się głos Mallory'ego:

- Trzymaj się.

Upłynęła sekunda i Miller stał pewnie na występie, oddychając głęboko, by spowolnić łomotanie serca. Nagle wywiały mu z głowy opary alkoholu i dym z papierosów i aż fizycznie poczuł, jak zaskakuje w nim jakiś mechanizm - jakby był samonakręcającą się maszyną, która rusza w drogę zgodnie z tym, do czego została stworzona. Wahanie zniknęło, myśl i działanie stały się jednością.

Przeskoczył dwa następne występy bez zatrzymywania się i po dotarciu na miejsce spojrzął za siebie. Andrea płynął po fasadzie niczym gigantyczny cień i po kilku sekundach wylądował lekko jak piórko tuż obok. Kiedy zaczęli schodzić po drabince, automatycznie zwiększyli odstęp, odruchowo wykonując schematy wypracowane podczas ostatnich wspólnie spędzonych tygodni. Ubezpieczali się nawzajem, każdy szedł tak, jakby się krył... Panowie wybrali się na drinka.

Jeszcze kilka sekund i zeskoczyli na ziemię, przetruchtali wąską alejką do frontowej części hotelu, wbiegli szerokimi schodami do wejścia i znaleźli się w foyer. Mężczyzna za ladą recepcji natychmiast dostrzegł dziwną trójkę w połowych mundurach bez naszywek, a ponieważ nie od dziś był portierem, umiał wyczuć kłopoty, kiedy się zbliżały. Na tle nieskazitelnie ubranych oficerów ci trzej rzucali się w oczy jak wilki na pokazie pudli. Mieli zabłocone buty, podbiegłe krwią oczy i poruszali się w taki sposób, że natychmiast zamarzył, by sobie pójść i znaleźć się gdzieś bardzo daleko. W jego głowie rozdzwoniły się alarmowe dzwonki. Najpierw pomyślał: Dezerterzy, do tego niebezpieczni. Nie przyszło mu do głowy, że dezerterzy wolą się nie pojawiać w eleganckich hotelach, ale widok przybyszy powodował, że nie umiał zbyt logicznie wnioskować. Wyciągnął dłoń do telefonu. Numer żandarmerii znał na pamięć.

Podał telefonistce numer, kiedy jednak podniósł głowę, okazało się, że dziwaczna trójka zniknęła. Był przekonany, że ci mężczyźni więcej nie wrócą, i z ulgą starł chusteczką pot z czoła. Nie zdążyli narobić kłopotów, nie uda im się minąć strażników stojących u wejścia do baru koktajlowego. Kazał telefonistce nie łączyć i odłożył słuchawkę.

W rzeczywistości trzej intruzi nie tylko nigdzie sobie nie poszli, ale także minęli strażników. Stało się to mniej więcej tak: trójka w bojowych mundurach bez naszywek próbowała uzyskać dostęp do baru. Kiedy nie wyrażono na to zgody, jeden z przybyłych rozkazał stróżom porządku stanąć na baczność i (choć z powodów, których strażnicy nie do końca pojmowali) wykonali polecenie. Drugi z przybyłych - olbrzym z kręconymi kruczoczarnymi włosami - odebrał im broń z taką pewnością, z jaką ojciec zabiera marudnemu dziecku niebezpieczną zabawkę, a trzeci - po rzuceniu kilku niepochlebnych uwag na temat wyglądu strażników i stanu ich broni - przemaszerował za dwoma towarzyszami przez święty portal.

Po kilkunastu sekundach wbijania gał w zamknięte drzwi, strażnicy uświadomili sobie, że nie dopełnili swych obowiązków. Z drugiej jednak strony, nie była to ich wina, od początku bowiem nie mieli szansy opanowania sytuacji, co mimo wszystko nie miało chyba widoków na uznanie przez sierżanta za okoliczność łagodzącą. Cóż, dali plamę jak złoto.

Otworzyli więc drzwi i weszli do baru.

Choć w powietrzu unosił się gęsty dym, natychmiast dostrzegli swą zwierzynę. Cała trójka stała przy niewysokim kapitanie marynarki wojennej... na baczność. Kapitan popatrzył w kierunku strażników i machnął ręką, by sobie poszli.

- No, proszę, spłoszyliście konie - powiedział łagodnie do stojącej przed nim trójki.

- Pomyśleliśmy sobie, że wyskoczymy na drinka - odparł Mallory.

Jensen uniósł brew. Ten drobny ruch zdawał się oznaczać: „Trzydziestu komandosów i ominęliście wszystkich?”.

- Zeszliśmy po drabince pożarowej - dodał Mallory. - Bardzo chciało nam się pić.

W głowie admirała Dixona zaczęło kiełkować podejrzenie, iż dzieje się coś nieprzewidzianego. Nie oczekiwał, że wieczorem będą go nachodzić żołnierze - zwłaszcza tak niechlujni jak ci, na dodatek bez stopni wojskowych. Jeszcze bardziej zdziwiło go, gdy kapitan Jensen oznajmił:

- Świetnie. Jeśli już jesteście, to powiem, że dotarli do nas zdjęcia. Pełen sukces. Dobra robota. Odprawa o dwudziestej trzeciej zero zero.

Głosem, jaki mógłby wydać z siebie - gdyby mówił - topniejący lodowiec, admirał Dixon zapytał:

- Kim są ci ludzie?

- Przepraszam - odparł Jensen. - Kapitan Mallory. Kapral Miller. Pułkownik Andrea, armia grecka, dziewiętnasty pułk zmotoryzowany. Admirał Dixon, dowódca Grupy Operacji Specjalnych Regionu Morza Śródziemnego.

Admirał wbił podobne do kulek agrestu oczka w trójkę przybyszy. Miller obserwował żyły na jego karku i zastanawiał się, jakie ciśnienie wytrzymuje naczynie krwionośne, zanim pęknie.

- Dlaczego są nieodpowiednio ubrani? - spytał admirał.

- To faktycznie haniebane - rzekł Jensen poważnie - ale z pewnością pamięta pan, że właśnie zakończyli misję. Zamknięto ich w kwaterze z powodu podejrzenia o współpracę z wrogiem, nie mieli więc okazji wyskoczyć na Saville Row. Sądzę, że w świetle raportów wywiadowczych o efekcie ich misji możemy uznać tych panów za niewinnych. Oczywiście, jeżeli nie uważa pan, iż niezbędne jest oficjalne śledztwo?

- Uhhmm... - mruknął admirał, którego twarz przybrała malwowy kolor. - Misja czy nie misja, nie mogę pozwolić, by tego typu absurd...

- Ściany mają uszy, admirale - przerwał mu spokojnie Jensen. - Na dwudziestą trzecią wyznaczył pan odprawę. Wtedy będzie czas wszystko omówić. No, a teraz, panowie... coś do

picia?

- Już myślałem, że nigdy pan nie zapyta - stwierdził Miller.

Tuż obok czekała kelnerka i Jensen złożył zamówienie. Po chwili trzej mężczyźni unieśli szklaneczki do Jensena, potem do admirała.

- Pomyślności - wznosił toast Miller.

- Przyda się - odparł Jensen.

Admirał burknął niewytownie pod nosem. Dopił drinka i odszedł.

- Panowie, jesteśmy z was bardzo zadowoleni... przynajmniej większość z nas - powiedział Jensen i uśmiechnął się swym charakterystycznym promiennym uśmiechem przywodzącym na myśl drapieżnika, który zaraz pożre swą ofiarę. - Ktoś po was przyjdzie za piętnaście jedenasta. Do tego czasu życzę miłych snów.

- Snów? - zdziwił się Miller. Nie było jeszcze siódmej.

- Uważam, że przed ciężką pracą zawsze dobrze jest się nieco przespać.

- Pracą? - spytał Mallory, niestety pytanie było skierowane w przestrzeń, bo Jensen właśnie odchodził. - To co? Łóżko czy drinki?

Andrea wyciągnął rękę z pustą szklaneczką i oświadczył:

- Spać można w samolocie.

- No to do drinków! - ucieszył się Mallory.

Przejechali przez zaciemnione Plymouth samochodem kierowanym przez podporucznika, który prowadził tak, jakby startował w rajdzie ulicznym. Miasto sprawiało wrażenie drżącego wielkiego, tajemniczego zwierzęcia. Przemknęli przez nie wiadomo ile głębokich kałuż, rozpryskując wysokie fontanny wody, i roztrącili niezliczone sterty śmieci, aż w końcu dotarli do wysokiej bramy z siatki, pilnowanej przez wartowników w mundurach marynarki - grubych płaszczach i spodniach zapinanych na brzuchu na guziki.

Za bramą widać było ciemny przysadzisty budynek, przed którym ułożono osłonę z worków z piaskiem. Wartownik wprowadził ich przez chronione grubymi stalowymi drzwiami wejście do holu cuchnącego środkami dezynfekcyjnymi, skąd w dół biegły schody - jedne, drugie, trzecie. Mallory miał wrażenie, że wali mu się na plecy panująca wokół cisza i coraz grubsza warstwa ziemi. Nagle poczuł, jak bardzo jest zmęczony, potwornie, aż do bólu, zmęczony dwoma miesiącami nieustannych operacji specjalnych oraz tym, co działo się podczas poprzedzających je miesięcy...

Nie czas był jednak na zmęczenie, gdyż z ciężkim odgłosem otworzyły się przed nimi kolejne stalowe drzwi i znaleźli się w pomalowanym na zielono i waniliowo pomieszczeniu bez okien. Stało tu kilka krzeseł, na ścianie wisiała tablica. Wszystko było anonimowe - nic w

pokoju nie informowało o tym, w co mają zostać zaangażowani. Czekają na nich trzech oficerów marynarki o młodych, ogorzałych od wiatru twarzach. W pewnym oddaleniu siedział jeszcze jeden mężczyzna. Był szczupły i sprawiał wrażenie gibkiego, a jego perfekcyjnie skrojoną bluzę mundurową zdobił skośny pas, świadczący, że jest oficerem. Palil pachnącego tureckim tytoniem papierosa, spod nadmiernie długich rzęs spoglądał na wiszącą naprzeciw niego instrukcję pożarową i głaskał cienki wąsik. Na jego widok Mallory pomyślał o Hollywoodzie. Trzydzieści metrów pod ulicami Plymouth spotykało się dziwnych ludzi...

Do środka weszli admirał Dixon i kapitan Jensen, rozległo się szuranie krzeseł i wszyscy stanęli na baczność.

- Dobry wieczór - zaczął Jensen. - Spocznij. Wolno palić.

Dixon zdawał się nie dostrzegać obecnych i zwał się ciężko na krzesło. Miał szkliste oczy i z trudem oddychał - prawdopodobnie z wysiłku po zejściu po wielu schodach. Mallory pomyślał, że jeśli tak ciężko mu się schodziło, to na górę trzeba go będzie chyba wnosić. Jensen wyglądał świeżutko jak poranna rosa. Uniósł piętę i stanął na przygiętych lekko kolanach, gotów do działania niczym bokser wagi koguciej, i czekał, aż ordynans rozwinie przymocowaną do tablicy mapę.

W kontury tej mapy wpisany był ich los. Pokazywała trzy palce Peloponezu, błękitne morze, Kretę, Dodekanez i Cyklady rozrzucone jak garść kamyków. W większej skali przedstawiona była jedna z wysp, nie rozpoznawał jej jednak. Kiedy popatrzył na Andreę, spostrzegł, że Grek wpatruje się w jej kontur, mocno marszcząc czoło.

- Bardzo dobrze... - stwierdził Jensen, kiedy ordynans skończył. - Chcę powiedzieć, że mam dla was robotę... tak naprawdę to robótkę. Podejrzewam, że troszkę trzeba się śpieszyć, ale cóż, nic na to nie poradzimy.

- Śpieszyć się? - spytał Mallory.

- Wszystko w swoim czasie - odparł Jensen. - Po kolei. Admirała Dixona już znacie. Panowie... - tu zwrócił się bezpośrednio do Mallory'ego, Millera i Andrei - pewni ludzie są bardzo zadowoleni z tego, co osiągnęliście w zeszłym tygodniu... - na te słowa admirał Dixon pokręcił głową i westchnął - tak bardzo zadowoleni, że chcą, byście zrobili coś jeszcze. Trzeba przyznać, że prawdopodobnie coś znacznie łatwiejszego - powiedział i odwrócił się do mapy za plecami.

Miller wsłuchiwał się w szum wentylatorów. Jensenowi nietrudno było mówić, że coś jest łatwe... nie do niego w efekcie strzelano. Miller wątpił, czy kapitan w ogóle rozumie znaczenie tego słowa.

Centralna mapa ukazywała pojedynczą wyspę, otoczoną szerokimi połaciami morza.

Miała ona kształt podobny do narysowanego przez dziecko żuka: pękaty korpus o owalnym konturze, z umocowaną w północno - wschodniej części głową na wąskiej szyi.

- Kynthos - wyjaśnił Jensen. - Przemile miejsce. Wspaniałe plaże. Bardzo mało Niemców, choć ci, którzy tam przebywają, są naszym zdaniem dość interesujący.

Mallory i Miller opadli ciężko na krzesła. Jeśli o nich chodziło, to jedynymi interesującymi Niemcami byli ci, którzy znajdowali się kilkaset kilometrów od nich. Andrea w dalszym ciągu siedział wyprostowany, a jego oczy żarzyły się gorącym blaskiem. To, co Niemcy zrobili jego ojczyźnie, było bardzo złe, ale nie tak złe jak to, co zrobili jego rodzinie rozrzuconej po całej Grecji. Andrea uważał możliwość kontaktu ze wszystkimi Niemcami za bardzo interesującą.

- Zacznę od początku - kontynuował Jensen. - W zeszłym roku zbombardowaliśmy nad Bałtykiem miejsce zwane Peenemunde. Wygląda na to, że Niemcy budowali tam bomby wystrzeliwane za pomocą raket i choć trafiliśmy jedynie na partackie egzemplarze, kretyńsko skonstruowane koszmary, domyślamy się, że produkt końcowy wygląda nieco inaczej. Niemcy nazywają go A3. Jeśli panowie są w stanie uwierzyć, rakietą ma być wystrzeliwana w zewnętrzne warstwy atmosfery i spadać na ziemię... BABACH... szybciej od prędkości dźwięku. Wywali w celu dziurę, zanim ktokolwiek usłyszy, że nadlatuje. Znakomita broń przeciwko cywilom. - Mallory przyglądał się uważnie Jensenowi, czy nie dostrzeże w jego minie śladów ironii, ale nic takiego nie widział. - Spodziewamy się, że broń zostanie użyta lada dzień. No i jeszcze jedno: podobno istnieje większa wersja, z większym ładunkiem, o większym zasięgu, bardziej niebezpieczna, dobra do użytku przeciwko oddziałom. Jakież pytania?

- Po co strzelać tak wysoko w atmosferę? - spytał Miller.

- Im większy ma być zasięg, tym wyższa musi być trajektoria.

- Trzeba sporej siły, by wynieść coś tak wysoko.

Jensen uśmiechnął się.

- Brawo, Miller. Tak więc uważamy, co następuje: po wejściu w wysokie warstwy atmosfery za pomocą A3 zabraknie tlenu do spalania paliwa, muszą więc przygotować zapas. Sądzymy, że paliwem jest mieszanka alkoholu i płynnego tlenu. Jeden z naszych okrętów podwodnych niedawno zatopił pod Kynthos statek i kiedy się wynurzył, by... eee... poszukać rozbitków, załoga znalazła butle z tlenem i czuła wszędzie smród alkoholu.

- Sznaps... - westchnął Miller.

Jensen uśmiechnął się, tym razem jednak z jego miny zniknęło nawet udawane ciepło. Śnieżnobiałe zęby lśniły jak kryształy lodu.

- Dziękuję, kapralu - stwierdził krótko. - Jeśli to wszystko, przekażę was porucznikowi... hm... Robinsonowi.

Porucznik Robinson był wysokim, zgarbionym mężczyzną. Nosił okrągłe szklkowe okulary i sprawiał wrażenie pedanta.

- Dziękuję - powiedział ze skinieniem głowy do Jensena. - Hmm... Kynthos. Typowo wezuwiańska budowa wulkaniczna, bardzo podobna do wyspy Santorini - bazalt, pumeks, tuf, z centralną asymetryczną strefą osadową...

- Porucznik Robinson wykładał w Cambridge geologię - wyjaśnił Jensen. - Jeszcze raz, jeśli byłby pan łaskaw, poruczniku. Zrozumiałe.

Robinson zaczerwienił się po skraj włosów.

- Kynthos jest... hm... górzysta. Bardzo górzysta. Na południowo - zachodnim skraju, na niewielkim aluwialnym płaskim fragmencie wyspy znajduje się miasto, właściwie wieś, Parmatia. Wychodzące stamtąd drogi przecinają wysoką plażę... - popatrzył niespokojnie na Jensena, uznał jednak, że może kontynuować - i biegną wzdłuż wybrzeża, głównie na czymś w rodzaju półki na grzbiecie klifu. W centrum wyspy nie ma dróg nadających się do poruszania się pojazdami zmechanizowanymi. Na północny wschód od masywu górskiego znajduje się druga, znacznie mniejsza wyspa, Antykynthos, połączona z większą wyspą granią utworzoną z produktów wietrzenia materiału skalnego i naniosu aluwialnego... - Jensen chrząknął, więc porucznik poprawił się: - ...płaskim kawałkiem bagnistego łądu. Mniejsza wyspa też jest skalista, stanowi coś w rodzaju korka zatykającego krater wulkaniczny, co oznacza, że również jest zbudowana z bazaltu i tufu. Mieści się na niej stary turecki fort i są także ruiny wioski, którą miejscowi nazywają Akropolem. Na Antykynthos od niepamiętnych czasów jest port, ale ostatnio bardzo go rozbudowano, poprawiono znacznie łądowisko. W opinii znajdujących się na wyspie naszych... hm... kontaktów, powstało tam coś na kształt fabryki. - Wyjął z kartonowej teczki fotografię i umieścił ją w znajdującym się na podwyższeniu episkopie. Na ekranie pojawiła się pulchna, łagodna twarz mężczyzny o grubych powiekach, nieco zasłoniętych okularami w drucianych oprawkach. - Sigismund von Heydrich, ranny w czasie bombardowania Peenemunde - wyjaśnił Robinson. - Bardzo utalentowany balistik... - kolejne spojrzenie na Jensena - to znaczy specjalista od budowy rakiet. Widziano go, jak wsiadał w Trieście do samolotu, który wylądował na Kynthos. W jaskiniach pod Akropolem zbudowali warsztaty, są chronione przez niewielki oddział wojska. O ile się orientujemy, jest tam kilka plutonów Wehrmachtu, nic wielkiego.

Jensen wstał i powiedział:

- Dziękuję, poruczniku. - Robinson wyglądał na rozczarowanego, jakby jeszcze nie

zamierzał kończyć. - A więc tak to wygląda. Naprawdę bardzo prosta mała operacja. Chcemy, byście wylądowali na Kynthos i przeprowadzili rozpoznanie na terenie tego Akropolu. Zostaniecie za chwilę poinformowani o V4, jak Niemcy nazywają te urządzenia. Jeżeli znajdziecie jakiś ich ślad, chcielibyśmy się ich pozbyć - nalot bombowy da się zorganizować, jeśli jednak schowali fabryczkę głęboko pod ziemią, to mamy, Miller, pełne zaufanie, że zdoła pan zniszczyć szczęśliwe gniazdko. Pytania?

- Tak, sir! - powiedział Mallory. - Wspomniał pan, że mamy kogoś na wyspie.

- W pewny znaczeniu tego słowa - odparł Jensen. - Mieliśmy tam przekaźnik.

- Słucham?

- Komunikaty skończyły się tydzień temu. Może Niemcy namierzyli sprzęt, może ktoś go upuścił na ziemię. Słyszał pan, to strasznie kamienisty teren.

Mallory popatrzył na Millera i dostrzegł w jego minie rezygnację, jaką czuł sam. Jensen nigdy by ich nie wysłał na łatwą akcję.

- No i oczywiście, na wypadek gdyby potrzebna wam była pomoc, będziecie mieli Carstairsa. Jeśli macie jeszcze jakieś pytania, to proszę teraz, bo musimy zaraz przejść do szczegółów.

- Kto to jest Carstairs? - spytał Miller.

- Boże drogi... - westchnął Jensen. - Nikt wam nic nie powiedział? Cóż za niedopatrzenie... Może admirał Dixon będzie miał zaszczyt. Admirale?

Dixon wstał z trudem.

- Kapitanie Carstairs, proszę się przedstawić - powiedział z miną świadczącą o zadowoleniu z siebie.

Mężczyzna w eleganckim mundurze wstał i zasalutował. Miał brązowe, sfalowane włosy i wąsy przycięte w tak cienką kreskę, że przypominały brwi zaraz po regulacji.

- Witam panów - powiedział nonszalancko.

- Kapitan Carstairs jest specjalistą od budowy rakiet, ma także doświadczenie w prowadzeniu operacji specjalnych - wyjaśnił admirał. - Przed wojną prowadził ekspedycje w górę Nigru i po Mato Grosso. Przeleciał nad obydwoma biegunami i wszedł zachodnim wejściem na Nanga Parbat.

Andrea popatrzył kątem oka na Mallory'ego, który niemal niewidocznym ruchem pokręcił głową. Oznaczało to: „Nigdy o nim nie słyszałem”.

- O rany! - wyrzucił z siebie Miller.

Admirał popatrzył na niego z naganą, ale oczy Amerykanina błyszczały prawdziwym szacunkiem.

- Z przyjemnością więc oznajmiam, że kapitan Carstairs będzie idealnym dowódcą tej ekspedycji - stwierdził admirał.

Zapadła głęboka cisza, wypełniona jedynie szumem wentylatorów. Mallory popatrzył na Jensena, ten jednak wpatrywał się w miejsce, gdzie ściana łączy się z sufitem.

- Pytania? - spytał admirał.

- Tak - odparł Mallory. - Kiedy zaczynamy szkolenie, sir?

Admirał zmarszczył czoło.

- Szkolenie?

- Zajmie z miesiąc. Może nawet sześć tygodni.

Żyły na karku admirała nabrzmiały.

- Wylatujecie stąd liberatorem o drugiej dziś w nocy. Zawiozą was na KT stojący niedaleko Benghazi. Wychodzicie na brzeg i rozpoczynacie operację jutro o trzeciej rano. Nie będzie żadnych szkoleń.

- KT? - spytał Mallory.

- Kuter torpedowy - wyjaśnił Dixon.

- Trochę to mało dyskretne - stwierdził Mallory, który doskonale wiedział, co to jest KT. - Jest zbyt głośny.

- Nic na to nie poradzimy - wtrącił Jensen. - Przykro mi z powodu braku szkolenia, przykro mi z powodu KT, ale chodzi o to, że... powiedzmy tak: sprawa wywołała lekką panikę. Te przeklęte rakiety mogą stać się poważnym zagrożeniem dla naszych tyłów i oddziałów flankujących we Włoszech. Niosą trzy tony materiału wybuchowego najwyższej klasy i są w stanie trafiać z dokładnością do pięćdziesięciu metrów. Przed wystrzeleniem muszą być odpowiednio rozmieszczone, a uważamy, że nastąpi to wkrótce. Zrzucilibyśmy was, ale sztab jest zdania, że nie da się tam zeskoczyć ze spadochronem, musimy więc skorzystać z KT. Najważniejszy jest czas.

- Tego się nie da zrobić - oświadczył Mallory i natychmiast poczuł na sobie wbijające się niczym dwa sople lodu spojrzenie Jensena.

Żyły na karku admirała znów napęczały.

- Słuchaj, żołnierzu - wydał z siebie przytłumione warknięcie. - Wbrew rozsądkowi zgodziłem się zlecić delikatną operację tak niesubordynowanej zgrai jak wy, ale kapitan Jensen zapewniał, że wiecie, co robicie, i wziął za was odpowiedzialność. Postawmy sprawę jasno. Jeśli nie będziecie wykonywać rozkazów moich i kapitana Carstairsa, to zanim się obejrzycie, zostaniecie oskarżeni o bunt. Co wybieracie?

Mallory stanął na baczność, to samo zrobili Miller i Andrea.

- Proszę o pozwolenie wypowiedzenia się, sir! - rzucił Mallory. - Proszę zebrać dla nas trybunał polowy, sir!

Admirał wbił w niego wzrok. Jego twarz sflaczała jak przekłuty balon.

- Boże drogi... - wydusił z siebie. - Boże drogi... przecież...

Jensen odchrząknął.

- Przepraszam, admirale. Czy mógłbym coś zaproponować? - Admirałowi najwyraźniej odebrało mowę, więc Jensen kontynuował. - Ci ludzie pracują jako grupa. Mają dobre wyniki. Czy mógłbym zaproponować, by zamiast przydzielać ich do kapitana Carstairsa jako dowódcy, dołączyli do niego w roli obserwatorów, przy czym kapitan Carstairs działałby niezależnie i nie brał odpowiedzialności za tę trójkę, która wykonywać będzie swoje zadanie? Dałoby to możliwość rezygnacji ze szkolenia i równocześnie można by stworzyć w ten sposób koalicję międzyoddziałową oraz kooperację zamiast struktury odpowiedzialności wewnątrzoddziałowej ad hoc, sprzecznej ze strukturami służbowymi de facto.

Admirałowi opadła szczęka.

- Że co? - spytał.

- Mallory jest kapitanem o dużym stażu - odparł Jensen. - Do tego w oddziale jest pułkownik.

- Kto?

- Ja - odparł Andrea.

Tym razem to Carstairs wybałuszył oczy. Andrea nie tylko powinien wpaść w ręce fryzjera, ale przydałoby mu się także drugie dziś golenie, a jego mundur wymagał pralni. Carstairs uniósł brew.

- Pułkownik? - spytał i Millerowi zdawało się, że słyszy, jak wydyma wargę.

Powietrze w pokoju zrobiło się ciężkie i duszące.

- Armia grecka - powiedział Andrea. - W celach operacyjnych pod dowództwem kapitana Mallory'ego.

- Uhuhhh... - westchnął admirał, który wyglądał, jakby właśnie nadepnął na minę.

- Proszę ze mną, wszyscy trzej! - rzucił Jensen i wyszedł na korytarz. Kiedy Mallory, Miller i Andrea do niego dołączyli, zdecydowanie oświadczył: - Dostaniecie Carstairsa, czy chcecie, czy nie. Zależy mi na tym, byście to wy przeprowadzili tę akcję, i rozkazuję wam wziąć go ze sobą.

- I wycierać mu nos.

- A także czyścić buty, jeśli będzie trzeba. - Oczy Jensena wyglądały jak krążki stali.

- Ale pod moim dowództwem - stwierdził Mallory.

- Znam się na rakietach - dodał Miller. - Nie gorzej od każdego innego specy. Nie potrzebujemy go. Będzie się tylko plątał pod nogami. Załatwią nas, jeśli będziemy go musieli ze sobą ciągnąć, on tylko...

- Z ogromną przyjemnością wysłuchamy waszych opinii - odparł Jensen. - Tyle że kiedy indziej.

- Kto więc potrzebuje tego bubka?

- Jeżeli ma pan na myśli kapitana Carstairsa, to admirał Dixon. Na tym koniec, panowie. Teraz wracamy.

Znali Jensena, więc bez słowa weszli z powrotem do pokoju odpraw. Na ich widok admirał oświadczył:

- Kapitan Carstairs będzie stanowił osobną jednostkę, podległą bezpośrednio mojej osobie.

Carstairs łagodnie się uśmiechnął, jakby do samego siebie. Technicznie rzecz rozpatrując, oficerem o nadrzędnej roli pozostanie Mallory - admirał jedynie jeszcze bardziej mącił mętłą wodę. Mallory, Miller i Andrea stali z kamiennymi twarzami, przez głowę każdego z nich przemykały niczym gazetowe zdjęcia obrazy wszelkich możliwych katastrof, jakie mogą się zdarzyć.

- Na koniec lokalne wsparcie - przerwał ciszę Jensen. - Poruczniku.

Robinson wstał, za okularami jarzyły się jego rozognione oczy.

- Na wyspie istnieje ruch oporu, chcemy jednak, by wasza operacja odbywała się samodzielnie. Represje względem cywilów... hm... nikomu nic nie dają.

Andrea miał twarz koloru gradowej chmury. Osobiście znalazł ciała rodziców na brzegach rzeki Drawy. Związano ich i wrzucono do wody, by się utopili. Dobrze wiedział, co oznaczają represje względem cywilów... tak samo jak Niemcy, którzy zabili mu rodzinę, dowiedzieli się, czym mogą się skończyć represje ze strony represjonowanych...

- Wylądujecie w Parmatii - ciągnął Robinson. - Przy ulicy Mawocordato numer trzy mieszka dżentelmen, którego zwą Achilles. Zaopatrzy was w środek transportu, którym dotrzecie do Akropolu. Na podanej wam pozycji w czwartek, piątek i sobotę o północy będzie czekać okręt podwodny. Jeśli dotrzecie do brzegu na czas, wywieście żółtą rybacką latarnię, jeśli nie... będzie czekać do trzeciej w nocy w sobotę, potem jesteście zdani na własne siły. Jasne?

- Jasne.

- Unikajcie wszelkich innych kontaktów. Chcemy, byście byli niespodzianką.

Piorunującą niespodzianką. Tak zresztą ta operacja się nazywa: Piorun.

- Rozumiem, że ma to związek z prognozami pogody - stwierdził Miller.

- Skąd wiecie, kapralu? - spytał Jensen.

- Ostatnio było tak samo.

Jensen udał, że nie słyszy.

- A teraz szczegóły - rzucił.

Przez następne dwie godziny - przy udziale geologa i sztabu operacyjnego - poznawali szczegóły. Kiedy złożono mapy, Jensen rzekł:

- No to świetnie. Teraz chodźmy do arsenału.

Zbrojownia mieściła się w tym samym co zawsze, słabo oświetlonym pomieszczeniu, pełnym regałów z pistoletami maszynowymi Lee Enfield. Zbrojmistrzem był oficer marynarki wojennej, który ciężko kulał i cierpiał na „biegunkę” słowną.

- Mówili, że chcecie schmeissery... - zaczął wyciągając pudła. - Bardzo dobrze, świetnie, nie bierzcie tych idiotycznych stenów, od razu was Szwaby dupną, jak zobaczą, nie ma co... oczywiście, proszę, kapralu, nie krępujcie się, proszę patrzeć. Widzę, że jest pan dość wymagający... granaty, tak?

Nawet jego słowotok nie był w stanie przewyciężyć ponurej ciszy, jaka wypełniała niewielkie pomieszczenie. Mallory i Andrea usiedli na ławce i rozbierali podawane im schmeissery - jak dobrzy rzemieślnicy, sprawdzający narzędzia śmierci. Raz za razem rozlegały się ciche metaliczne trzaśnięcia. Choć Mauser to dobra firma, Andrea zwrócił dwa egzemplarze broni, dopiero trzeci mu się spodobał, także czwarty. Podczas gdy jego koledzy sprawdzali pistolety maszynowe, Miller stał w kącie przy czymś, co przypominało skrzynkę na cygara. Obok postawił swój plecak wyłożony drewnem i specjalną wykładziną. Z delikatnością chirurga wkładał do niego kolorowe kostki plastiku, znakowane różnymi barwami długopisowe zapalniki czasowe i cały zestaw maleńkich pakunczków oraz buteleczek.

Mallory złożył drugi pistolet maszynowy, który zaakceptował, i podał go Carstairsowi.

- Dla pana.

Carstairs leniwie na niego popatrzył.

- Nie dotykam tego, stary.

- Będzie go pan potrzebował.

- Sam może ocenię - odparł Carstairs i wyjął z papierošnicy tureckiego papierosa. Na kolanach miał samopowtarzalny browning z tłumikiem. - Moje motto to trzymać się z daleka.

Sprawdza się z antylopami i z Niemcami. Sierzancie, macie na to twardy futerał? - Uniósł w górę karabin strzelca wyborowego marki Mauser, z celownikiem optycznym Zeiss 4x.

Na Kynthos miało trafić wiele wyrobów firmy Mauser, wytrzymałych pistoletów maszynowych do strzelania na duże odległości, a jednak ten karabin wyborowy był delikatny jak rąbek kostiumu baletnicy i niezbyt pasował do broni nadającej się do szturmowania góry pełnej rakiet.

Kiedy wychodzili, Andrea przysunął się do Mallory'ego.

- Co ty na to?

- Myślę, że powinniśmy mieć oczy otwarte.

- Też tak sądzę, przyjacielu. Co to jest to Nanga Parbat?

- Góra w Himalajach - odparł Mallory. - W trzydziestym ósmym była ekspedycja, która na nią weszła. - Niestety musiał także powiedzieć resztę: - Niemiecka.

- W trzydziestym ósmym nie było wojny - odparł Andrea.

- Nie było...

Nagle żołądek Mallory'ego zwinął się w ciasną kulę. Coś było nie tak. Miał takie samo przecucie, jak na południowym lodowcu Góry Cooka, kiedy obserwował własny but, stawiając nogę do przodu, i czuł jak powoli przenosi nań ciężar ciała, jednak z powodu dziwnego przecucia nie uczynił tego do końca. To właśnie go uratowało, bo kiedy jego but z brunatnoczarnej skóry, świeżo natłuszczony, ściśnięty rzemieniami na krzyż, przejmował określony nacisk, świat wokół się rozpadł i uciekł mu spod nóg, a to, co jeszcze przed chwilą było litym lodem, okazało się skrajem lawiny, która ruszyła i zaczęła go połykać.

Na szczęście posłuchał ostrzeżenia, jakie dał mu ucisk w żołądku, i powstrzymał się z przeniesieniem ciężaru na wysuniętą do przodu nogę - dzięki temu mógł wyciągnąć rękę do tyłu, wbić czekan w ścianę nad sobą, poczuć, jak ostrze chwyta, i wydobyć się z paszczy śmierci na czysty lód. A potem zdobyć szczyt.

Supel w żołądku to nie był strach - przynajmniej nie sam strach. To ostrzeżenie i należało go słuchać.

WTOREK 10.00 - ŚRODA 2.00

Zatoka Al - Gubiya to niewielkie zagłębienie w linii brzegowej na zachód od Benghazi. Tego poranka - poza kilkoma wojskowymi namiotami i betonowym pirsem, które znajdowały się tam od dawna - krążyło tu jakieś półtora miliarda much. Przy nabrzeżu cumował podobny do szarego rekina kuter torpedowy. Jego dowódca - porucznik Bob Wills - siedział na przedniej lewej wyrzutni torped. Słońce prażyło mu głowę, jakby położono na niej rozżarzoną stalową sztabę, a muchy doprowadzały go do szaleństwa - choć na pewno nie takiego, do jakiego doprowadziły go otrzymane przed chwilą rozkazy. Zastanawiał się, w co, do cholery, zamierzają go tym razem wpakować.

Do nadbrzeża podjechała trzy tonowa ciężarówka i stanęła, pomrukując w chmurze libijskiego pyłu, który wzniosła. Plandeka z tyłu ciężarówki uniosła się, podzieliła na pół, i za moment na ziemię zeskoczyło czterech ludzi.

Trzech szło obok siebie - w milczeniu i skupieniu. Twarze mieli wychudłe i ogorzałe od słońca. Sprawiali wrażenie zarazem wycieńczonych i odprężonych, a mimo ciężkich plecaków poruszali się, jakby mogli je nieść bez przerwy wiele kilometrów. Przed nimi szedł najszczuplejszy. Podobnie jak wspomniana trójka, miał na sobie mundur polowy bez oznak, kroczył jednak znacznie dumniej - jak gdyby sądził, że ktoś może go obserwować - choć widać było, że ucisk pasków plecaka nie sprawia mu szczególnej przyjemności. Jego wygląd oraz wybredna elegancja munduru sprawiły, że porucznik pomyślał, iż człowiek ten nie pasuje do tego miejsca. Elegant miał bystre brązowe oczy, które szybko zlustrowały kuter torpedowy i paski na rękawach kurtki mundurowej porucznika, wiszącej na lufie pięciofuntowego działa.

- Dzień dobry, jestem kapitan Carstairs - przywitał się i uśmiechnął jak gwiazdor filmowy, ukazując śnieżnobiałe zęby. Wills był zmęczony prowadzeniem od miesięcy akcji w nocy, a uśmiech jedynie go oślepił.

- Cześć, jak leci? - odparł i podał Carstairsowi rękę. Ten ścisnął ją niczym w imadle. Wills poczuł jeszcze większe zmęczenie. - Jak lot?

- Okropny - odparł Carstairs. - W tych idiotycznych liberatorach nie słyszeć własnych myśli. Wracam Imperialem. Latają z Kairu, prawda?

- Zgadza się - przytaknął Wills. Sam nigdy nie mógł sobie pozwolić na skorzystanie z usług Sunderland Imperial Airways. Ten Carstairs to musi być nie byle kto, pomyślał i dał

znak ręką bosmanowi Smithowi, który stał na nabrzeżu i nadzorował załadunek zapasów.

- Chief! Pomóżcie kapitanowi Carstairsowi nieść sprzęt, to równy gość!

Podczas kiedy Wills rozmawiał z Carstairsem, pozostała trójka weszła na pokład i porozkładała przyniesiony sprzęt. Choć niewiele się ruszali, zrobili zaskakująco dużo. Najniższy przedstawił się jako Mallory - w jego głosie pobrzmiwała nutka nowozelandzkiego akcentu.

- Dzień dobry - odparł Wills.

Mallory patrzył na kwadratową młodą twarz Willsa, jego zbiegające od słońca włosy i spieczony nos.

- Mam nadzieję, że urządziliście się jak w domu - stwierdził Wills.

- Miejmy raczej nadzieję, że nie będzie niemiłych przygód.

Wills uśmiechnął się.

- No tak, nie jesteśmy tu w końcu, aby świętować. - Zatoczył ręką półkole, wskazując na błękitną wodę zatoki, suche wydmy i betonowe nabrzeże. - Choć w takim tropikalnym raju łatwo zapomnieć o obowiązkach...

- Bardzo tu atrakcyjnie - odparł Mallory i odgonił chmarę z miliona much.

- Zaczekaj, aż wypłyniemy - stwierdził Wills.

Mallory doszedł do wniosku, że marynarz jest starszy, niż mu się wydawało. Z daleka mógł sprawiać wrażenie typowego angielskiego maturzysty, ale z bliska widać było oczy... miały tysiąc lat.

- Od dawna tutaj? - spytał Mallory.

- Wystarczy. Trochę błaznujemy, robiąc zamieszanie. Pływamy dookoła, strzelamy. Co nieco się już połapaliśmy, o co w tym wszystkim chodzi. Robimy co można, by dać się we znaki.

- To całkiem, całkiem... - Mallory od razu polubił chłopaka. W jego oczach było coś, co mówiło, że jeśli chce, może narobić Niemcom poważnych kłopotów, i chętnie to robi.

- Gotowi? - spytał w końcu Wills i Mallory skinął głową. - No to super - odparł chłopak. Carstairs nie bardzo mu pasował, lecz ci trzej byli inni. Mówili cicho i spokojnie, oczy nie latały im na boki, a kiedy podawali mu dłoń, uścisk był pewny, ale nie przesadny; jakby w to, co robią, chcieli angażować tyle siły, by robota została porządnie wykonana, i ani trochę więcej. Takie podejście niewiele odbiegało od poglądów Willsa i doszedł do wniosku, że cała trójka wywarła na nim korzystne wrażenie. Przez głowę przemknęła mu jeszcze jedna myśl, ale nie umiał jej nazwać, skryła się gdzieś na skraju podświadomości. Pojawiła się ponownie dopiero dziesięć minut później, kiedy w mesie oficerskiej, czyli pomieszczeniu

wielkości dużej filiżanki, nalewał sobie szklaneczkę dżinu; zrozumiał, że był bardzo zadowolony, iż ci trzej są po tej samej stronie barykady co on. Przeprosił wszystkich i wyszedł, by „załatwić kilka spraw”.

Po chwili szybki w bulajach mesy zadrżały w rytm basowego pomruku uruchamianych silników i wokół uniósł się smród wysokooktanowej benzyny. Smukły okręt narysował rufą znak zapytania na błękitnej wodzie zatoki, ryknął w kierunku otwartego morza i skierował się na wschód.

Był spokojny, piękny dzień. Carstairs wyszedł na pokład i wystawił swój cyzelowany profil na podmuchy wiru powietrznego, który tworzył się na rufie okrętu płynącego z prędkością dwudziestu węzłów. Mallory, Miller i Andrea znaleźli pomieszczenie, w którym stało kilka zbitych z surowych desek koi i ułożyli się na nich. Miller i Andrea po chwili już spali, Mallory natomiast leżał z otwartymi oczami. Czuł, jak okręt podryguje na przybrzeżnej fali, przenikało go drzenie kadłuba wpadającego w wibracje od pracy potężnych silników firmy Merlin i wbijał wzrok w deski łóżka tuż nad swoją głową. Przed snem musiał koniecznie przemyśleć kilka spraw.

Jeszcze w Plymouth, kiedy wychodzili ze zbrojowni, podszedł do niego goniec, ujął za ramię i powiedział: „Telefon, sir”.

Głos w słuchawce był pozornie obojętny, ale dobitny. Jensen.

- Bez nazwisk - zaczął kapitan. - Chcę coś powiedzieć, ma to zostać między nami.

- Tak jest, sir!

- Życzę szczęścia i tak dalej.

- Tak jest, sir! - Mallory czekał.

Jensen nie zadzwoniłby nawet do własnej matki tylko po to, by życzyć szczęścia..

- Nasz nowy przyjaciel. Ekspert. Jest w porządku, ale warto mieć oko na niego.

- Oko?

- To tylko luźna myśl - odparł Jensen. - Może szukać skarbów.

- Skarbów? Jakich skarbów?

- Gdybym wiedział, nie kazałbym mieć go na oku, prawda? W każdym razie spodziewam się, że będziecie chcieli załatwić sprawę po swoimemu.

Mallory leżał i obserwował deski. Na Kynthos na pewno będą problemy, ale podejrzewał, że poważny problem pojawił się także na kutrze torpedowym. Carstairs. Mallory mu nie ufał, wyglądało na to, że Jensen także mu nie ufa. Dlaczego więc upierał się, by uczestniczył w akcji? Oczywiście - to nie Jensen się upierał, lecz admirał Dixon. Mallory przyłapał się na tym, że życzy Dixonowi, by spędził jakiś czas na mostku niszczyciela. No

tak, dobrze by mu to zrobiło... albo na kutrze torpedowym, tym pływającym zbiorniku paliwa, cienkościennym pęcherzu z benzyną samolotową, napędzanym dwoma merlinami...

Dixon tymczasem siedział bezpiecznie za biurkiem i takie było prawo natury. Z tego samego powodu mieli na karku Carstairsa. Walka z prawami natury jest bezowocna i z góry skazana na porażkę, a Mallory nie zamierzał podejmować działań, o których wiadomo, że skończą się wyłącznie niepowodzeniem. Do wibracji merlinów dołączył się nowy dźwięk - Mallory chrapał.

Obudził się po kilku godzinach, wziął z kambuza kubek kawy i poszedł na mostek. Na zachodzie słońce zbliżało się do horyzontu, a na południu widać było cienką linię północnej Afryki. Jeżeli obserwował ich jakiś niemiecki samolot, pilot na pewno doszedłby do wniosku, że dążą na wschód, do miejsca na terytorium aliantów, pogrążonego w mroku.

Marynarz przyniósł tacę z sandwiczami i więcej kawy. Na mostku panowała cisza. Mallory usiadł na stojącym w kącie krześle i jedząc dumiał o Carstairsie. Dlaczego doświadczony w walce partyzanckiej ekspert bierze karabin wyborowy, którego lunetka może się przestawić po najmniejszym trąceniu? Jeśli mieli realizować to samo zadanie, dlaczego utworzono z nich dwie jednostki? Dlaczego...

W tym momencie padł na niego cień. Zbliżał się Carstairs - dłoń o szczupłych palcach trzymał w kieszonce bluzy niczym Clark Gable. Kiedy ją stamtąd wyjął, zamigotała złota papierośnica. Otworzył ją i poczęstował Mallory'ego.

- Tureckie z lewej, wirgińskie z prawej - powiedział.
 - Wszystko jedno - odparł Mallory. - Niech mi pan coś powie. Co pan tu robi?
 - To samo co pan - odpowiedział Carstairs.
 - A jakie ma pan do tego... kwalifikacje?
- Carstairs uśmiechnął się.
- Obijałem się tu i tam.
 - I jest pan ekspertem raketowym.
 - Zgadza się.
 - Gdzie zdobywał pan wiedzę w tym zakresie?
 - Tu i ówdzie. Tu i ówdzie.

Prowadząc operacje specjalne człowiek musiał się godzić na niedopowiedzenia. Wiedzieć więcej niż konieczne to w tym fachu błąd, mimo to Mallory odnosił wrażenie, że Carstairs wykorzystuje ten fakt do siebie tylko znanych celów.

- Uczestniczył pan kiedyś w sabotażu z bronią w ręku?
- Nie do końca, ale było w moim życiu... coś podobnego.

- W jakim znaczeniu? - rozległ się nowy głos.

Pojawił się Miller.

- Akcja niewiele od tego odbiegająca.

- Też coś takiego próbowałem, ale gablota mi nie wyrobiła.

- Słucham? - Mina Carstairsa nagle stężała.

- Nie ma sprawy - załagodził sytuację Mallory. Wyglądało na to, że Carstairs jest zbyt wielkim ważniakiem, by mieć poczucie humoru. - Jest pan dobry w górach. Umie pan strzelać.

Carstairs ziewnął.

- Tak mi mówiono na Nanga Parbat.

- Zdawało mi się, że to była niemiecka ekspedycja.

- Bo była. - Kiedy wbili w niego wzrok, dodał: - Księżę Windsoru poprosił mnie, bym wziął w niej udział. To mój kumpel, nie mogłem odmówić. Mówię dość dobrze po niemiecku, jestem alpinistą, więc co w tym złego?

Mallory nie odpowiedział. Wyprawa na Nanga Parbat była nadzorowana osobiście przez Himmlera. Zdobyto szczyt, ale tylko dzięki betonowaniu haków i mocowaniu drabin oraz poręczy z lin. Tak samo dobrze mogli zbudować rusztowanie. Nie był to ten rodzaj chodzenia po górach, który nazwałby wspinaczką.

- Głównym celem było wejście na szczyt - stwierdził Carstairs.

No tak, nie da się ukryć, że został zdobyty...

- Ale w kwestii rakiet - nie chciał popuścić Miller - to gdzie dowiedział się pan wszystkiego, co pan wie na ten temat?

Carstairs przestał się uśmiechać. Zza zaciśniętych zębów wydusił:

- Jestem pewien, że każdy z nas miał niełatwe życie i o wielu sprawach, jakie nam się przytrafiły, nie chcielibyśmy opowiadać naszym mamom. Niech pan po prostu przyjmie, że wiem, co wiem, i że jestem pod bezpośrednimi rozkazami admirała Dixona, kapralu. A teraz, jeśli panowie wybaczą, chętnie się kimnę. - Powiedziawszy to, zszedł pod pokład.

- Ma temperamencik - stwierdził łagodnie Miller.

Mallory zapalił papierosa i nie patrząc na Amerykanina, powiedział:

- Przypominam ci, że kapitan Carstairs jest oficerem i z tego względu trzeba podchodzić do niego ze szczególną uwagą. Chciałbym, abyś bardzo dokładnie się nad tym zastanowił. - Podniósł głowę i popatrzył Millerowi prosto w oczy. - Bardzo dokładnie.

Miller uśmiechnął się i odparł:

- Z przyjemnością.

Okręt gnał równolegle do brzegu. Słońce zaszło już za horyzont i Miller leżał na dachu mostka i obserwował, jak z nieba znikają ostatnie drobiny światła, robi się coraz ciemniej, a nad głową pojawia się coraz więcej srebrnych gwiazd. Wills mruknął do sternika jakiś rozkaz i gwiazdy zaczęły wirować, aż znalazła się przed nimi wisząca tuż nad horyzontem Wielka Niedźwiedzica. Gdyby narysować linię przecinającą tylne koła wozu, prowadziłyby ona do samotnej gwiazdy, unoszącej się nad kutrem torpedowym M - 109.

Skręcili na północ.

Mijała ósma godzina posuwania się do przodu. Po niebie sunęły chmury niczym tratwy, zasłaniając to tę, to inną grupę gwiazd. Zaczęła wiać bryza, pokrywając powierzchnię morza długimi falami. Okręt M - 109 walczył z pogarszającą się pogodą, szarpany i uderzany, drżąc na całej długości, kiedy przeskakiwali z jednej wodnej góry na drugą. Nikt nie spał, bo choć wszyscy byli przyzwyczajeni do trudnych sytuacji, trudno było zasnąć w czymś, co przypominało staczającą się po betonowych schodach stalową beczkę.

Stojący na mostku Wills wpatrywał się w ciemność i próbował nie myśleć o tym, że jego M - 109 jest czubkiem olbrzymiej fosforyzującej strzały mknącej po spienionej wodzie, krzyczącej do każdego przelatującego w pobliżu pilota: tutaj jesteśmy! Tutaj jesteśmy! Nie była to subtelnie przeprowadzana akcja.

- Przeczesuj! - wrzasnął sternikowi do ucha, na co ten zaczął kręcić kołem sterowniczym na prawo i lewo, by aparat radarowy mógł objąć jak największy obszar wodny.
- Co masz? - spytał Wills operatora radaru.

- Śmiecie. Cholerne fale...

W tym momencie kuter torpedowy uderzył w szczególnie wysoką falę, wyskoczył w górę, po czym plasnął o powierzchnię morza z taką siłą, że woda wyprysnęła na dwadzieścia metrów w górę, a pod Willsem ugięły się kolana. Kubek z jego kawą poleciał jak wystrzelony i rozprysnął się w kącie mostka. Gdzieś - prawdopodobnie w kambuzie - potłukło się szkło.

- Cholera jasna... - mruknął operator radaru i zaczął kręcić gałkami. - Martwy.

- Co znaczy martwy? - spytał Wills, choć doskonale wiedział, z radarem bowiem ciągle się coś działo. Tylko że teraz byli na terenie bandytów, a on po raz pierwszy dowodził okrętem i była to jego pierwsza operacja specjalna, i bardzo chciał, by wszystko szło jak należy, a nie pieprzyło się...

- Poszły lampy - wyjaśnił operator. - Dwie, może trzy.

- Ile to potrwa?

- Dwadzieścia minut.

Mogło być gorzej - pomyślał Wills, zapalając sześćdziesiątego trzeciego papierosa

tego dnia. Mogło też być lepiej. Pół godziny bez radaru... cóż, da się przeżyć...

Kuter torpedowy M - 109 sunął dalej ślepy; ślepy, ale nie niewidoczny. Daleko na horyzoncie ciągnęła sieci mała, brudna łódź rybacka. Siedzący w jej sterówce mężczyzna skierował niemiecką lornetkę na wąski pas bieli na zachodnim horyzoncie, potem podniósł mikrofon wojskowego nadajnika i zaczął mówić. Najpierw podał swoją pozycję, potem kurs i prędkość poruszającego się obiektu.

- Gotowe, sir - oświadczył operator radaru. - Niczego nie widać.

- Dobra robota - odparł Wills i popatrzył na zegarek, później na leżącą na stole mapę oświetloną czerwonymi nocnymi światłami. - Super. - Wydał rozkaz do maszynowni i M - 109 wbił dziób w idącą od przodu falę. Silniki ciężko pracowały, ale kuter uparcie parł w kierunku Kynthos. Do celu zostało jeszcze dwadzieścia mil morskich. Na szczęście bryza ucichła i powierzchnia morza wyglądała jak czarne szkło.

- W dalszym ciągu czysto? - spytał Wills operatora radaru.

- Czysto.

- Super!

Oczywiście radar nie obejmował obszaru za rufą.

Kiedy maszyny nieco ucichły, Miller łagodnie zapadł w głęboki sen. Po - jak mu się zdawało - kilku sekundach poczuł, że ktoś nim potrząsa.

- Dzień dobry, sir - usłyszał jakiś głos i wsunięto mu w dłoń emaliowany kubek. Był tak gorący, że natychmiast się obudził i zaklął. Mallory, Andrea i Carstairs robili to samo. Wypili słodką, parującą herbatę i poszli na pokład.

Nie było widać księżyca, ale Droga Mleczna wisiała w poprzek nieba niczym gęsty opar. Choć gwiazdy rzucały bardzo mało światła, Miller dostrzegł leżącą na pokładzie przed sterówką stertę gumowanego płótna. Zaczął macać wokół, aż znalazł nożną pompkę, wetknął koniec rurki w wentyl i zajął się pompowaniem. Skłębiona sterta powoli pęczniała, rozwijając się jak nocny kwiat, i wkrótce przemieniła się w ponton, wzięty z zapasów lotnictwa, bo, w odróżnieniu od pontonów używanych przez marynarkę, nie był okrągły, lecz podłużny, można więc było nim poruszać za pomocą wiosel. Nie był także czarny, jak wprowadzone w oddziałach SAS, ale żółty, więc w razie odkrycia przez wroga wzięto by go za pozostałość po samolocie, który rozbił się o powierzchnię morza, a nie za własność komandosów w akcji. Po chwili, cicho jak duchy, zjawili się Andrea i Mallory. Carstairsa słyszeć było z daleka - jego podbite gwoździemi buty skrobały o pokład, i pojękiwał niosąc plecak i karabin strzelca wyborowego.

- Trzy minuty do zejścia - rozległ się głos na mostku.

No, to znowu do roboty - pomyślał Miller.

W tym momencie noc przemieniła się w dzień.

Najpierw pojawiło się jaskrawe niebieskobiałe światło, w którym wszystko zamarło - twarze mężczyzn na mostku, tak dokładnie oświetlone, że widać było każdy por skóry, ponton skryty w cieniu rzucanym przez nadbudówkę, oraz oddział mający zaraz zejść z kutra. W ułamku sekundy sytuacja zaczęła się bardzo szybko zmieniać.

Jasne jak słońce światło płynęło zza rufy, z miejsca tuż nad poziomem wody. Ktoś na mostku zaczął krzyczeć - prawdopodobnie Wills - i niemal równocześnie zza światła rozległo się głucho dudnienie ciężkiego karabinu maszynowego. Szyby mostka rozprysnęły się na kawałeczki, na ponton poleciała z sykiem chmura okruchów szkła i gdzieś ktoś wydał z siebie głuchy bulgoczący odgłos. Do akcji włączyła się inna broń automatyczna - niektóre strzały dochodziły z pokładu M - 109.

- Nie ruszać się - powiedział Mallory, spokojny, jakby spacerował po Londynie. - Dwie minuty do zejścia.

- Rozwalcie to cholerne światło! - rozległ się z mostka wrzask Willsa.

Członkowie oddziału specjalnego skulili się pod osłoną przybudówki. Nagle jaskrawe światło zniknęło, ale mrok, który zapadł, nie był czernią, lecz granatem przecinanym błękitnymi jak lód i czerwonymi smugami pocisków. Pokład kutra podskakiwał niczym skóra na bębnie, w który ktoś z zapalem wali. Nie wiadomo, co ich zaatakowało, pewne było jednak, że jest duże i dobrze uzbrojone. Wills wrzasnął:

- Cała naprzód! - i kuter ruszył.

Niestety ci, którzy ich ścigali, byli zbyt blisko, a mieli na pokładzie albo dwudziestomilimetrowy oerlikon, albo sprzężony kilkulufowy bofors. Oczami wyobraźni Miller ujrzał obraz rufy kutra torpedowego, z potężnym zbiornikiem paliwa lotniczego, otoczonym cienką warstwą aluminium i drewna. Wystarczyła jedna salwa z oerlikona, by zrobić dziurę, i druga, by zapalić paliwo...

Miller uświadomił sobie, że marzy o wiosłowaniu w gumowym pontonie po nocnym morzu...

Jeszcze jeden huk oznajmił, że na tylnym pokładzie znów coś się rozwaliło. Co kilka sekund rozlegały się kolejne eksplozje i pokładowe karabiny maszynowe zamilkły. Silniki również ucichły i kuter zaczął zwalniać. Nie trwało długo, jak stanął w miejscu, kołysząc się jedynie na boki. Z luków na tylnym pokładzie wydobywał się podejrzany czerwony poblask.

Umysł Mallory'ego pracował jak maszyna do liczenia. Mogli zostać na pokładzie i

wylecieć w powietrze albo wyskoczyć, z nadzieją, że dotrą do brzegu i będą w stanie kontynuować misję. Nie było się nad czym zastanawiać.

- Idziemy! - rzucił.

Kuter obrócił się ostro na lewo w kierunku strzelającego z ciemności przeciwnika. Podnieśli ponton i rzucili go na czarną wodę przez reling prawej burty. Miller zszedł na dół po linie, a następnie odbierał spuszczone przez Mallory'ego i Andreę paczki ze sprzętem i szybko, ale pieczołowicie, je układał. Czerwonawy poblask stał się pomarańczowy, nasilił się i zaczął migotać, więc Miller bez trudu widział, jak jego dwaj koledzy pracują, a Carstairs jedynie się nerwowo rozgląda, myśląc wyłącznie o sobie, o nikim innym. Nie był graczem zespołowym, lecz trudno było mieć do niego pretensję... w końcu stał na wielkim zbiorniku palącego się paliwa, do tego na wodach wroga...

THUM! - rozległo się po drugiej stronie mostka i fala uderzeniowa zwała Mallory'ego z nóg. Po chwili rozległ się kolejny wybuch, znacznie głośniejszy i tym razem fala uderzeniowa przyniosła naprawdę gorące powietrze, smród spalonych włosów i nie wiadomo którą chmurę okruczeństwa szkła. Po chwili coś spadło z łomotem na pokład. W świetle płomieni Mallory dostrzegł, że to Wills. Prawdopodobnie skutek wybuchu został wyrzucony z mostka. Na pewno jest nieprzytomny - pomyślał Mallory, któremu od huku pękały bębny. Jeśli w ogóle żył...

Wills otworzył oczy. Miał osmaloną twarz i wyglądał jak lunatyk. Zaczął pełznąć ku rufie, ale kolejna eksplozja cisnęła nim i wylądował prosto u stóp Mallory'ego. Płomienie były teraz bardzo jasne, powietrze drgało z gorąca.

- Do pontonu! - rzucił Mallory.

Carstairs przeskoczył reling, dość mocno się szamocząc, Andrea poszedł w jego ślady znacznie spokojniej. Za mostkiem kuter był jedną płonącą płaszczyzną. Wyłoniła się stamtąd jakaś paląca się postać, zaraz jednak wpadła z powrotem w rozszerzający się ogień.

- Ruszaj się! - rozkazał Mallory Willsowi. Kątem oka dostrzegł, że przez reling skaczą kolejne postacie, co po chwili potwierdził plusk wody.

Wills popatrzył na niego nie widzącym wzrokiem i ruszył ku ścianie płomieni. Mallory złapał go za ramię. Wills odwrócił się i spróbował na niego zamachnąć, ale Mallory bez trudu zrobił unik, złapał go za koszulę i spodnie i przerzucił przez reling. Pokład wyrzusał się jak balon. Mallory skoczył.

Dopiero kiedy wpadł do wody, dotarło do niego, jak gorąco było na górze. Po chwili stwierdził, że trzyma w rękach linę przymocowaną do boków pontonu.

- Wiosłować! - krzyknął, ale ludzie w pontonie już to robili.

W wodzie tuż obok unosiła się jeszcze jedna głowa - to był Wills. Oczy miał wytrzeszczone do granic możliwości i obracał nimi jak szalenciec. Mallory wdrapał się do łodzi i wciągnął porucznika za sobą. Marynarz próbował z nim walczyć... chciał być ze swoim okrętem...

Nagle ciemność pękła na pół. W górę wystrzeliła oślepiająca błyskawica i uderzyła w nich fala powietrza, twarda jak ceglany mur. Torpedy - pomyślał Mallory. Wywaliło torpedy...

Teraz spadła na nich gęsta chmura chemicznych oparów. Choć dusili się i kaszleli, nie przestawali wiosłować, wykorzystując osłonę. Wszyscy wpatrywali się w oświetlaną radem końcówkę igły kompasu Mallory'ego. Zdawało im się, że trwa to godziny. W końcu Mallory stwierdził:

- Przejaśnia się.

Niebo nad ich głowami zaczynało powoli się ukazywać. Kiedy resztki dymu zniknęły, zamarli w bezruchu - byli widoczni jak na dłoni na powierzchni morza, ale, szczęśliwie dla nich, nie było nikogo, kto mógłby ich zobaczyć. Udało im się uciec dzięki niespodziewanej zasłonie dymnej. Było ciemno, niebo rozświetlały gwiazdy. Jakąś milę morską na zachód widać było spowity dymem okręt, przypominający z wyglądu jednostkę patrolową ochrony wybrzeża, poruszającą się w przód i w tył, przeszukującą reflektorami morze w poszukiwaniu rozbitków.

Dzięki mylącej wzrok mieszaninie światła, ciemności i dymu patrol nie był w stanie ich odnaleźć.

Na wschodzie niebo nie sięgało horyzontu, był on bowiem zasłonięty przez poszarpane szczyty - góry na Kynthos. Mallory zaczął sprawdzać obecność.

- Carstairs.

- Jestem.

- Andrea.

- Jestem.

- Miller.

- Pewnie.

- Ktoś jeszcze?

- Wills - zameldował się dziwnie głucho, jakby z daleka, oficer marynarki.

- Nelson - padło potem i ten ktoś dodał: - Jest jeszcze Dawkins. Nieprzytomny. Ja mam ranę na ręku.

- Rozumiem - spokojnie odrzekł Mallory, choć wcale nie był taki spokojny. Mieli do

wykonania zadanie, ale nie takie, które można wykonać nosząc na plecach rannych i nieprzytomnych marynarzy. Operacja Piorun jeszcze się nie zaczęła, a już byli w tarapatkach.

Skarcił się w myśli, nakazując sobie opanowanie się. Znajdowali się na otwartym morzu, mieli trzech dodatkowych ludzi i swoją misję do spełnienia. Najważniejsze było dostać się na brzeg.

- Wiosłować! - rozkazał i zabrano się do roboty.

Po chwili ktoś powiedział:

- Moknę.

Nieznany głos, a więc Nelson.

Skarga nie była bezzasadna - jeden bok pontonu, dotychczas wypukły, zrobił się płaski.

- Prawdopodobnie powietrze w środku się ochłodziło - stwierdził Carstairs. - Woda jest zimniejsza od powietrza, prawda? Spadek temperatury spowodował zmniejszenie się ciśnienia i...

- Mamy dziurę - przerwał mu Miller. Wziął pompkę i włożył końcówkę do wentyla. Ponieważ nie można było deptać, zaczął ścisnąć miech rękami. Po dwustu ruchach czuł się tak, jakby przypalano mu ramiona żelazem, ale bok pontonu odzyskał właściwy kształt.

- Proszę - zwrócił się do Carstairsa i podał mu pompkę.

- Tak, kapralu? - dobiegły z ciemności słowa wypowiedziane przeciągle.

- Pańska kolej - wyjaśnił Miller.

Carstairs roześmiał się - cicho, jakby zamierzał grozić.

- Przykro mi, kapralu, ale to jakieś nieporozumienie.

Miller jeszcze kilka razy ścisnął pompkę. Pot ściekał mu do oczu.

- Tak jest, sir - powiedział. - Tak jest, kapitanie, jasna sprawa.

Widział Carstairsa niewyraźnie, jedynie kontur na tle gwiazd, ale zdawało mu się, że dostrzega uśmiezek człowieka, który okazał swą wyższość.

- Daj mi - odezwał się Andrea.

Miller poczuł, jak wyjmuje mu pompkę z ręki, i po chwili rozległo się powolne, monotonne pompowanie.

- Carstairs - rzekł Mallory. - Niech pan teraz powiosłuje.

Cień kapitana zamarł w bezruchu, ale głos Mallory'ego zadźwięczał ostro, niczym piłka do metalu.

- Z przyjemnością - odparł Carstairs. - Pyszna pogoda na przejażdżkę łódką, prawda?

Przez dwie ciągnące się w nieskończoność godziny pióra wioseł zanurzały się w

wodę, pompka pompowała, a masyw Kynthos powoli pełził w ich kierunku. Za pięć druga Wills, który cały czas pólleżał bezwładnie na boku, nagle podniósł głowę.

- Dwadzieścia stopni na lewo - powiedział dziwnym, skrzeczącym głosem.

- Co? - spytał Miller, który właśnie wiosłował.

- Trzeba skrócić trochę na lewo.

- Dlaczego?

- Tam jest plaża.

- Skąd pan wie? - spytał Carstairs.

- Z książki. Rozpoznaję kontur horyzontu. - Wills machnął ręką w kierunku wznoszących się przed nimi i po ich prawej stronie poszarpanych szczytów.

- Pana stan raczej nie pozwala rozpoznać czegokolwiek - odparł Carstairs.

- Co więc pan proponuje? - spytał łagodnie Mallory.

- Płynąć prosto na brzeg i dobić do klifu - odparł bez wahania Carstairs.

- Posłuchajcie - powiedział Wills.

Miller przestał wiosłować, a Andrea pompować. Zaczęli uważnie słuchać.

Do ich uszu dochodził odgłos kropel spadających z piór wiosła i szum sunącego pontonu, ale z niezbyt wielkiej odległości dolatywał przeciągły, cichy pomruk fal rozbijających się o skały.

- Klif - stwierdził Wills. - Nie wygląda groźnie, lecz będzie przybój. To formacja wulkaniczna, skały są ostre jak szkło. Wystarczy metr kipieli i będzie po waszym sprzęcie i po was.

Powiedział to bardzo przytomnie i przekonująco. Carstairs nie wiedział, co odparować, więc popadł w nadąsane milczenie.

W pomieszczeniu odpraw w Plymouth Mallory długo oglądał brzeg wyspy na mapie i pamiętał, że z tej strony jest kilka plaż - małych półksiężyców piasku, wciętych w poskręcane kontury pionowych klifów. Gdyby to on dowodził garnizonem na Kynthos, pilnowałby ich jak jastrzęb. Pomruk narastał.

- Przepraszam - odezwał się marynarz Nelson - ale chodzi o Dawkinsa, sir. Chyba nie żyje.

- Na Boga! - wyrzucił z siebie Carstairs. - Oszczędźcie to sobie na potem, marynarzu! Właśnie...

Zanim skończył zdanie, Mallory sięgnął za niego i przyłożył palce do szyi Dawkinsa. Skóra była ciepła, ale nie tak, jak powinna. Nie wyczuwał tętna.

- Obawiam się, że macie rację, Nelson.

- Wyrzucić go za burtę - rzucił Carstairs rozkazującym tonem. - To tylko zbędny balast.

- Nie! - przerwał Mallory.

- Kwestionuje pan...

- Przejmuję odpowiedzialność operacyjną za marynarza Dawkinsa - odparł Mallory.

Mniej więcej pięćdziesiąt metrów dalej widać było z lewej, z prawej i przed nimi wznoszący się klif, ponton lekko się unosił na przyboju. Znajdowali się w czymś, co przypominało zatoczkę.

- Zaczekajcie - powiedział Andrea, który dotychczas milczał.

- Co to ma znaczyć? - spytał Carstairs, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Andrea zdjął bluzę i przez chwilę w świetle gwiazd widać było dwa potężne, jakby pokryte futrem ramiona. Po chwili zniknął - cicho niczym foka - w turkusowej wodzie.

- Zwiad - wyjaśnił Mallory. - Miller, utrzymuj ponton w miejscu.

I tak czekali - przytuleni do piersi morza, chronieni z trzech stron przez niewielką, zbudowaną z postrzępionych skał klifową alkowę.

ŚRODA 2.00 - 6.00

Szeregowiec Gottfried Schenck nie był wielkim miłośnikiem greckich wysp. Piwo było tu okropne, jedzenie pływało w oliwie, a kobiety niechętnie usposobione - szczególnie ostatnio. No, prawdopodobnie było tu mimo wszystko lepiej niż na froncie wschodnim. Wydawało mu się, że ta okolica jest całkowicie bezpieczna - tak było aż do wydarzeń w sobotę, na dodatek dziś też widział ognie smugowych pocisków i błysk wielkiego wybuchu... na szczęście dość daleko na morzu. Wszystko wskazywało na to, że sytuacja się pogarsza. Wziął do ręki butelkę wina, którą zarekwirował chłopu prowadzącemu stadko kóz - co prawda okazało się paskudne, smakowało jak środek odkażający, ale przynajmniej pozwalało nieco opanować drzenie nóg.

Popatrzył na zegarek. Druga - jeszcze cztery godziny. Trzeba zajrzeć do następnej zatoczki... może uda się zakurzyć fajkę z Willym...

Odwrócił się i ruszył brzegiem, a szedł tak wolno, że na piasku ledwie było słychać odgłos jego kroków. Andrea obserwował go zza skały znajdującej się trzydzieści metrów od brzegu i patrzył, jak Niemiec odchodzi. Nie ruszał się jednak - czekał i liczył sekundy, aż zauważył błysk płomyka.

Normalny człowiek nie dostrzegłby mignięcia, ale oczy Andrei nauczyły się widzieć w ciemności to, co mogło oznaczać różnicę między życiem a śmiercią. Czekał w ciepłej jak mleko wodzie i liczył dalej, aż strażnik wrócił na brzeg i rzucił niedopałek do wody. Potem - nie wzbudzając najmniejszego zawirowania wody - zanurkował.

Papieros nie pomógł szeregowcowi Schenckowi. Poczul się senny, a nieprzyjemny posmak w ustach tylko się nasilił. Najchętniej by sobie popływał, to mogło mu pomóc, ale gdyby ktoś go przyłapał, że wchodzi na służbie do wody, zrobiłoby się piekło...

Doszedł do końca plaży, odwrócił się i ruszył z powrotem. Szedł żwawo, aby się rozbudzić, ramiona trzymał prosto, patrzył na czubek nosa i próbował poczuć się tak, jak kilka lat temu w Norymberdze - świątyni pochodni - kiedy jeszcze wierzył w ten cholerny nazistowski nonsens.

Za jego plecami, spomiędzy łamiących się o brzeg niskich fal, coś się zaczęło wynurzać z wody. Coś wielkiego, na czym w świetle gwiazd zamigotała ściekająca woda. To coś zrobiło w jego kierunku dwa szybkie kroki, zatkało mu usta wielką dłonią, pociągnęło ku wodzie i przegięło do tyłu, aż Niemcowi chrupnęło w krzyżu. Próbował krzyczeć, ale nie

udało mu się wydobyć dźwięku - w objęciach morskiego potwora był jak dziecko. Schenck poddał się, zanim jego głowa dotknęła wody - delikatnie, och, jak delikatnie - i pozostała pod nią, trzymana wielką, bezlitosną dłonią, aż otworzył usta i nieprzyjemny posmak papierosów oraz kiepskiego wina zamienił się w smak soli. Wziął głęboki wdech.

Andrea zaczekał, dopóki spod wody nie przestały się wydobywać bąbelki, potem popłynął z powrotem do pontonu i po cichu zamienił kilka słów z Mallorym. Kiedy skończyli, ponton ruszył w kierunku brzegu.

Od tego momentu sprawy zaczęły się szybko toczyć. Ledwie przód pontonu dotknął brzegu, Miller i Mallory już stali na piasku i zarzucali plecaki na ramiona. Wyciągnęli Willsa i Nelsona na zewnątrz i zaciągnęli ich w rosnące tuż pod klifem krzaki.

- Niech pan ich pilnuje - rzucił Mallory Carstairsowi, który popatrzył, jakby chciał zaprotestować, lecz Mallory i Miller zniknęli nagle, a ponieważ nie było gdzie iść, nie pozostawało mu nic innego, jak posłuchać.

Mimo ciemności widział, jak Andrea wyciąga z pontonu ciało Dawkinsa i wypycha je poza strefę przyboju. Nelson zrobił ruch, jakby chciał przeszkodzić, ale Wills położył mu rękę na ramieniu i powstrzymał go. Rozległ się syk uchodzącego powietrza - Miller powiększył dziurę w pontonie, a następnie zepchnął go na wodę, potem dołączył do Mallory'ego i we dwóch zaczęli zacierać ślady na piasku i wycofywać się w krzewy.

Willsowi brzęczało w głowie, jakby załęgły mu się pszczoły. Spływał potem i czuł się okropnie, choć miał wrażenie, że to nie on, lecz jego sobowtór czuje się okropnie, bo jego samego tak naprawdę tu nie ma. Kilka kroków dalej Andrea wkładał mundur. Wills usłyszał własny głos:

- Nelson, wszystko w porządku?

- Nie powinni tego robić biednemu Dawkinsowi.

- On nie żyje i o niczym nie wie. Przydał się.

- To nie w porządku - upierał się Nelson. Był wyraźnie dotknięty, zachowywał się jak koszarowy adwokat - amator. - Trzeba go pochować. Nie wypada wrzucać do wody.

- Był tu strażnik - wyjaśnił Andrea. - Zabiłem go, więc Niemcy pomyślą, że natknął się na biedaka Dawkinsa, walczyli i obaj utonęli.

- Masz pan nadzieję... - rzucił Nelson, który nie miał wysokiego mniemania o obcokrajowcach.

- Zgadza się - odparł Grek charakterystycznym dla siebie tonem, przypominającym lwi pomruk. - Ty też powinienes, chyba że ci życie niemiłe.

Słyszając te słowa, do Nelsona dotarło, jak rozpaczliwie i żarliwie chce żyć.

- Miller, rzuć okiem na jego rękę - zakończył dyskusję Andrea.

Miller wyjął cienką jak długopis latarkę, wsadził ją sobie między zęby i odwinął postrzępiony rękaw marynarza. Cięcie na przedramieniu było długie i czerwone, ale niezbyt głębokie.

- Przeżyjesz - stwierdził. - Pozszywam cię potem.

- Boże... - jęknął słabo Nelson. - To okropnie wygląda. Jezu... mam w tym ręku cholernie dziwne uczucie...

- Nie umrzesz. Przynajmniej nie od tej rany - skwitował jego słowa Miller. - Nie krwawi, a woda morska pięknie ją wymyła. - Posypał ranę sulfonamidem, obwiązał bandażem i zamocował opatrunek supłem z rozerwanego rękawa. - Ręka jest jak nowa - dodał uspokajająco, zauważył jednak, że choć noc jest ciepła, Nelson drży.

- Gaś to światło i chodźmy! - cicho odezwał się Mallory.

Przeszli w poprzek kamienistej ścieżki za plażą. Teren zaczął się gwałtownie wznosić. Mallory kazał się im zatrzymać w kępie oleandrów.

- Czekamy tu! - rzucił.

Nelson usiadł ciężko na ziemi.

- Cisza! - warknął Carstairs, też dużo za głośno.

Zamilkli, ale wokół nie zrobiło się cicho - bryza poruszała gałęziami, które szumiały ocierając się o siebie, głośno śpiewały cykady, woda z szumem rozbijała się o brzeg.

Po chwili usłyszeli zupełnie inny dźwięk - niemieckie głosy, najprawdopodobniej z następnej plaży.

Była to jedynie paplanina strażników znudzonych długą nocną zmianą, ale Nelson poczuł, jak włoski na plecach stają mu dęba. Nagle miał wrażenie, że milczenie grupy, w której się znajduje, to nie milczenie sześciu ludzi, ale jakaś zamarznięta dziura w nocnych odgłosach. Czuł się okropnie - o mało nie spłonął w benzynie, stracił kolegów, ból w ręku doprowadzał go do mdłości, biedny Dawkins poszedł do morza... a teraz, jakby tego było mało, musi tkwić wśród Bóg wie jakiej bandy zbirów, i to na terytorium wroga. Zgłosił się do marynarki wojennej, nie do cholernych komandosów... Najchętniej znalazłby się w spokojnym obozie dla jeńców wojennych - nie miał najmniejszego zamiaru ginąć z powodu wtargnięcia na teren wroga z kapitanem i tymi czterema twarżielami...

Dwoma twarżielami.

Kiedy Nelson zaczął liczyć głowy, stwierdził, że ze środka ciszy - tak naprawdę to strefy cichszej niż cisza - zniknęli wielki i chudy.

Mallory i Andrea szli wzdłuż ścieżki - każdy po innej stronie. Poruszali się cicho jak

cienie, pochyleni, by nikt nie zobaczył na tle nocy charakterystycznego konturu ludzkiej sylwetki. Plecaki zostawili w oleandrach, zabrali jedynie noże i schmeissery, choć zdawali sobie sprawę, że jeśli zostaną zmuszeni do użycia broni, to zginą, a misja w tej samej chwili się zakończy.

Część umysłu Mallory'ego koncentrowała się na otoczeniu, część dumiała nad pojawiającymi się problemami. Można było różnie wiązać ze sobą cztery fakty: ogień na morzu, rozpruty ponton, martwego angielskiego marynarza i martwego niemieckiego strażnika. Można było je wyjaśniać w sposób prowadzący do niewinnych wniosków - na przykład, na wyspę dotarł rozbitek i na płyciźnie doszło do walki - ale można było je także wyjaśniać inaczej. Ponton pochodził z wyposażenia lotnictwa, a nie marynarki, wartownik utonął po rozwaleniu czaszki Anglikowi, na dodatek marynarzowi. Dlaczego? Ktoś, kto miał choć krztynę rozumu, musiał sobie zadać takie albo podobne pytania, zwłaszcza w tak sennym miejscu jak Kynthos. Oczywiście można zakładać, że wśród żołnierzy kilku plutonów Wehrmachtu nie ma zbyt wielu mądrych głów, ale doświadczenie Mallory'ego podpowiadało, że na wyspie jest dużo myślących ludzi; dociekliwych i rozkładających wszystko na czynniki pierwsze...

Musieli naprawdę szybko działać.

Obeszli cypel i ujrzeni przed sobą niską, regularną bryłę, która mogła służyć jako punkt obserwacyjny. Obeszli ją i stwierdzili, że droga zaczyna się wznosić i biegnie dalej wokół kolejnej, długiej na kilkaset metrów plaży, której błądy piasek zmywały drobne fale. Za plażą w świetle gwiazd białe nieregularnie rozrzucone sześciany. Domy. Parmatia.

Weszli nieco dalej w głąb lądu, przeszli przez pas krzewów i znaleźli się na dnie doliny pełnej niewielkich ogródków i drzew cytrynowych. Kiedy przechodzili, szczeknęło za nimi leniwie kilka psów. Powietrze było ciepłe i nieruchome.

Ulicę Mavrocordato stanowiła chaotyczna długa linia niewielkich domków i szop. Budynek pod numerem trzecim miał od frontu szczelnie pozamykane okna, może po to, by do środka nie wniknęło złe nocne powietrze, za to od tyłu jedna z okiennic była szeroko otwarta. Jeszcze raz rozejrzeli się po ciemnej okolicy i Andrea wszedł przez okno do domu.

Gdyby Miller nie był taki, jaki był, zacząłby się nudzić. Zamiast tego, zaraz potem jak szeregiem równych szwów zszył Nelsonowi ranę na przedramieniu, położył głowę na plecaku i z żalem, że okoliczności nie pozwalają na zapalenie papierosa, zamknął oczy. Nie znaczy to, że zasnął - Miller po prostu nienawidził zbędnego wysiłku, a wiedział, że rozglądanie się wokół w ciemnościach powoduje jedynie ból oczu. Zamknięcie ich daje poza tym znacznie większą szansę uszom. Tak więc leżał i sporządzał listę nocnych odgłosów: bryza w liściach,

szum morza, cykady, żuk toczący kawałek nawozu, oddechy Willsa, Nelsona i Carstairsa...

Nie było oddechu Carstairsa.

Carstairs poszedł sobie, Bóg wie gdzie.

Miller miał osobowość gracza i przed wojną spędził wiele czasu na obstawianiu i kalkulacji szans. Odkąd pracował z Mallorym i Andrea, niewiele się w tym zakresie zmieniło, tyle że konsekwencje postawienia nie na to co trzeba, były groźniejsze dla życia. Z drugiej jednak strony ludzie, z którymi grywał przed wojną w pokera, nie należeli do tych, których można było oszwabić i przeżyć.

Tak więc Miller i tym razem przeprowadził krótką kalkulację. Carstairs był uważany za człowieka, który wie, co robi. On sam był kapralem, Carstairs kapitanem, do tego prowadzącym solową akcję pod skrzydłami admirała.

Doszedł do wniosku, że należy zostawić Carstairsa samemu sobie.

Mallory czekał za oknem w straszliwej ciszy - ponurej ciszy przed świtem, kiedy przyroda jest w największym uśpieniu, a ludzki sen najbardziej przypomina śmierć. Palec trzymał na spuście pistoletu maszynowego, wsłuchiwał się w nocne odgłosy, ale żadnego nie brakowało. Był żołnierzem i alpinistą, a ktoś taki nie może ulegać fantazjom ani oddawać się spekulacjom, tyle że znów poczuł w żołądku ten sam ucisk, który miał, wychodząc ze zbrojowni w Plymouth; nad pachnącą wiejsko okolicą unosił się cień śmierci...

Cicho skrzypnęła okiennica i ze środka dobiegł głos Andrei:

- Chodź!

Mallory wszedł do środka i znalazł się w chłodnym pomieszczeniu, pachnącym świeżo szorowaną podłogą i starym winem. Okiennica się zamknęła, potem zaszeleścił materiał, jakby ktoś chciał zasłonić okno od środka. Trzasnęła zapałka i zapłonęła naftowa lampa. Osoba, która ją zapaliła, była niska, miała na głowie kaptur i tunikę przypominającą strój Beduinów.

- Achilles? - spytał Mallory.

- Achilles nie żyje - odparł Andrea. - Partyzanci wysadzili drogę i Niemcy wzięli odwet na ludności cywilnej. W sobotę zabito na rynku sto trzydzieści jeden osób, Achilles był wśród nich.

Mallory się nie odzywał. Jeśli nie było drogi, to oddział miał małą szansę na przejście gór, nawet bez rannych. Z rannymi sprawa była beznadziejna...

- Przeprowadzę was - powiedział gospodarz i ściągnął kaptur. Ukazała się splątana masa czarnych długich włosów, spod których wyjrzał szczupły nos i para czarnych oczu, jarzących się od łez i wściekłości.

- To Klitemnestra - wyjaśnił Andrea. - Achilles był jej bratem.

- Przez dwadzieścia trzy lata - powiedziała dziewczyna. - Dwadzieścia trzy lata, dwa miesiące, trzy dni i cztery godziny, aż te świnię... te potwory gorsze od świń... - W tym momencie zaczęła wyrzucać z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego w dialekcie, który Mallory'emu wydał się podobny do języka, z jakim zetknął się podczas kilkumiesięcznego pobytu w Białych Górach na Krecie. - ...zabrały go i zamordowały. - Z ponadżeranej przez korniki szafki wyjęła butelkę wina i szklanki. - Ale jesteśmy razem. Znów będziemy razem. We dwoje poprowadzimy was przez góry. - Nalała wina do szklanek.

- Znasz ścieżki? - spytał Andrea.

- Oczywiście. A jeśli którejś nie będę znała, będzie ze mną szedł Achilles i pokaże.

Wypili w milczeniu, ciszę przerywał jedynie cichy stukot szkła o zęby dziewczyny. Mallory pomyślał, że jak na jego gust jest trochę w zbyt w gorącej wodzie kąpana, ale najspokojniej jak umiał - w sposób, w jaki policjant rozmawia ze świadkiem na miejscu wypadku - powiedział:

- Czy mogłabyś opowiedzieć mi, co dokładnie zdarzyło się w zeszłym tygodniu?

Dziewczyna nie podniosła głowy, lecz odpowiedziała.

- Im więcej ludzi się o tym dowie, tym lepiej. Wieść o tym powinno się wyryc czterometrowymi literami na klifie przy Akropolu, by ludzie mogli się dowiedzieć... - W tym momencie dostrzegła, że Andrea ją obserwuje, więc zwiesiła głowę jeszcze bardziej niż dotychczas, ujęła jego rękę i zamilkła. Po dłuższej chwili otarła oczy czarną spódnicą i wzięła głęboki wdech. - Wybaczcie.

- Nie ma tu co wybaczać - stwierdził Andrea i ogień w jego oczach rozpałił ogień w jej oczach. Dziewczyna skinęła głową. - Opowiedz nam, a pomścimy twojego brata.

- Achilles był rolnikiem. Rolnikiem i policjantem. W górach ukrywało się kilku ludzi... rabusiów, złodziei czy kim tam byli. Wszyscy na wyspie nienawidzą Niemców i każdy stara się utrudniać im życie, oczywiście tak, by nie mogli się przyczepić, ale ci z gór zawsze sprawiali kłopoty. Nie w imię wolności Grecji, ale dla własnej przyjemności. To ukradli Iannisowi wino, to owcę u Spira, to zgwałcili biedną Atenę, w każdym razie każdy uważał ich za wrogów, bo nie byli bojownikami, lecz bandytami. W zeszły poniedziałek próbowali ukraść Niemcom ciężarówkę, a ponieważ byli pijani, zrobiła się chryja i jednego zastrzelono. - Ponownie pochyliła głowę.

- Spokojnie - powiedział Andrea i ścisnął jej dłoń.

Skinęła potakująco i odgarnęła włosy z twarzy.

- Tak więc we wtorek na lądowisku wylądowało dużo samolotów z żołnierzami i

rozeszła się wieść, że od tej chwili zapanują nowe porządki i nie będzie litości. Albo nie dotarło to do tych rzeźmieszków, albo nie chcieli o niczym wiedzieć, więc za zabicie ich człowieka podłożyli dużo materiału wybuchowego w miejscu, gdzie droga z Antykyntos do Akropolu - jedyna droga na wyspie - przechodzi pod skalnym uskokiem... - Mallory skinął głową. Doskonale wiedział, co będzie dalej. - I wysadzili skały, które na nią spadły. Oczywiście nikt tamtędy wtedy nie przejeżdżał - powiedziała z rozczarowaniem w głosie. - Zaraz jednak zjawili się ci nowi żołnierze i zaczęli szukać. Mają inne mundury, cętkowane, wyglądają jak gaj oliwny w słońcu. Był z nimi mężczyzna, oficer o chytrej twarzy i bladych oczach, i powiedział, że za każdy zniszczony metr drogi weźmie jednego człowieka. - Dziewczyna znów się rozpląkała. - Stu trzydziestu jeden ludzi... mężczyźni, kobiety, dzieci... nie wybierał. Do kobiet i dzieci strzelał z karabinów maszynowych, mężczyzn powiesił.

Mallory przez kilka minut się nie odzywał. Potem zapytał:

- A co z partyzantami?

- Opuścili wyspę w nocy przed egzekucją. W sobotę. Ukradli łódź Kallikratidesa i zwiali. Kto wie dokąd, zresztą kogo to obchodzi? Zostawili wiadomość, że to taktyczne wycofanie się, ale wszyscy we wsi wiedzą, że po prostu się bali, iż ktoś ich złapie - my albo Wolf...

- Wolf?

- Tak się ten oficer nazywa. Mówili na niego Dieter Wolf, niech się po wieczne czasy smaży w piekle! Kallikratidesa też powiesił... osobiście...

- Sądysz, że to ten sam Dieter Wolf? - spytał Andrea.

- Na to wygląda.

Andrea ciężko skinął głową. Widział przed sobą obraz wioski w białych górach Krety - wyschniętą ziemię, przepelnioną śpiewem świerszczy i zapachem ziół, które chłopci zbierają na skrajach lasów i pól, by mieć czym przyprawić baraninę. Tego dnia jeszcze jeden zapach wypełniał wąwóz - odór dymu, unoszącego się gęstą chmurą nad zapadłym dachem kościoła na rynku. To tu Sonderkommando spędziło kobiety i dzieci, a następnie go podpaliło. A wszystko dlatego, że jeden z mieszkających w wiosce starców zastrzelił Niemca ze starej dwururki, kiedy przyłapał go, jak gwałci mu córkę.

Andrea i Mallory leżeli wtedy w ukryciu po drugiej stronie wąwozu, przez który nie prowadził żaden most, ale gdyby nawet jakiś był, przybyliby za późno. Kiedy zaczęli obserwować, co się dzieje, przez drżącą w rękach lornetkę Andrea zobaczył łysego niemieckiego oficera w znoszonych wysokich butach i o charakterystycznej bladej, chytrej twarzy. Właśnie czyścił nóż. Później odkryli, dlaczego to robił - gdy przy drodze znaleźli

zwłoki starca z poobcinanymi rękami. Nawet z daleka widać było, że słońce odbija się od oczu niemieckiego oficera w specyficzny sposób - jak od płytek aluminium. Po kilkunastu minutach zebrał swoich ludzi, kazał im wskoczyć na ciężarówki i oddział odjechał z rykiem dieslowskich silników w kierunku Iraklionu.

Andrea dowiedział się, że oficer nazywa się Dieter Wolf, i przysiągł zarówno sobie, jak i tym, co zginęli w tej wsi, że się zemści.

- Czasami Bóg jest bardzo dobry - powiedział i popatrzył na zegarek. - No, zaraz będzie świtać.

- Ubiorę się i pokażę wam drogę przez góry - stwierdziła Klitemnestra i wyszła.

Kiedy trzasnęły za nią drzwi, Mallory nalał Andrei wina, sam też się napił i zapalił papierosa.

Według porucznika Robinsona, który przygotowywał ich w bunkrze w Plymouth, Kynthos było łatwym celem. Jeśli jednak pojawił się Dieter Wolf, oznaczało to jedno: choć Robinson skończył Cambridge, to się pomylił.

Mallory zgasił papierosa i wrzucił peta do pieca. Otwarły się drzwi. Klitemnestra była ubrana w szerokie czarne spodnie, buty z miękkiej skóry, czarną koszulę i haftowany kożuszek, przepasany szalem z frędzlami. Włosy związała czarną jedwabną chustą. Jej postać zdawała się pochłaniać światło, wyglądała nie tyle czarno, ile kruczoczarno, jak stwór rodem z cienia. Żyły tylko oczy, wręcz płonęły.

Rozległo się głośne pukanie, na co gestem kazała wejść Mallory'emu i Andrei na schody.

- Idę, idę! - rzuciła i otworzyła drzwi.

Andrea patrzył przez dziurkę od klucza. Widział niewiele, także nic nie słyszał, bo ogłuszał go własny oddech. Zdawało się, że każdy centymetr kuchni zappełnił się ludźmi, którzy jednak nic nie mówili. Słyszać było szuranie butów o podłogę, ale nie wojskowych podkutych butów, lecz takich, jakie miała na nogach Klitemnestra. Po chwili niczym fala popłynęła grecka mowa i okazało się, że mimo zamieszania jest tylko dwóch przybyszy.

- Cicho bądźcie! Ciszej! - zasyczała Klitemnestra. Najwyraźniej miała posłuch, gdyż zapadła cisza. - Ladas, co się stało?

- Kręcił się taki jeden - odparł zapytany. - Iannis Nos go zauważył. Węszył po rynku, zaglądał do okien, do samochodów. W mundurze, ale nie niemieckim, raczej angielskim, może greckim, kto wie? Pomyśleliśmy, że wrócili partyzanci... możesz mnie nazwać tchórzem, ale sama wiesz, że byli nie lepsi od bandy złodziei, a moja biedna Olimpia, którą zastrzelili... dla zwycięstwa może i warto stracić siostrę, ale dla tych łobuzów partyzantów,

tych przeklętych komunistów... nigdy! Niech Bóg ich pokarze!

- Masz rację - odparła Klitemnestra łagodząco, bez śladu niepokoju w głosie. - Powiedz wszystko, co wiesz, inaczej ci nie uwierzę.

- Ma kręcone włosy i cienki wąsik, cienki jak robak. Karabin i masę granatów. Kiedy mnie zobaczył, pomyślałem, że zaraz strzeli, ale zniknął w ciemności jak duch...

- Może to był duch.

Ladas skrzywił się tak, że jego krzaczaste brwi niemal się zetknęły z gęstymi wąsikami. Nie wyglądał na człowieka, który wierzy w duchy.

- Znasz to miasteczko - odparł. - Pełno tu szpiegów. Jeśli jakiś szpieg powie niemieckiej świni „Widziałem ducha”, to Niemiec zacznie zabijać, dopóki duch do niego nie przyjdzie. Co wtedy?

- Będziemy obserwować i modlić się, aż duch zniknie.

- Skąd wiesz, że to zrobi?

- To musi być duch, a z duchami tak się dzieje.

Zapadła cisza. Drugi mężczyzna miał toporną, tępą twarz z małymi, podejrzliwymi oczkami. Wyglądał na wierzącego w duchy.

- Włożyła to ubranie - powiedział.

- No tak - przytaknął Ladas. - Masz to ubranie... Nagle było widać, jak wymizerowaną i zmęczoną twarz ma Klitemnestra.

- Jeśli nie ma w domu mężczyzny, trzeba samemu wyganiać owce w góry - odparła. - Wkrótce będzie świtać, więc wracajcie do łóżek. Niektórzy z nas muszą pracować, choć wy najchętniej byście biegali po nocy i popiskiwali na duchy.

Obaj mężczyźni wyszli i Klitemnestra otworzyła drzwi na schody.

- Co się dzieje? - spytała. - Kto się kręci po wsi?

- Trudno wyczuć - odparł Mallory, choć doskonale wiedział. Carstairs. Będzie musiał powiedzieć mu kilka słów do słuchu. - Zaraz się rozwidni.

Powietrze na zewnątrz pachniało ostro i świeżo. Niebo nad górami było granatowe i pełne gwiazd, ale niżej, tuż nad szczytami, powoli się przejaśniało. Prowadziła ich płataniną ścieżek między ogródkami.

- Ten człowiek jest z nami - cicho powiedział Andrea do Klitemnestry.

- W takim razie powinniście nad nim panować - odparła. - Po co łazi po wsi jak wariat? Przez niego ktoś może zginąć.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, Mallory nad czymś dumał.

- A ty? - spytał. - Nie powinnaś była do nas dołączać. Jesteśmy żołnierzami, mamy

mundury i nic cię z nami nie łączy. Jeśli nas złapią, nie będą się na was mścić, ale jeśli znajdą ciebie, to...

- Jak mielibyście beze mnie znaleźć drogę przez góry?

- Mamy mapy.

Roześmiała się - głośno, gwałtownie, aż dwa przestraszone gołębice wzniosły się z łopotem w powietrze.

- Zróbcie sobie z nich papierosy. Jeżeli korzystalibyście z nich, zaraz złapaliby was Niemcy. Mają te same mapy.

- Ciii! - syknął Mallory.

Szli właśnie przez wydmy i zbliżali się do południowego skraju plaży.

- Na ziemię - zdążył syknąć Andrea i ledwie to zrobili, na tle blednącego nieba pojawił się kontur człowieka. Jego głowa zdawała się rozdęta, ale powodem był wielki wehrmachtowski hełm. Trzymające broń ręce zamarły.

- Wer da? - spytał.

Mallory wciskał twarz w piach wydmy i najgłośniejsze, co słyszał, to własny oddech. Tuż obok leżał Andrea. Mallory wiedział, o czym Grek myśli, ponieważ myślał o tym samym. Niestety w panującej wokół ciszy przeładowanie schmeissera byłoby głośne jak zderzenie pociągów. Jeden strzał i byłoby po wszystkim...

Klitemnestra ruszyła w stronę Niemca. Bezczelnie kręciła biodrami.

- Kto pyta? - rzuciła ostro. - Co za skurwiony syn prostytutki wchodzi do mojego ogrodu i przeszkadza mi w pracy?

- Was? - spytał żołnierz.

- Pasę owce - powiedziała Klitemnestra łamanym niemieckim.

Żołnierz stał niezdecydowany. Mallory nie umiał ocenić, czy ich zauważył. Andrea wpatrywał się w miejsce tuż pod łopatką Niemca, gdzie zamierzał wbić mu nóż. Przesunął dłoń po ziemi i napiął nogi do skoku...

- No to idź sobie - zdecydował żołnierz.

- Zamierzam się wypróżnić na grób twojej matki - powiedziała dziewczyna po grecku.

Wolała nie używać popularnych przekleństw na wypadek, gdyby Niemiec znał kilka słów w tym języku. - Wykopię spod ziemi jej szczątki i nakarmię nimi moje świny, które na pewno od tego zwymiotują.

- Miło było cię spotkać - odparł na to Niemiec i poszedł dalej plażą.

Mallory zdjął dłoń z zamka. Była mokra od potu. Wyszli z ukrycia i ruszyli dalej. Tym razem nikt się nie odzywał. Kiedy dotarli do ścieżki za plażą, z której wyruszyli, Andrea

rzucił cicho:

- Zatrzymajcie się!

Czekali. Gdzieś przed nimi rozległ się dźwięk, jakby ktoś nieostrożnie stąpnął na kamień.

- Trzy minuty - szepnął Andrea Mallory'emu do ucha i zniknął cicho jak cień.

Andrea biegł ścieżką. Czuł, jak jego tętnice wypełniają się krwią - to uczucie powodowało, że przestał być poruszającym się o świetle człowiekiem, a stał się polującym drapieżnikiem, podchodzącym ofiarę. Dokładnie widział wdrapującą się ścieżką postać, samotnie, jak na swoje możliwości dość szybko, ale dla Andrei poruszała się powoli i leniwie.

Greki rozejrzał się, jakby miał w głowie szczególnie czuły radar. Czuł miasto za swoimi plecami, czuł obecność Mallory'ego i Klitemnestry, niemieckich żołnierzy na plaży, dwa trupy w wodzie i czekających nieco dalej w przodzie Millera, Willsa i Nelsona.

Skoczył.

Jedna wielka twarda dłoń zatkała intruzowi usta, druga przylgnęła do nasady karku. Andrea parł tak, by złamać jeńcowi kręgosłup.

Powstrzymał go zapach.

Poczuł zapach olejku do włosów, który poznał na kutrze torpedowym i w pontonie. Był to bardzo silny zapach, duszący nawet jak na standardy greckie. Drogi zapach.

Zapach kapitana Carstairsa.

Andrea postanowił jak na razie nie łamać mu karku. Nie zdejmował jednak dłoni z jego ust i szepnął mu do ucha:

- Piśniesz, to umrzesz.

Czekał na Mallory'ego.

Miller w dalszym ciągu leżał z zamkniętymi oczami i analizował odgłosy.

Kiedy usłyszał nadchodzącego Carstairsa, wstał i skierował w jego stronę lufę schmeissera. Potem usłyszał atak Andrei, po którym rozległo się huknięcie puszczyka - znak Mallory'ego. Na widok nadchodzącej trójki z ulgą odetchnął.

- No to ruszamy - powiedział Mallory.

- Dokąd? - spytał Miller.

- Niemcy są na plaży. Cisza.

Wills wstał, ale Nelsonowi zeszytniało ramię i potrzebował lekkiej perswazji.

- Boli - jęknął.

- Wstawaj! - ponaglił go Wills. - Ruszaj się!

Pomrukując Nelson wstał. Wzięli plecaki, broń i po chwili ruszyli stromą, kamienistą

ścieżką prowadzącą przez krzaki. Nie minęło wiele czasu, a zrobiła się tak stroma, że stracili ochotę na zastanawianie się, potrzebowali bowiem wszelkiej energii, by nogi nie przestały iść, płuca - choć z trudem - pracowały, a serce nie przestało bić. Z każdą chwilą niebo na wschodzie jaśniało.

ŚRODA 6.00 - 18.00

Tuż po szóstej rano słońce świeciło nad górami.

- Zatrzymujemy się - zarządziła Klitemnestra. - Trzeba coś zjeść.

Opadli ciężko na gorącą, kamienistą ziemię i wyjęli papierosy oraz czekoladę. Znajdowali się na półce skalnej - nagim występie stanowiącym pozostałość po odpryśnięciu części potężnego klifu, który zdawał się wyrastać prosto z morza.

- Wody... - jęknął Nelson i Miller podał mu manierkę. Marynarz zaczął pić tak łapczywie, aż woda połała mu się po twarzy i koszuli. Miller zabrał mu manierkę. - Pieprzyć to! - rzucił Nelson. - Mam gębę jak krwawa cegła.

- Wszyscy takie mamy - odparł Miller, wyjął z paczki papierosa i zapalił. Kiedy służył w Pustynnej Grupie Działań Dalekiego Zasięgu, prowadzącej sabotaż daleko za liniami wroga, woda była ważniejsza od paliwa, choć paliwo było ważniejsze od macierzyństwa, religii oraz parytetu złota. - Trzeba pić rano i w nocy. To, co wypije się w ciągu dnia, szybko się wypaca. Pokaż rękę.

Nelson nie miał ochoty. Jego twarz okolona spoconymi rudymi włosami miała fioletowy odcień, a oczy spoglądały wrogo.

- Nic jej nie jest - powiedział i zamilkł z nadąsaną miną.

- Weź się w garść, człowieku - skarcił go Wills, wypowiadając te słowa matowym głosem, głuchym jak uderzenie w marmur, ale Nelson nie zamierzał zaszczycić go spojrzeniem.

W świetle dnia było widać, w jak paskudnym stanie jest Wills. Nie miał brwi ani włosów z przodu głowy. Natarte galaretką z taniną czoło błyszczało, na prawej skroni miał wielkiego siniaka. Kiedy patrzył na morze, szklily mu się oczy, a ręce drżały. Mallory uznał, że marynarz myśli o swoim okręcie. Zaoferował mu kawałek czekolady i kawałek chleba, który przyniósł z Andream z ulicy Mavrocordato, ale Wills pokręcił głową.

- Przykro mi z powodu twojego okrętu - powiedział Mallory.

Wills zrobił minę, która nadała jego twarzy bardzo młodzińczy wygląd.

- Biedne chłopaki...

- Pierwsze dowództwo?

Porucznik skinął głową. W oczach ukazały mu się łzy.

- Możesz iść dalej?

- Pewnie.

- Dobry chłopak.

- Niech się pan nie martwi o Nelsona - powiedział Wills. - Superkoleś.

Mallory skinął głową. Lojalność wobec własnych podwładnych to wspinała rzecz. Miał nadzieję, że Nelson okaże się lojalny wobec dowódcy.

Carstairs siedział osobno, kawałek od pozostałych. W jego naoliwionych lokach zebrał się kurz, a nad przypominającym brew wąsikiem widoczne było długie świeże otarcie skóry.

- Co słysząc? - spytał Mallory.

- W porządku - odparł szorstko Carstairs.

- Chciałbym, aby się pan nas bardziej trzymał. Żeby nic się panu nie stało.

- Niech pan posłucha, Mallory - odparł Carstairs takim tonem, jakby się zwracał do taksówkarza, który zawiózł go na złą ulicę w Mayfair. - Nie pierwszy raz jestem za liniami wroga i czy pan wierzy, czy nie, umiem dbać o siebie. Jeśli ma pan w tym zakresie wątpliwości, proponuję przypomnieć sobie admirała Dixona i odprawę. Nie pańska sprawa, czy coś mi się stanie, czy nie.

Mallory uśmiechnął się i niewinnie zapytał:

- Jak kark?

Twarz Carstairsa nagle nabiegła krwią.

- Niech pan posłucha - kontynuował Mallory - jednym z moich zadań jest dbanie o powierzonych mi ludzi i unikanie represji wobec ludności cywilnej, tak więc za każdym razem, kiedy zechce pan wśród niej powęszyć, byłbym wdzięczny, gdyby mnie pan przedtem spytał o pozwolenie.

- Pytać o pozwolenie? Idź pan do diabła!

- Musi pan współpracować.

- Idź do diabła!

Mallory przestał się uśmiechać.

- Admirał Dixon jest daleko stąd i mało brakowało, a miałby pan przykry wypadek z pułkownikiem Andrea. Ma pan szczęście, że żyje. Proszę się nad tym zastanowić.

Carstairs zadumał się chwilę, po czym spytał:

- A gdzie jest Andrea?

- Wykonuje obowiązki wartownicze.

- Praca pułkownika nigdy się nie kończy... - stwierdził Carstairs i uśmiechnął się z wyższością.

- A więc co pan robił w wiosce?

- Szukałem transportu. Nie pańska sprawa.

- Dokąd?

- Do Akropolu.

Mallory wskazał na swe buty.

- Oto on.

- Słucham?

- Partyzanci wysadzili drogę.

- No, świetnie... - stwierdził Carstairs i nagle się uśmiechnął. - Powinienem był zapytać. Oszczędziłbym sobie sztywnego karku.

Mallory skinął głową, jakby chciał przeprosić.

- Wszystko wychodzi w praniu - powiedział i wstał. - Pięć minut, panowie. Wykorzystajcie je jak najlepiej.

Półka skalna, na której się zatrzymali, znajdowała się w miejscu, skąd niczego nie było widać, ale ze swego punktu obserwacyjnego, położonego nieco wyżej i trochę z boku, Andrea widział plażę, gdzie wyszli na brzeg, zatokę, nad którą leżała Parmatia, oraz samo miasteczko - rozłożone w dole niczym mapa.

Sporo się tam działo.

Odkąd zajął pozycję, z Parmatii wyjechały trzy pomalowane maskującym szarym kolorem wojskowe ciężarówki i skierowały się na drogę wokół zatoki. Na chwilę stracił je z oczu, ale kiedy znów się ukazały, były już tylko dwie. Dojechały do plaży, na której Andrea utopił niemieckiego szeregowca, i tam się zatrzymały. Wysypały się z nich figurki wielkości mrówek i zbiły przy wodzie w małe grupki.

Wyglądało na to, że ktoś musiał znaleźć ciała Dawkinsa i strażnika. Dowódca oddziału mógł na przykład kazać żołnierzom z trzeciej ciężarówki zbierać muszle, ale mógł też wysłać ich w góry. Sytuacja nie była jednoznaczna. Jako armia Wehrmacht był znakomity, lecz składał się w większości z poborowych, których spora część udawała, że walczy, a tak naprawdę jedynie czekała, aż wszystko się skończy, i niezbyt ich obchodziło, która strona zwycięży.

Inaczej sprawa miała się z Sonderkommando, czyli oddziałami specjalnymi. Wehrmacht czuł pełen lęku respekt wobec Dietera Wolfa i jego ludzi. Służący pod nim żołnierze byli ochotnikami, zostali dobrani pod kątem sprawności fizycznej, bezwzględności i przebiegłości, lubili zabijać dla samego zabijania, szczególnie że mogli przy tym gwałcić, rabować i torturować. Choć hitlerowcy nie mieli naczelnego dowódcy Sonderkommando, Dieter Wolf był najbardziej do tej pozycji zbliżony. Dodatkowo liczyło się także to, że jego

bliskim i zaufanym przyjacielem był legendarny Otto Skorzeny - kierownik wydziału specjalnego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Obecność Wolfa oznaczała jedną z dwóch możliwości: albo Niemcy - bez względu na to, co robili w Akropolu - nie zamierzali dopuścić, by im w tym przeszkadzano, albo góry zaraz zaroją się od żołnierzy.

Kiedy Andrea wrócił, jego współtowarzysze zaczęli zbierać się do dalszej drogi. Wills wstając podparł się ręką, nie trafił jednak w odpowiednie miejsce i rozpląszczył się w kurzu. Carstairs uniósł brew. Miller podał porucznikowi dłoń i pomógł mu wstać. Oczy Willsa zdawały się patrzeć w różnych kierunkach.

- Przepraszam - powiedział tak, jakby miał w ustach kawałki marmuru. Miller był pewny, że Wills przeszedł wstrząs mózgu. Ciekawe, zastanawiał się, jak będzie wyglądało porozumiewanie się z nim w takim stanie.

- Za mną - odezwała się Klitemnestra, postawiła nogę na wąskim występie, podciągnęła się na rękach i zniknęła w górze.

Ruszyli za nią - z wyjątkiem Nelsona.

Stał w miejscu przygarbiony i kręcił głową. Włosy miał rozczochrane, szyję bladą, twarz zaczerwienioną i nadaśnaną. Andrea, który szedł jako ostatni, zatrzymał się przy nim.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał.

- Boli mnie ręka.

- Wszystkich coś boli, a jeśli nie pójdziesz, będzie z nami jeszcze gorzej.

- Nie jestem komandosem, ale krwawiącym marynarzem. Po co mam skakać po skałach jak kozica?

- Żeby wypełnić swój obowiązek - powiedział Andrea i delikatnie jak matka pomógł Nelsonowi wspiąć się stopień wyżej. Marynarz spojrzał przez ramię, zbladł, ale zaczął wdrapywać się na czworakach. Andrea doszedł do wniosku, że nie jest z jego ręką tak źle, jeśli zdołał wykrzesać z siebie tyle energii.

Wspinali się cały poranek - najpierw w górę skalnej ściany, potem płataniną zarośniętych krzakami grani i niewielkich zagłębień. O jedenastej znaleźli się na wysokości tysiąc pięćset metrów nad poziomem morza, na niewielkiej polance, gdzie rósł jałowiec i dąb skalny. Między głazami pasły się kozy, a pobrzękiwania dzwonków na ich szyjach tworzyły upiorną atmosferę. Wszyscy szli ciężko, piekły ich usta, a dodatkowo dręczył widok strumienia, płynącego dnem doliny znajdującej się daleko w dole.

- Za gorąco - stwierdziła Klitemnestra, ścierając pot z czoła. - Odpocznijemy trzy godziny.

Zaprowadziła oddział do półki skalnej, z której rozpościerał się widok na dolinę, i

odsunęła na bok gałęzie wielkiego krzewu rozmarynu. Znajdowało się za nim wejście do jaskini.

Mallory miał ochotę iść dalej, widział jednak, że Wills zaraz padnie. Każdemu przyda się odpoczynek. Najlepszy byłby ośmiogodzinny, ale i trzygodzinnym nie należało gardzić.

Cierpliwości.

Carstairs wyjął mapy. Góry były ukształtowane tak, że ich granie wyglądały jak olbrzymie palce prawej ręki. Jeśliby użyć tego porównania, to wspięli się z plaży między palcem wskazującym a środkowym, weszli na grań - palec środkowy - a następnie zeszli w dolinę stanowiącą przestrzeń między palcem środkowym i serdecznym. Droga biegła w klinie między palcami serdecznym i małym. Właśnie tu (Klitemnestra pokazała palcem na mapie) partyzanci wysadzili klif i zablokowali drogę.

Carstairs zaoferował się, że przejmie straż. Mallory usiadł w kącie jaskini tuż obok Millera i zapalił papierosa, by nie czuć smrodu kozich odchodów.

- Miłe miejsce - stwierdził Miller. - Przypomina mi hotel, w którym czasami mieszkałem w San Francisco.

- Masz na myśli dywan? - spytał Mallory.

- I pchły.

Mallory'emu zamykały się oczy.

- Zajmę się - powiedział Miller.

- To świetnie - mruknął Mallory i już spał. Obaj wiedzieli, że chodziło o pilnowanie Carstairsa. Tak więc Miller siedział i palił, Andrea i Mallory chrapali, Wills popadł w odrętwienie, z którego wrywały go raz za razem podrygiwania ciała, a Nelson zwinął się w kulkę. Klitemnestra poszła do oddzielnej groty i nie było wiadomo, czy śpi, czy czuwa, lecz Miller nie mógł jej sobie wyobrazić śpiącej.

Po mniej więcej półgodzinie cicho wstał i bezgłośnie podszedł do wyjścia. Carstairs usadowił się w ruinach chaty pasterskiej nieco wyżej, skąd można było obserwować zarówno wejście do doliny, jak i przeciwległą grań. Było to dobre miejsce do obserwacji. Miller ostrożnie podszedł do chaty. Powietrze dosłownie drżało z gorąca, na jednym z kamieni wygrzewała się jaszczurka. Z wnętrza nie dochodził najmniejszy odgłos, więc Miller zajrzał do środka.

Carstairsa nie było.

Miller przez kilka sekund zastanawiał się. Może właśnie kapitan kucał za którąś z pobliskich skał, przymuszony naturalną potrzebą? Wziął jednak lornetkę i zaczął się rozglądać, lustrując dolinę, drzewa, głązy; przyjrzał się nawet kozie szarpiącej oporną gałąź...

Jest!

Po przeciwległym zboczach wspinająca się maleńka figurka z przerzuconym przez ramię karabinem. Miller opuścił lornetkę. Przez chwilę myślał o tym, czy nie ruszyć w pościg, ale ściana była stroma, a Carstairs niemal dochodził do grani. Nie wiadomo, co znajdowało się za nią, Miller zaś nie był specjalistą od chodzenia po górach.

Wrócił do jaskini i ścisnął Mallory'emu dłoń. Oczy Nowozelandczyka natychmiast się otworzyły.

- Przepraszam, sir. Carstairs sobie poszedł.

- Przejmij straż - oświadczył Mallory, zarzucił na ramię schmeissera i zwój jedwabnej liny i wyszedł natychmiast.

Miller obserwował go - postać w khaki przeskakiwała z jednego chybliwego głazu na drugi, ze swobodą człowieka odbywającego poranną przechadzkę. Uwagę Millera przyciągnęła jasna plamka na niebie i zwrócił ku niej lornetkę - w gorącym powietrzu szybował orzeł. Obserwował go przez jakąś minutę i kiedy skierował lornetkę z powrotem na Mallory'ego, zaskoczyło go, jak bardzo się oddalił. Mallory doszedł do pionowej ścianki, którą każdy stwór cięższy od muchy próbowałby forsować okrężną drogą, lecz on położył ręce na skale i wspiął się bez najmniejszego wahania ani wysiłku, jakby był lżejszy od powietrza. Miller oparł się o skałę, sprawdził broń i zapalił papierosa. Jak przystało na specja od sabotażu, pod twardą powierzchownością kryło się w nim wrażliwe serce. Zrobiło mu się żal każdego, kto stanie Mallory'emu na drodze.

Jeśli nawet miał to być Carstairs.

Było bardzo parno i Mallory natychmiast poczuł, jak puchnie mu język, a pot zaczyna spływać zmarszczkami w kąciach oczu i w dół wychudłej twarzy. Powietrze w dolinie wydawało się nieruchome i ciężkie, pełne aromatu tymianku i zapachu rozgrzanych kamieni oraz papierosów, które wypalił przez wiele nocy, dni i tygodni złego odżywiania się i przerywanego snu.

Początkowo bolała go głowa i miał wszystkiego dość, wystarczyło jednak kilka minut, by skoncentrował się na Carstairsie. Był on śmierdzącą małą tajemnicą, którą należało wyjaśnić, zanim spieprzy im akcję.

Poprawił schmeissera i przyspieszył kroku. Kiedy doszedł do skalnej ściany i zaczął się wspinąć, poczuł, jak z każdym metrem posuwania się po gorącej skale do jego rąk, nóg i pleców wraca życie. Po półgodzinie stał na grani, ale nie na szczycie, gdzie łatwo można by go dostrzec, lecz nieco niżej, w niewielkiej plamie cienia u stóp sporego głazu. Wyjął lornetkę.

Dziesięć cierpliwych minut zajęło mu przeglądanie dzikiego krajobrazu, zanim dostrzegł mignięcie ruchu: człowieka idącego równym krokiem w kierunku dalszego zbocza. W mundurze w kolorze khaki, z karabinem na plecach. Carstairs.

Mallory ruszył w pogoń.

Anglik był nie więcej niż dwadzieścia minut drogi przed nim. W tym terenie mogło to być jakieś półtora kilometra. Mallory stale skracał dystans.

Przeszli przez kilka niskich pagórków, Mallory nie zatrzymując się sprawdził kompas i mapę. Po godzinie i kwadransie wspinaczki teren zaczął ostro opadać, Carstairs wszedł w plamę cienia i zniknął. Mallory nie przejmował się tym, domyślał się bowiem, dokąd kapitan zdąży.

Nie wiedział jednak dlaczego. Przebił się przez kępę krzewów i gwałtownie zatrzymał.

Przed nim zionęła pustka. Stał na skraju klifu, przed sobą widział w drgającym powietrzu krążące szybko jaskółki, jeszcze dalej widać było w dole błękit morza. Położył się i wyjrzał zza krawędzi: miał pod sobą tysiączmetrową przepaść. Daleko w dole, zasłonięte wystającymi skałami, szumiało morze uderzające o skalne brzegi wyspy. Trzysta metrów niżej z klifu wystawała platforma skalna biegnąca niczym parapet. Miała mniej więcej pięćdziesiąt metrów szerokości, na jej skraju rosły szarpane wiatrem krzewy, a u nasady leżały głazy i kamienie, które pospadały z góry w ostatnich kilku stuleciach.

Tuż pod Mallorym, na wybrzuszeniu usypanym z drobnych kamieni, rosła kępa drzew. Po jego prawej stronie kamienne usypisko było znacznie wyższe, sięgało niemal górnego skraju klifu, czyli wysokości, na której się znajdował. Półka była tam całkowicie zablokowana.

Dostrzegł białą wstęgę drogi, która ginęła pod wielką stertą kamieni. Właśnie to musiały być resztki nawisu, który wysadzili partyzanci.

Wszystko wskazywało jednak na to, że wkrótce sytuacja wróci do normy. Do uszu Mallory'ego doleciał hałas pracujących dieslowskich silników i kiedy spojrzał w tamtym kierunku, zauważył bladą linię drogi biegnącej przez osuwisko. Na jego oczach z koparki posypały się kamienie zasypujące jedną z niewielu pozostałych dziur. Jeszcze trochę i droga będzie przejezdna.

U stóp osuwiska stało kilka pojazdów: wóz konny, trzy niemieckie wojskowe ciężarówki i ambulans, którego czerwony krzyż na dachu zdawał się drgać w gorącym powietrzu. W cieniu kępy sosen siedziała grupka ludzi.

Kilkadziesiąt metrów niżej, ukryta przed wzrokiem Niemców, za słupem skalnym

wielkości katedralnej wieży poruszała się mała postać w ubiorze koloru khaki, wisząca jak pająk na cienkiej nitce liny.

Carstairs schodził w dół.

Mallory przez chwilę mu się przyglądał i rozważał - iść za nim, czy pozwolić mu odejść. Zastrzelić go. W tej chwili najchętniej zrobiłby to, ale admirał Dixon był bezpośrednim przełożonym Jensena, poza tym strzał ściągnąłby uwagę Niemców, na dodatek niewiele by dał, gdyż Carstairs znajdował się najprawdopodobniej poza zasięgiem schmeissera. No tak... zastrzelenie Carstairsa mogło być wyłącznie przyjemnym marzeniem.

Mallory - tak, by go nie zauważono - podszedł do szczytu skalnego słupa, gdzie Carstairs umocował linę, po której schodził. Mallory związał dwie opadające w dół nitki; gdyby Carstairs zechciał ściągnąć linę, mocno by się rozczarował.

Popatrzył w dół - lina biegła po pionowej skale i znikwała za występem. Mallory rozwinął z własnego zwoju tyle liny, by sięgała do tego właśnie występu, zamocował ją, odwrócił się plecami do przepaści i zaczął schodzić. Raz i drugi odepchnął się stopami od skały i po chwili znalazł się tam, gdzie chciał. Zatrzymał się.

Pod sobą miał szeroką na jakieś dziesięć metrów skośną półkę skalną, tak uformowaną, że schodząc po niej można było dojść do drogi biegnącej wzdłuż znacznie większej półki, na której zakorzeniły się drzewa i wyrosły jałowce oraz krzewy kaparowe. Lina Carstairsa urywała się tuż nad niedużym stosem kamieni, ale jego samego nie było widać.

Mallory zjechał po linie Carstairsa, hamując tuż nad gruntem, by uniknąć charakterystycznego chrzęknięcia butów o kamienie. W trawie widać było ślad, który zostawił za sobą kapitan. Mallory wyjął nóż i podążył tym tropem.

Przez pięćdziesiąt metrów półka zakręcała - tak samo jak lico klifu - opadała zaś pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni. Mallory widział szare ciężarówki, poruszających się ludzi, czerwony krzyż na dachu ambulansu. Zaczął ostrożnie stawiać kroki.

- Nie ruszaj się - rozległo się przy jego uchu syknięcie i coś tępego dźgnęło go w lewą nerkę. Bez patrzenia wiedział, że to lufa browninga z tłumikiem.

- Co pan, do cholery, wyprawia?

- Zajmuję się swoimi sprawami - odparł Carstairs. Jego fryzura nie była już tak perfekcyjnie ułożona, a idiotyczny wąsik był mokry od potu. W oczach miał dzikie, niebezpieczne błyski.

- Jeśli mnie pan zastrzeli, natychmiast ściągnie tu pięćdziesięciu Niemców.

Lufa dotykająca nerki Mallory'ego nawet nie drgnęła.

- Dlaczego mnie pan śledzi?

- Ponieważ trzymał pan wartę i zdezerterował.

- Niech się pan nie wygłupia...

- To pan się wygłupia. Nie interesuje mnie, od ilu admirałów ma pan rozkazy, ale jestem wyższy od pana rangą i chcę przypomnieć, że choć nie znajduje się pan pod moim bezpośrednim dowództwem, podlega moim rozkazom.

Ucisk lufy odrobinę zelżał. Dwadzieścia pięć metrów niżej, w słońcu żarzył się czerwony krzyż na dachu ambulansu.

- Nie poradzi pan sobie sam - ciągnął Mallory. - To zadanie zespołowe, inaczej jest niewykonalne.

Ucisk lufy browninga zniknął. Carstairs włożył pistolet do kabury, nieco się odwrócił, wykonał jakąś czynność, której towarzyszyło ciche metaliczne trzaśnięcie i schował coś do kieszeni. Skinął głową, wygładził włosy i ułożył usta w uśmiech gwiazdora filmowego, choć trochę go szpeciło otarcie nad górną wargą.

- Doszedłem do wniosku, że warto się rozejrzeć - oświadczył. - Kiedy byłem w miasteczku, usłyszałem, że droga wkrótce zostanie otwarta, więc pomyślałem sobie, że skróciłoby nam to podróż. Rozumie pan?

Mallory doskonale rozumiał, tylko że to, co Carstairs mówił, nie miało nic wspólnego z tym, co robił.

- Kontynuujemy marsz przez góry - odparł.

Carstairs wzruszył ramionami, schylił się, podniósł swój snajperski karabin i ruszył ścieżką w kierunku liny. Kiedy przechodził obok kępy krzewów, wyleciał z niej spłoszony gołąb. Zaraz po nim z krzaka wyfrunęły trzy następne i wszystkie ptaki poleciały zygzakiem w kierunku drogi, machając jak na wyścigi skrzydłami. Carstairs i Mallory zamarli, przestali nawet oddychać. Nad przepaścią zawisła ciężka, groźna cisza, którą po chwili przerwał niemiecki głos, świadczący o spokoju i znakomitym profesjonalizmie:

- Schmidt, weźcie dwóch ludzi, idźcie na górę i sprawdźcie, co się dzieje!

Mallory i Carstairs równocześnie się odwrócili i zaczęli biec.

- Pan pierwszy - rzucił Mallory, kiedy dotarli do liny.

Carstairs złapał linę i piał się w górę. Kopał przy tym nogami o skałę, robiąc hałas, ale przynajmniej szybko się poruszał. Mallory zdjął pistolet maszynowy z ramienia i kiedy Carstairs dotarł do występu skalnego, krzyknął:

- Kryj mnie! - złapał linę i zaczął się wdrapywać.

Skała była szorstka i pełna dziur, więc po jakichś dwóch minutach był pod nawisem.

Pod sobą słyszał niemieckie okrzyki. Uznał, że w tej sytuacji szybkość jest ważniejsza od techniki i ostatni odcinek drogi podciągał się na rękach. Spodziewał się, że na górze będzie czekał Carstairs, gotowy do rozpoczęcia ognia, ale okazało się, że nie uważał on za stosowne czekać. Kolejny raz wyszła na jaw jego dewiza „martw się tylko o siebie” i postanowił wspinać się dalej. W momencie kiedy Mallory uniósł ku niemu wzrok, rozległ się strzał i tuż koło ramienia Carstairsa odprysnął kawałek skały. Lina, po której Mallory przed chwilą wszedł na występ, była napięta, co oznaczało, że wspina się po niej jakiś Niemiec. Mallory wyjął zawleczkę granatu, puścił dźwignię i policzył do trzech, słuchając syku zapalnika. Mówiąc „cztery” rzucił granat za krawędź skalną.

Od skał odbiło się echo wybuchu, lina gwałtownie sflaczała i rozległ się przeraźliwy wrzask. Mallory rzucił w dół kolejny granat - tym razem odczekując pięć sekund - i zaczął się piąć wyżej. Kiedy usłyszał głuchoe huknięcie, pokonał już pół drogi. Na dole ktoś musiał przeżyć, ponieważ rozległy się odgłosy strzałów. Mallory słyszał uderzenia pocisków o skałę, ale strzelano chaotycznie i niecelnie. Znalazł oparcie, wyjął z torby kolejny granat, wyciągnął zębami zawleczkę i rzucił go za siebie. Na drodze zaczął się ruch - było jasne, że Niemcy chcą ustawić w pozycji do strzału broń zamontowaną na którymś samochodzie. Huknął jego granat. Z góry nie dobiegał żaden odgłos. Dotarł na szczyt.

Carstairs wciągał swą linę i związał ją. Popatrzył na Mallory'ego, związał zwój i ruszył przed siebie. Mallory złapał go za ramię.

- Powiedziałem, żeby mnie pan osłaniał.

Carstairs uniósł brew.

- Nie słyszałem.

- Musimy się pokazać.

- Niech się pan nie wygłupia.

Mallory trzymał broń gotową do strzału, skierowaną w ziemię, tuż przed nogami Carstairsa.

- Musimy im pokazać, że to operacja aliancka, a nie partyzanci. Żeby nie mścili się na ludności cywilnej.

- Boże drogi...

- Jeżeli odmówi pan wykonania rozkazu, uznam to za bunt.

Carstairs widocznie dostrzegł coś w minie Mallory'ego, wzdrygnął się bowiem, jakby dostał w zęby. Zaśmiał się, ale cicho i niepewnie.

- Jezu... no, jeśli pan tak uważa...

Mallory ruszył wzdłuż brzegu skalnej ściany. Posuwali się na tyle daleko od jej skraju,

że nie można im było zrobić krzywdy. Kiedy doszli nad miejsce, w którym byli Niemcy, Mallory podszedł na kuckach na sam kraniec i wyjrzał. Pojazdy stały na swoich miejscach, ale żołnierze zniknęli - najwyraźniej się pochowali. Wstał, ciągnąc za sobą Carstairsa.

- Regularna armia aliancka! - wrzasnął po angielsku i niemiecku, rzucił w dół ostatni granat i cofnął się. Po sekundzie salwa z broni maszynowej przecięła powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą stał. - Idziemy! - krzyknął i popędzili z powrotem.

To, co się stało, oznaczało kłopoty. Stracili element zaskoczenia. Jeśli żołnierze, z którymi przed chwilą się starł, należeli do Werhmachtu, mogli mieć poważne kłopoty. Jeśli do Sonderkommando, to kłopoty mogły się okazać bardzo poważne. Niezależnie od wszystkiego, było jasne, kto się do tego przyczynił - oczywiście Carstairs.

Przebrnęli przez pierwszą grań bez przeszkód, potem zeszli zboczem w dół i znów zaczęli się wspinać. Kiedy Mallory pokonywał ostatnie metry przed szczytem, koło ucha świsnęła mu kula. Kamień po jego prawej stronie rozprysnął się na setki ostrych kawałków. Widział kontur grani, odcinający się ostro od tła nieba. Skoczył do przodu i przerzucił ciało na drugą stronę. Ledwie skrył się za skałą i wziął pierwszy oddech, salwa z karabinu maszynowego rozbiła na pył kilka górnych centymetrów skalnej płyty, za którą się chował. Obok kulił się Carstairs i wypluwał pył.

- Niech mi pan da swój karabin i pójdzie zawiadomić pozostałych - powiedział Mallory.

Carstairs odparł z westchnieniem:

- Popatrz, popatrz... - zaraz jednak albo przypomniał sobie rozmowę na klifie, albo zauważył wyraz oczu Mallory'ego, podał mu bowiem broń i ruszył biegiem.

Mallory przebiegł pod osłoną grani pięćdziesiąt metrów w bok, zatrzymał się między dwoma głazami i oparł lufę mausera na dużym kamieniu. Zdjął osłony lunetki, wziął kilka głębokich oddechów i przycisnął kolbę do ramienia. W okularze widział drgające głązy i krzewy, na szczęście ręka szybko mu się uspokoila i obraz stał się normalny. Przez teren, który oglądał, biegła postać w szarozielonym polowym mundurze i podobnym do kubła hełmie na głowie, z gotowym do strzału schmeisserem.

Mallory naprowadził przecięcie nitek celowniczych na pierś żołnierza i pociągnął za spust. Mauser drgnął, a szara figurka rozrzuciła ramiona w bok i ciśnięta impetem, poleciała do tyłu, gdzieś w skały. Mallory dostrzegł, jak za trafionym żołnierzem pojawia się krótki, migoczący płomyk ognia z lufy karabinu maszynowego i po ułamku sekundy rozległ się łomot i wizg pocisków rozbijających skałę. Nie zwracał na to uwagi, ważniejsza była obserwacja. Szukał między skałami i co chwila odkrywał kolejny podobny do szarego

kamienia niemiecki hełm. Znów zaszczekał karabin maszynowy. Mallory dostrzegł cholewę wysokiego buta ładowacza erkaemu. Przeszawił nieco celownik i strzelił Niemcowi tuż pod kolano. Kiedy strzelec odwrócił twarz do kolegi, strzelił mu w skroń, następnie postanowił skoncentrować się na oddziale posuwającym się w górę nierównego, pełnego głazów zbocza.

W szarej dolinie poruszały się jedynie krzewy, szarpane wiatrem od morza.

Mallory zaczął pełznąć do tyłu na łokciach i kolanach, a kiedy znalazł się za granią, pochylił się tak, by go nie dostrzeżono. Oddział Wehrmachtu zachowywałby się inaczej - chaotyczniej i lekkomyślniej, natomiast ci ludzie, dobrze poukrywani w dole, sprawiali wrażenie znakomicie zorganizowanych i zdyscyplinowanych. Mallory'emu zdawało się, że czuje przebijający się przez aromat tymianku i rozmarynu oraz zapaszek jego własnego potu obrzydliwy odór Dietera Wolfa.

Ponownie podszedł do grani. Po prawej stronie - jakby wyszła spod ziemi - pojawiła się jakaś postać, szybko jak królik przebiegła kilka metrów i skoczyła za kolejny głaz. Mallory strzelił w jej kierunku, niestety do jego uszu dotarł jedynie wizg rykoszetu. Nie trafił. Zarzucił karabin na ramię i ruszył biegiem. Skacząc z kamienia na kamień, pognął z boczem w dół, przeszedł przez strumień, wszedł na przeciwległe zbocze i już był w jaskini.

Czekali na niego - spakowani, gotowi do natychmiastowego wymarszu. Mallory popatrzył na Carstairsa.

- Jest pan aresztowany - powiedział.

Carstairs zbladł, jego twarz przybrała barwę surowej ryby.

- Nie może pan...

- Rozbrój go - rzucił Mallory do Millera. Lufa schmeissera niby przypadkiem wskazywała przy tym na brzuch kapitana.

Miller z kamienną twarzą odebrał Carstairsowi broń i nóż. Carstairs otworzył usta, ale zdążył jedynie powiedzieć:

- Nie miałem zamiaru...

- Zagroził pan bezpieczeństwu operacji. Zajmiemy się tym później - przerwał mu Mallory i wyjął mapę. Ruchem ręki przywołał Klitemnestrę. - Podąża tu trzydziestu ludzi. Dokąd idziemy? - Podał jej ołówek.

Dziewczyna narysowała planowaną trasę - słabo widoczną zygzakowatą linię, kończącą się tuż przy brzegu wyspy.

- Będziemy zostawiać znaki z kupek kamieni - powiedziała.

Mallory wskazał palcem widoczny na mapie wąski biały paseczek.

- Co to jest?

Wyjaśniła mu, następnie ustalili miejsce spotkania i Klitemnestra wyszła na zewnątrz, by poprowadzić oddaną pod jej opiekę grupkę. Wills w dalszym ciągu patrzył błędnym wzrokiem i poruszał się, jakby miał nogi z gumy, Nelson był wyraźnie przerażony, trzymał się za ranną rękę i choć twarz miał spieczoną słońcem, wydawał się szary - nie wiadomo czy z bólu, czy ze strachu. Miller stał obok olbrzymiego plecaka, a zachowanie Carstairsa oscyloowało między poczuciem winy a arogancją.

- Pójdziecie w stronę tamtych wzgórz - Mallory poinformował Millera. Dał mu kopię mapy. - Na razie.

Miller spojrział we wskazanym kierunku. Jeśli to były „wzgórza”, to musiały się nazywać Himalaje, a on miał się tam wdrapać i udawać yeti... Takie wysokości były przeznaczone dla wysokogórskich orłów, a on był typowym przedstawicielem Środkowego Zachodu i jego ideałem był stół bilardowy.

- Nie ma sprawy - odrzekł.

- Zrobimy, co się da. - Mallory miał poważną, ale spokojną minę, oczy zamyślane, nieobecne. Ładował naboje do magazynka schmeissera i zastanawiał się, jak we dwójkę mają nie tylko poradzić sobie z trzydziestoma Niemcami, ale potem jeszcze skutecznie przeprowadzić zlecone zadanie. - Będziemy u was, góra za dwie godziny. Jeśli nie, ruszajcie sami.

Miller odwrócił się, zarzucił plecak na ramiona i ruszył za Klitemnestrą, Carstairsem i obydwoma marynarzami. Pokonali grań, przetrawersowali opadające zbocze, potem przeszli płaskie, pełne głazów poletko, skąd ścieżka wiła się pod górę. Wzgórze - przekonywał sam siebie Miller - wzgórze. Gdyby zbocze, którym szli, znajdowało się przy brzegu morza, miałby na nie tylko jedną nazwę: klif.

Pot zalewał mu oczy, paski plecaka wcinały się w ramiona. W dole terkotała broń maszynowa - Mallory i Andrea pracowali. Idący przed nim Wills potknął się i upadł.

- Nic mi nie jest - mruknął marynarz. - To tylko...

- Pomóżcie mu - rozkazał Miller. Klitemnestra zaczęła ciągnąć Willsa za ramię.

- Biedak jest dla mnie za ciężki.

- Kapitanie Carstairs? - powiedział Miller.

Carstairs skrzywił się, ale, choć z ociąganiem, zarzucił sobie ramię Willsa na szyję i podniósł go.

- Ruszać się! - rzucił i udali się w drogę.

Przy jaskini sprawy się komplikowały.

Optymalnie wykorzystując osłonę grani, żołnierze Sonderkommando dotarli do

szczytu, tu jednak utknęli. Gdyby próbowali wyjść, byłiby doskonale widoczni na tle nieba. Mieli przewagę liczebną, ale nie mieli artylerii ani moździerzy, nie zapowiadało się także na wsparcie z powietrza. Przy użyciu jedynie broni ręcznej walka z dwoma zdeterminowanymi obrońcami zawsze jest w takich warunkach trudna.

Cały czas w ukryciu, Andrea i Mallory zdążali w kierunku ruin pasterskiej chaty, zatrzymując się jedynie po to, aby strzelać do wychylających się zza grani głów w kubłowych hełmach. Niemcy byli jednak na tyle sprytni, że żaden nie wychylał głowy dwa razy w tym samym miejscu. Słońce przesunęło się spory kawałek po niebie, ale w dalszym ciągu było upalnie.

O wpół do piątej strzelanina zza grani ustała. Mallory i Andrea byli oddaleni od siebie nie więcej niż dziesięć metrów. Porozumieli się wzrokiem i spojrzeli na kryjówkę Niemców. Nic się nie poruszało. Przez chwilę słychać było śpiew ptaków, wiała lekka bryza i mogło się zdawać, że nie ma wojny, zaraz jednak w oddali rozległa się cicha eksplozja, przypominająca plaśnięcie wielkiej dłoni, i obaj rzucili się na ziemię, doskonale bowiem wiedzieli, co to oznacza.

Wysoko w górze zmaterializował się mały czarny punkcik, przez chwilę wisiał nieruchomo, następnie spadł na ziemię trzydzieści metrów od nich. Rozległo się ostre, przesywające uszy KRUMP i tuż nad ich głowami świsnęły kawałki skały. Moździerz. Kiedy Mallory ruszył biegiem w kierunku dwóch głązów, by się za nimi schować, zadudnił erkaem. A więc Niemcy ściągnęli moździerz i obsadzili na nowo ręczny karabin maszynowy Spandau...

Mallory startł krew z czoła, poranionego ostrymi drobinami. Perspektywa walki z przeważającymi siłami wroga, uzbrojonego w moździerz i broń maszynową, nie wyglądała rewelacyjnie, ale musieli ją podjąć, by reszta oddziału zdołała uciec. Przeczółgał się aż do końca kamiennego muru, za którym się skrył, i puścił serię. Natychmiast odpowiedział erkaem. Wykorzystując jego osłonę, pięć ubranych na szaro postaci wyskoczyło zza grani, pokonało pięciometrową odległość i zniknęło mu z oczu. Ekspłodował kolejny granat z moździerza - tym razem bliżej.

- Idę, Keith! - wrzasnął Andrea. Brzmiało to jak okrzyk bólu, ale Mallory znał prawdę: Andrea wyruszał wyrównać szanse.

Grek wspiął się na grań, przeszedł ją za plecami Mallory'ego, przebiegł pod jego osłoną dwieście metrów, wrócił do doliny i zaczął pełznąć po ziemi niczym wielka jaszczurka.

Po jego prawej stronie strzelano i rozlegały się wybuchy - wyraźnie słyszał

schmeissera Mallory'ego, który działał tak, że Niemcy mogli sądzić, iż mają przed sobą większy oddział. On i Keith Mallory byli jednym zespołem. Jak na razie wszystko szło jak należy.

Teren zaczął się wznosić i powinni tu być Niemcy chroniący swoje flanki. Andrea leżał nieruchomo, unosił głowę po milimetrze.

Dwadzieścia metrów w prawo za kamieniem siedział żołnierz i obserwował głązy w dole.

Andrea ruszył niczym wielki cień. Wykorzystywał każde ciemniejsze miejsce za krzewami i większymi kamieniami. Gdyby ktoś to obserwował, nawet by nie przypuszczał, że to porusza się człowiek... Po czterech minutach zatoczył półkole - patrzył na tył hełmu, plecy przepasane skośnymi pasami, wiszące u paska manierki, napięte ramiona...

Bezgłośnie posuwał się do przodu, nóż trzymał przed sobą. Walka była krótka i odbyła się w milczeniu. Niemiec wypuścił powietrze z płuc, ale nie zdążył już zrobić wdechu. Andrea położył ciało na zapyłonej ziemi, wytarł nóż w mundur Niemca i ostrożnie ruszył dalej.

Po jakimś czasie kucnął za gładem i czekał. Rozległo się kolejne PLAP! i po chwili wystrzelony granat eksplodował w oddali. Widział głowy skulonych wokół moździerza żołnierzy, blask słońca na prawie pionowo ustawionej lufie, w niewielkim zagłębieniu. Kawalek dalej stał erkaem, ukryty za stertą kamieni. Andrea zauważył, że poza żołnierzem, którego zabił, nikt więcej nie osłania flank. Musiał to być pośpiesznie zebrany oddział, posłany bez pojęcia w pogoń po górach, mający za mało ludzi i sprzętu.

Myśli te przeszły mu przez głowę w ułamku sekundy. Równocześnie przepelzł między gładami w pobliże stanowiska erkaemu. Spandau zaterkotał i w zбочe po przeciwnej stronie doliny poleciała seria. Andrea nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że goniące Mallory'ego szare postacie wstały, przebiegły kilka metrów i znów padły na ziemię. Niemcy posuwali się do przodu.

Rzucił na stanowisko moździerza trzy granaty, zdjął z ramienia broń i wstał.

Mallory wiedział, że jest w poważnych tarapatach. Żołnierze Sonderkommando zbliżyli się do niego na odległość strzału z pistoletu maszynowego. Moździerz zamilkł, aby nie trafić własnych ludzi. Odłożył broń i próbował patrzeć równocześnie w trzech kierunkach. Pod osłoną ostatniej serii z erkaemu wróg zbliżył się jeszcze bardziej, znajdował się teraz czterdzieści metrów od niego. Z prawej mignął mu jakiś hełm, zdawało mu się także, że widzi ruch z lewej, ale nie był pewien. Musiał to sprawdzić. Usiadł za gładem i czekał, aż odezwie się kolejna seria z erkaemu. Wiedział, że najpierw będzie krótka - sygnał dla Niemców, a dla

niego informacja, że ma schować głowę, potem kilka długich, w czasie których będzie musiał siedzieć bez ruchu, a Niemcy się przybliżą.

Spandau zaterkotał krótko, a zamiast długiej serii nastąpiła eksplozja. Była zbyt głośna jak na wybuch granatu - zabrzmiała tak, jakby naraz wybuchło kilka pocisków mózdzierzowych. Zaraz potem rozstrzelał się schmeisser i rozległy wrzaski.

W ciszy, która zapadła później, Mallory wyrzwał przez szczelinę w kamiennym murze, który go chronił. Kiedy szare hełmy się podniosły, puścił w ich kierunku krótką serię. Erkaem zaczął znów strzelać i Niemcy wyszli ze swych kryjówek. Czekał, aż zadudnią wokół niego pociski...

Przyłożył oko do szpary.

Szare postacie w dole poruszały się, ale nie z powodu osłony ogniowej. Po pierwszej krótkiej serii erkaemu Niemcy wyszli na otwartą przestrzeń, lecz druga seria - długa - nie przeszła nad ich głowami, uderzyła natomiast w nich.

Teren w dole zaścielały trupy w szarych mundurach. Z prawej ktoś jęczał, z lewej Mallory dostrzegł kątem oka ruch i błyskawicznie się odwrócił. Szedł ku niemu żołnierz w maskującym mundurze - mocno poplamionym świeżą krwią. Mallory strzelił i Niemiec padł z łomotem na ziemię.

Po przeciwległej stronie doliny ktoś wstał. Kierowany odruchem, Mallory sięgnął po leżący obok niego karabin snajperski, ale zatrzymał się w połowie ruchu. Był to Andrea.

Po kilku minutach Grek dotarł do jaskini, gdzie już czekał na niego Mallory z papierosem w ustach.

- Przydało się - powiedział krótko.

Andrea skinął głową. Był znakomitym rzemieślnikiem sztuki wojennej i po prostu wykonał swoją robotę. Mallory poczęstował go papierosem. Zarzucili plecaki i ruszyli w górę zbocza.

Kiedy dotarli na szczyt, popatrzyli za siebie na miejsce, gdzie zginęło albo skąd uciekło trzydziestu ludzi. Cienie się znacznie wydłużyły - mijało popołudnie pierwszego dnia pracy. Nie było się z czego cieszyć - Niemcy wiedzieli, że w górach jest angielski oddział. Co prawda nie mieli pojęcia, że w jego skład wchodzi dwóch rannych marynarzy i człowiek nie podporządkowujący się rozkazom, ale na pewno się dowiedzą. Bardzo szybko.

W dolinie odnieśli zwycięstwo, lecz było to jedno jedyne zwycięstwo w operacji, która zapowiadała się na bardzo długą.

ŚRODA 18.00 - CZWARTEK 3.00

Za kamienistym poletkiem ścieżka zaczęła się ostro wznosić. Właściwie nie była to ścieżka, ale oznakowany kamieniami szlak biegnący nagim zboczem. Kamienie poukładano jeden na drugim, tak jak robią to dzieci, bawiąc się na plaży w rzucanie do celu. Kiedy przechodzili obok nich, Mallory je przewracał. Zakończyli ten etap wspinaczki około szóstej. Słońce oświetlało szczyty na zachodzie. Okazało się, że stoją u podnóża niemal pionowej ściany skalnej.

- No i co? - zapytał Andrea. - Mamy udawać muchy?

Mallory pokręcił głową. Napił się łyk wody i poszedł na lewo, w głęboki cień, gdzie ściana zdawała się nie tak bardzo pionowa. Dostrzegł kolejny kamienny znak pozostawiony przez Klitemnestrę.

Ściana tak naprawdę nie była częścią góry, lecz tworem, który - gdyby wyspa była rybą - stanowiłby jej płetwę grzbietową. Stali prawie w najniższym miejscu. W najwyższym punkcie „płetwa” miała co prawda trzysta metrów wysokości, ale średnio metr szerokości i składała się ze zwietrzałej skały. Była bardzo długa i znikwała w dali. Mallory wskazał na mapę.

- To się wznosi jak podjazd. Górą można iść. Kawalek dalej jest szerzej.

- A potem znowu się zwęża - mruknął Andrea. Miał rację, lecz słońce zaczynało zachodzić i nie było czasu na debaty. Zaczęli się wspinać. Droga była łatwa, ale Andrea patrzył tuż pod nogi i starał się nie myśleć o otchłani z prawej i lewej strony skalnego plasterka, lecz próbował skupić się na tym, co jest za górami: na bagnach Akropolu. Zastanawiał się, jak przez nie przejść, by osiągnąć cel.

Po jakimś czasie ścieżka zaczęła się robić szersza i weszli na mały płaskowyż. Andrea zatrzymał się w tym miejscu, a Mallory poszedł dalej - na rekonesans. Z daleka dolatywało ciche brzęczenie. Andrea znalazł zasłoniętą krzakiem skalną półkę, kucnął za nią i obserwował, jak jego ukochany kraj zaczyna spowijać mrok. Zaklął.

Granie przypominające rozczapierzone palce opadały na zachodzie ku matowogranatowemu morzu. Doliny spowijały obłoki mgiełki, podświetlanej na pomarańczowo i czerwono, co zapowiadało zachód słońca. W górze - jakby wyleciał z wysokich klifów - migotał samolot w blasku ostatnich promieni.

Mallory także go obserwował. Dość daleko przed nim szczyt „płetwy” dochodził do

labiryntu pionowych skał i kanionów, klifów postawionych na klifach, a nad wszystkim wznosił się masyw góry Skaphos. Niebo nad jej wierzchołkiem było przepehnione najklarowniejszym granatem, na którego tle ukazał się samolot. Był to fiesler storch - wolno latająca maszyna obserwacyjna. Szukali ich.

Storch łagodnie wszedł w skręt i zaczął zniżać lot. Nie minęło wiele czasu, a znalazł się tak blisko, że Mallory widział kontur głowy pilota i blask szkieł lornetki obserwatora. Położył się twarzą do ziemi, z nadzieją, że cholerstwo odleci.

Miller także usłyszał silniki samolotu. Miejsce, w którym mieli się spotkać, było według mapy jaskinią, ale tak naprawdę nawisem skalnym, wychodzącym z pionowej ściany. Klitemnestra drzemała, Wills pomrukiwał przez sen, Nelson siedział oparty plecami o skałę, obejmował się za ranne ramię i z wybałuszonymi oczami wpatrywał w głaz przed sobą, jakby wyświetlano na nim film ukazujący coś, co wcale mu się nie podobało. Carstairs siedział w krzakach przed jaskinią - w dalszym ciągu nie uzbrojony - i obserwował grań oraz dolinę w dole.

- Co to? - spytał Nelson.

- Samolot.

- Czego chcą?

- Gdybym był ptakiem, tobym zapytał.

Nelson pokręcił głową - dziwnie, gorączkowo. Miller uznał, że ten człowiek stanowi obrzydliwą mieszanekę choroby i przerażenia. Miller nie był niańką, ale sabotażystą, ponieważ jednak był dobry z natury, więc uspokajająco powiedział:

- Siedzimy cicho, nie pokazujemy się i wszystko będzie dobrze. - No tak, ale co dalej, pomyślał. Mieli przed sobą kawał drogi i czekało ich zaatakowanie wielkiego przeklętego bunkra i... co miał im powiedzieć: Hej, wy, ty ranny i ty wariacie, posiedźcie sobie trochę w górach, aż usłyszycie wielkie BUM! Wtedy tatuś wróci i załatwi wam bezpieczny powrót do domu...

Jasne.

Wyjął papierosa i wetknął go sobie w usta, ale nie zapalał. W takim świetle dobry obserwator bez trudu mógł dostrzec błysk sprzączki, białko oka, dym z papierosa. Siedzący w głębi jaskini Wills powiedział głośno i zdecydowanie:

- Henry!

Nie było tu żadnego Henry'ego, więc Miller kazał mu spać dalej.

- Wszystko będzie dobrze, poruczniku - zapewnił.

- Ten cholerny samolot się spóźnił - mówił Wills. - Muszę być w Paryżu na lunchu.

Camilla czeka. - Wstał, ale ledwo trzymał się na nogach. - Na Boga!

- Siadaj! - Miller poważnie się zaniepokoił.

- Sam... sam siadaj! Siadaj i stul pysk. - Wills podszedł do wyjścia z jaskini. Miller wstał, by go powstrzymać. - Mówię uczciwie...

- Sir, proszę... - powiedział Miller.

Samolot właśnie był w najdalszym od nich punkcie i zaraz miał zrobić skręt, by lecieć w ich stronę.

- Odejdź ode mnie. Przecież wiesz, że to moja narzeczona. Jesteśmy umówieni na lunch w Paryżu. Super. Specjalne traktowanie. - Oczy Willsa były szkliste, patrzyły na scenerię z całkowicie innej rzeczywistości. Może na celników w Croydon. Zaczął grzebać w kieszeni przepoconego, brudnego munduru. - Oto i on! - Może zdawało mu się, że podaje paszport, ale była to papierośnica. Srebrna, dobrze wypolerowana. Zamachał nią Millerowi pod nosem.

- Niech pan to schowa.

Wills nie przestawał jednak machać. W którymś momencie w papierośnicy odbił się promień zachodzącego słońca i oślepił Millera. Przerażony wyrwał ją Willsowi z rąk.

Dźwięk silnika storcha za ich plecami nagle się zmienił z basowego buczenia na sopranowe bzyczenie. Pilot otworzył przepustnicę, zaczął się ostro wznosić i poleciał prosto jak strzała na wschód, nad szczytem góry Skaphos.

Wszystko wskazywało na to, że zauważył błysk.

Mallory obserwował, jak samolot zmienia kurs, usłyszał inną pracę silnika. Wiedział, co to oznacza. Tak samo zrozumiał to Andrea, sądząc po tempie, w jakim przybiegł.

Ruszyli granią tak szybko, aż wokół fruwały roztrącane kamyki, które spadały wysokim łukiem w przepaść po obu stronach. Dziesięć minut później wspinali się stromą, niemal niewidoczną ścieżką, prowadzącą wśród krzewów jałowca. Zza głazów wyłonił się Miller.

- Ruszamy! - rzucił Mallory. - Gdzie Carstairs?

Carstairs wstał i wyszedł zza krzaku.

- Papierosa? - spytał i wyjął papierośnicę. - Tureckie z lewej, wirgińskie z prawej.

- Proszę to schować - powiedział Mallory. - Kapitanie Carstairs, mam panu coś do powiedzenia. Baaczność!

Carstairs rzucił papierosa na ziemię i przyjął postawę zasadniczą. Miał minę człowieka, który idąc w ciemności ulicą właśnie pojął, że postawił nogę nad otwartym włazem kanalizacyjnym.

- Kapitanie Carstairs, zmieniam pański przydział operacyjny. - Mallory powiedział to zupełnie spokojnie, ale w jego głosie była moc, od której kapitanowi włosy stanęły dęba. - Do końca tej operacji przechodzi pan pod bezpośrednie dowództwo moje i pułkownika Andrei. Kiedy nadarzy się odpowiednia okazja, stanie pan przed sądem polowym za dezercję w obliczu wroga. Czy wyrażam się jasno?

- Tak... nie... - wyjąkał blady Carstairs.

- Zażalenia od tej decyzji należy składać na piśmie po zakończeniu prowadzonej obecnie operacji. Proszę uważać się od tej chwili za aresztowanego. Pańskie zachowanie zostanie wzięte pod uwagę w trakcie procesu przed sądem polowym.

Zapadła cisza. Carstairs stał blady i odrętwiały. Kara za dezercję w obliczu wroga jest jedna - śmierć. Sens słów Mallory'ego był jednoznaczny: zachowuj się jak należy albo umrzesz.

- Kapralu, proszę zwrócić temu człowiekowi broń - Andrea zwrócił się do Millera.

- Z przyjemnością.

Carstairs sphywał potem. W ciągu kilku sekund ta bezładna zbieranina przemieniła się w regulaminową, ściśle zorganizowaną jednostkę wojskową. Dotarło do niego, że ich nie docenił. Bardzo nie docenił.

Od tej chwili będzie musiał stosować nową taktykę.

- Klitemnestro - powiedział Mallory. - Musimy iść w góry. Trzeba ukryć się tam do rana.

- Oczywiście.

Mallory napił się wody i zarzucił plecak na ramiona.

- Ruszamy - rozkazał. Klitemnestra przejęła prowadzenie, Mallory szedł obok niej. - Czy jest możliwe, że przed nami są Niemcy i odetną nam drogę?

- Dzisiejszego wieczoru nie. Tamta strona wyspy jest bardzo stroma. To naprawdę trudny teren.

Miller szedł tuż za nimi. Z kącika ust zwisał mu papieros.

- Chcecie wiedzieć, co ja bym zrobił? - spytał. - Wsadziłbym paru chłopaków do samolotu, może nawet dwie grupy - jedna szłaby przed nami, druga za nami - przyleciał tu z nimi i zrzucił ich. Mogliby nas popędzić i nie zabolałyby ich nogi.

Wspinali się z trudem zygzakowatą ścieżką, prowadzącą na szczyt stromego zbocza. Mallory słyszał swój ciężki oddech. Był zmęczony, ale jeszcze nie w takim stopniu, by wziąć benzedrynę. Zaczęło mu dziwnie brzęczeć w głowie...

Dziwne brzęczenie nie pochodziło z jego głowy, ale z nieba. Robiło się coraz

głośniejsze, przeszło w basowe buczenie, następnie w warkot.

Popatrzył w górę.

Mieli nad sobą trzy samoloty: trzymotorowe junkersy o przydomku „Ciotka Ju”. Błyszczały złoto w ostatnich promieniach słońca, niczym pękate, niezgrabne zabawki dziecka milionera. Drzwi z obu stron każdej maszyny były szeroko pootwierane.

Nie były to jednak zabawki.

Mallory poczuł nagle pustkę w głowie i suchość w ustach. Dźwięk własnego oddechu w jego uszach nasilił się. Przyśpieszył kroku.

Ludzie w jego grupie byli na tyle wyszkoleni, że słysząc łopot skrzydeł śmierci, wiedzieli, z czym mają do czynienia. Wszyscy starali się iść szybciej.

Obszyte baranim futrem marynarskie buty, na które patrzył Wills, człapały i człapały po łupkowej skale. Zdawało mu się, że idzie już wieczność - dalej i dalej, i dalej w górę, podczas gdy nogi mu się gotują, a mózg obija o brzegi czaszki jak rzepa w wojskowym kotle. Bolało go jak cholera, to była jedyna pewna rzecz. Bolało go jak cholera, czuł w ustach gorycz, w nosie zapach aluminium, w sercu smutek jak aksamit. Przypomniawszy sobie jednak, jak się nazywa, podejrzewał więc, że jego stan się poprawia. Niejasno przypominał sobie także, że kiedyś, w jakimś innym świecie, miał okręt, ale wszystko wybuchło i go stracił.

Przed nim było strome podejście. Po lewej stronie miał ścianę, po prawej głęboką nicość, a w głowie ryczące, wyjące, gwizdzące pulsowanie krwi, samolotów czy czegoś jeszcze innego... Choć słońce raziło, popatrzył na prawo, daleko za przepaść. Było czerwone, miało kolor krwi. Rozświetlało morze, ziemię i meduzy.

Meduzy?

W powietrzu latały meduzy i nurkowały ku plamom cienia między skałami.

Powyzsze zdanie nie może być prawdą. Sprawdź szczegóły.

Jakie szczegóły?

Obszyte baranim futrem marynarskie buty, na które patrzył Wills, człapały i człapały po łupkowej skale.

W dole widać było białe jedwabne spadochrony żołnierzy Sonderkommando. Zachodzące słońce zabarwiało je na różowo, przez co wyglądały jak paznokcie niemowlaka. Gromadziły się na płaskiej polance u stóp stromego grzbietu, na który Andrea i Mallory wspięli się po potyczce przy jaskini.

- Ile do zmroku? - spytał Mallory.

Klitemnestra wzruszyła ramionami.

- Czterdzieści minut.

Mallory popatrzył na powolne, ciężkie człapanie Willsa, na pełne cierpienia kuśtykanie Nelsona. Mężczyźni na spadochronach byli wypoczęci, a jego ludzie nie tylko dopiero co wspięli się na wysokość półtora kilometra nad poziom morza, ale nie spali od dwudziestu czterech godzin.

Ścieżka, którą szli, biegła wąskim płaskim występem skalnym, wzdłuż lica klifu. Po dziesięciu minutach dotarli do kolejnej półki - główna ścieżka skręcała w lewo, w prawo odchodził znacznie węższy, ledwie widoczny szlak. Andrea zamienił parę słów po grecku z Klitemnestrą i podszedł do Mallory'ego. Nachylili się nad mapą. Po chwili Mallory wydał rozkaz:

- Carstairs, idzie pan z Klitemnestrą i rannymi, Miller i Andrea ze mną.

- Fantastycznie - odparł Carstairs z uśmiechem szczerego harcerza.

- Niemcy będą tu za dwadzieścia minut. Ruszajcie się - oświadczył Mallory poważnym tonem.

Kapitan nie zwlekał. Maleńka grupka zniknęła za zakrętem wąziutkiej ścieżki prowadzącej na prawo. Miller usiadł na głazie - czterysta metrów pod nimi wieczorny wiatr szarpał karłowatymi drzewami oliwkowymi. Za nimi widać było szare postacie wspinające się w górę. Miller zapalił papierosa.

- No dobra - odezwał się Mallory. - Słuchajcie.

Kiedy skończył, Miller spytał:

- Mówisz poważnie?

Mallory popatrzył mu prosto w oczy. Twardo, pewnie.

- A jak sądzicie, kapralu?

Ten westchnął. Wyciągnął rękę nad głowę i zdusił niedopałek na ścieżce - tej po lewej stronie, szerszej, lepiej widocznej, wyraźnie częściej wykorzystywanej zarówno przez ludzi, jak i kozy.

- Chyba mówisz poważnie.

- Dziękuję - odparł Mallory. - No to co? Zaczynamy?

Odwracając wzrok od przerażającej otchłani po lewej, Miller ruszył ścieżką. Nie trwało długo, a znalazł, czego szukał: miejsce, gdzie półka nagle się poszerzała, a przy ścianie leżała sterta kamieni. Ukłął i zaczął grzebać rękami tuż przy nasadzie półki. Miał szczęście, od razu bowiem napotkał szczelinę w skale, wielkości mniej więcej skrzynki na listy. Uważnie, z szacunkiem, otworzył plecak, wyjął z niego cztery laski silnego materiału wybuchowego i doczepił do nich ołówkowy zapalnik czasowy. Wsunął do niego szklaną ampulkę, włożył bombę w zagłębienie, przykrył kamieniami i wsadził krzak rozmarynu tam,

skąd go wcześniej wyrwał.

- Gotowe.

Andrea skinął głową. Słońce znalazło się właśnie na linii horyzontu, co spowodowało, że na morzu pojawił się ognisty pas. Grek patrzył na miejsce, gdzie ukrył się z Mallorym, kiedy po raz pierwszy usłyszeli warkot samolotu. Nikogo tam nie było, a ziemia sprawiała wrażenie różowej.

Jeszcze chwila i polanka przestała być pusta.

Nagle przecięły ją cienie poruszających się mężczyzn - najpierw jeden, potem drugi - cienie, które szybko znikwały, kiedy żołnierze zajmowali miejsca w ukryciu. Andrea naliczył na niebie sześćdziesiąt spadochronów, ale przestał liczyć, bo stracił rachubę. Wziął do rąk karabin wyborowy, odebrany Carstairsowi, wypatrył jeden z hełmów i przyłożył palec do spustu.

- Gotów? - spytał Millera.

Miller nigdy nie byłby gotów zrobić tego, co ich teraz czekało, skinął jednak głową.

Czteryście metrów dalej Mallory natrafił na wąską pionową szczelinę - miejsce zetknięcia się dwóch płyt skalnych, wypolerowane do połysku przez zimowe deszcze. Przez ramiona miał przewieszane dwa zwoje jedwabnej liny do wspinania się. Włożył w szczelinę czubek buta, ustawiając go tak, by się zaklinował, zrobił krok w górę i wyciągnął rękę. Rozległ się strzał z karabinu Andrei, zaraz po tym terkot schmeissera. Mallory wspiął się. Szczelina robiła się coraz węższa. Wsadził w nią palec wskazujący i zgiął go, by wzmocnić chwyt. Wolną nogą zaczął szukać oparcia - okazał się nim występ niewiele większy od przyszcza. Specjalny gwóźdź w podeszwie wbił się w załomek skały i Mallory mógł przenieść drugą nogę w górę i znowu wsadzić palec wskazujący w szczelinę, tyle że wyżej. Gdyby spojrział w dół, toby stwierdził, że jest już prawie dwa metry nad półką i dostrzegłby zionącą w dole przepaść. Wolał jednak nie patrzeć na to, co rozciągało się pod nim, lecz koncentrować uwagę na skałach przed sobą, podciągając się w górę, starając się nie dotykać tułowiem ściany. Przed wojną nazywano tę technikę „sławkim Mallory'ego” - jest to idealnie zrównoważona postawa, pozwalająca niemal płynąć w górę wbrew prawu ciężenia. Uważano go nie tylko za jednego z najlepszych skałkowców, ale także za znakomitego alpinistę. Mógł maszerować trzydzieści sześć godzin i wspiąć się jeszcze na pionową ścianę o wysokości półtora kilometra.

Oczywiście jeśli do niego nie strzelano.

Po kilkudziesięciu metrach szczelina się skończyła. Mallory przystanął na chwilę, owiniętym w skórę młotkiem, który miał za paskiem, wbił hak, przywiązał do niego linę i

puścił zwój. Ruszył dalej, wbijając co kilka metrów haki. Wkrótce doszedł do ściany chropawej jak ceglany mur. Większość wspinaczy uznałaby ją za gładką i niemożliwą do pokonania, lecz dla Mallory'ego niewiele się różniła od sznurowej drabinki. Szedł powoli, ale bez zatrzymywania się, nie marnując czasu na wbijanie haków. Sto dziesięć metrów nad punktem, z którego wyruszył, dotknął zwietrzałej skały, zmieszanej z ziemią. Był na szczycie.

Zawiązał drugą linę wokół skały i spuścił ją w dół. Potem zapalił papierosa i starał się rozluźnić mięśnie, aby ustąpił ból w kończynach. Wreszcie usiadł i czekał.

Andrea i Miller też czekali, ale nie odpoczywali. Siedzieli oparci plecami o skalną ścianę w miejscu, w którym nic im nie groziło. Nad ich głowami raz za razem dudniła o skałę salwa osłaniająca prących do przodu Niemców i od czasu do czasu Andrea wystawiał zza załomu lufę schmeissera, by posłać kilka kul w dół.

- Idziemy - rzucił po dziesięciu minutach.

Ruszyli.

Czołgali się. Zza horyzontu bił ciemnoczerwony poblask, a na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Andrea wychylił się za skraj półki, puścił w dół serię, natychmiast się cofnął i popęzł dalej. W ciemności w dole natychmiast zamigotały niebieskoczerwone ogniki wystrzałów, ale pociski uderzyły w skały w bezpiecznej odległości od nich. Złapani, pomyślał Miller uroczyście. Niech Bóg ma w opiece wasze niewinne dusze.

Doczołgali się do zwisającej liny. Miller wziął głęboki wdech i przełknął to, co można przełknąć, jeśli ma się usta suche niczym piasek na Saharze. Złapał linę i zaczął po niej pięć się w górę.

Andrea, który został na półce, wyjął magazynek ze schmeissera i sięgnął po inny, schowany w specjalnej kieszeni plecaka. Namacał palcami owinięty wokół podwójny zwój taśmy klejącej, który znakował magazynek z pociskami smugowymi. Wepchnął go w gniazdo i zaczął strzelać w kierunku, z którego właśnie przyszli. Co piąty pocisk był smugowy. Odbijały się one od skalnej ściany jak fajerwerki, dając znak: tutaj, przyszliśmy tędy! Potem posłał serię w drugą stronę. Z dołu, z miejsca, w którym wylądowali spadochroniarze i gdzie mógł być radiooperator, mogło wyglądać, że na ścieżce zaczęło się starcie.

Andrea zarzucił broń na ramię, chwycił linę i zaczął się wspinać. Kiedy dotarł do haka, zwinął pierwszą linę i wyciągnął stalowy szpikulec ze skały. Potem lekko jak piórko wspiął się po drugiej linie.

Mallory i Miller czekali siedząc na ziemi, oparci plecami o głazy. Ich sylwetki były ledwie widoczne na tle ciemnego nieba. Sto dziesięć metrów niżej rozlegały się metaliczne trzaśnięcia i chrzęst wojskowych buciorów na skalistym gruncie: wyszkoleni żołnierze ścigali

w milczeniu wroga.

Wroga, którego już nie było.

Kiedy odgłosy pogoni ucichły, Mallory, Miller i Andrea popatrzyli na wschód - w kierunku góry Skaphos i znajdującego się za nią płaskowyżu.

Szeregowiec Emmanuel Gruber był ambitnym człowiekiem i dobrym żołnierzem. Był dumny z przynależności do Sonderkommando, był dumny z tego, że Hauptmann Wolf go wybrał, dumny, że udało mu się osiągnąć cele szkolenia i że najprawdopodobniej czekał go awans na feldfebla. Był dumny, że wybrano go dziś do ochrony tyłów czterdziestoosobowej grupy pościgowej (pozostała dwudziestka czekała w bazie jako wzmocnienie). Pozycja z tyłu grupy była bezpieczna, choć oczywiście (Gruber szybko dodał w myśli) gdyby Hauptmann Wolf posłał go w paszczę śmierci, wskoczyłby w nią bez wahania.

Przyśpieszył. Prawe ramię sunęło przy ścianie, z lewej strony miał przepaść. Był bardzo sprawny fizycznie i mógłby tak biec całą noc.

Tyle że w miejscu, gdzie skalna półka się rozszerzała, a które minął przed sekundą, kończył swój sześćdziesięciminutowy żywot zostawiony przez Millera zapalnik.

Prosto ze skalnej ściany wystrzelił długi jęzor ognia, po czym rozległ się grzmot. Ogłuszony, Gruber potknął się. W plecy trafił go kawał kamienia i znów by się potknął, lecz stopa, którą miał postawić na ziemi, trafiła w pustkę. Runął, wydając z siebie przeciągły, stłumiony krzyk, dwa razy obrócił się w powietrzu i zanim wpadł w drzewa oliwkowe, osiągnął prędkość, przy której spotkanie z ziemią kończy się śmiercią.

Nie mógł dostrzec tego, co ujrzeli pozostali członkowie grupy pościgowej: w miejscu wybuchu ścieżka, którą szli, przestała istnieć, a zamiast skalnej półki była ściana, gładka niczym postawiony pionowo stół bilardowy.

Nie mieli się oczywiście czym martwić, bo, jak powiedział dowódca, i tak nikt się nie będzie cofał. Rozkaz brzmiał: „Gonić do skutku”. Wróg zaminował ścieżkę i biedny Gruber wziął na siebie to, co było przeznaczone dla tych z tyłu, ale nie było czasu na zastanawianie się. Oddział Sonderkommando ponownie ruszył przed siebie.

Weszli ścieżką do doliny o stromych zboczach. Było ciemno, a w płątaniu pionowych skalnych ścian i przepaści radio nie działało. Po trzech godzinach Niemcy znaleźli się na skalistym górskim zboczu, usianym głazami o ostrych brzegach, stojących cicho i tajemniczo na oświetlanej światłem gwiazd stromiźnie. Kiedy ktoś zaproponował zrobić biwak i zaczekać z pościgiem do rana, Leutnant wściekle wrzasnął:

- Vorwurts! Nie lenić się!

W tym samym momencie, mniej więcej osiemset metrów wyżej, a w linii prostej

dziesięć kilometrów dalej, za dwoma wąwozami, marynarz Nelson docierał do kresu wytrzymałości.

Szli bez chwili przerwy. Nelson z trudem przypominał sobie, kiedy stał w miejscu. Stopy ślizgały mu się w butach, ale nie miał ochoty sprawdzać, czy są we krwi, czy w ropie z popękanych bąbli. Przedramię ciągle go bolało, od jakiegoś czasu doszło do tego tępe pulsowanie, które pełzło coraz wyżej po wewnętrznej stronie bicepsa w kierunku pachy. Gdyby potrafił jeszcze odczuwać ból, pulsowanie natychmiast zasłoniłoby mu świat, ale Nelson czuł tylko przerażenie.

Nie znaczy to, że był tchórzem. Nie można służyć na kutrze torpedowym, gdzie spędza się noce wypełnione świetlnymi torami smugowych pocisków, mając pod nogami zbiorniki wysokooktanowej benzyny, i być tchórzem. W Portsmouth, po nalocie, mało brakowało, a dostałby Krzyż Jerzego za grzebanie w stercie niestabilnych ruin, które kiedyś były domem, nie przejmując się krzykami ludzi z obrony cywilnej i strażaków, którzy przestrzegali, żeby się nie wygłupiał i wracał, bo wszystko się zaraz zawali. Grzebał dalej i znalazł starszą panią w kwiecistym szlafroku, a potem wyciągnął ją na deszcz, w światło reflektorów mimo metalicznego dźwięku spadających szrapneli.

Tylko że zarówno na kutrze, jak i w Portsmouth był z kolegami, a tu miał w ramieniu dziurę szeroką jak okop i laził po górach ze Świrniętym Starym, czterema bandytami w mundurach bez oznak wojskowych i grecką dziwką, która wściekle toczyła oczami, szczyrzyła zęby i na której widok robiło mu się niedobrze. Miał już dość i tych ludzi, i gór. Na morzu walczyło się i wykorzystywało z kolegami każdą szansę i jeśli nawet nie było się wariatem, by lubić tę robotę, dało się ją znieść. Suchy ląd był jednak jak na jego gust zbyt suchy, a ludzie na nim zbyt chętni do przemocy. Widział błysk w ich oczach, kiedy próbowali człowieka zabić, i było to nie do przyjęcia. Jakieś dwie godziny temu toczyła się w dole strzelanina, po której nastąpił potworny wybuch i Bóg jeden wie, co oni tam wyprawiali. Teraz szli taką okropną ścieżką, było ciemno jak w tyłku krowy, a w każdej chwili zza skały mógł wyskoczyć Szwab i krzyknąć: „Bum - nie żyjesz!”.

Po raz siedemdziesiąty trzeci od zachodu słońca Nelson zawadził stopą o kamień, potknął się, uderzył w ranne przedramię i zagryzł wargę, by nie jęknąć. Wiedział, że to się nigdy nie skończy i musi się z tym pogodzić. Sytuacja nie będzie się poprawiać, a jedynie pogarszać. Robiło mu się od tego niedobrze i wszystkiego miał serdecznie dość.

Z przodu dobiegł głos Klitemnstry, mówiącej coś po grecku. Nelson podszedł do niej - stała przed stromym zboczem na tle światelka, które wzięło się nie wiadomo skąd. Byli przy kolejnej cholernej jaskini.

Nie mogła to być jednak jaskinia. Ściany były zbyt gładkie, kontury zbyt regularne. Na środku znajdowało się coś na kształt długiego kamiennego cokołu, przy którym stał Grek, który odłączył od nich kilka godzin temu, a teraz wziął się nie wiadomo skąd, i rozkładał na kamiennej płycie puszki ze skondensowaną żywnością, butelkę alkoholu, radio. Byli też pozostali dwaj - musieli dołączyć w ciemności, choć Nelson nie zauważył kiedy.

Opadł ciężko na podłogę, oparł plecy o ścianę i bezwładnie zwiesił głowę. Chudy Amerykanin powiedział coś po grecku i Klitemnestra mu odpowiedziała. Nelson nie lubił nie rozumieć, co się przy nim mówi.

- Co ona powiedziała? - spytał.

Miller popatrzył na jego bladofioletową twarz, wielkie czarne kręgi pod oczami.

- Spytałem, co to za miejsce, i powiedziała, że grobowiec. Na tym stole leżała trumna. Zjedz coś - zachęcił go Miller i machnął ręką w kierunku puszek i butelki.

Żołądek Nelsona przypominał jednak małą, ściśniętą piłeczkę. Nie był w stanie jeść. Mógł jedynie siedzieć i wsłuchiwać się w odgłosy nocy - niezliczonych miniaturowych nocy, kryjących się w każdym z tysiąca cieni tego domu nieżywych. Teraz domu tych, którzy wkrótce nie będą żyć...

Spróbował wstać, ale zbyt szybko zeszywniały mu mięśnie nóg i przewrócił się na bok. Ktoś wrzeszczał jego głosem, potem pochwyciły go ręce, położyły na ziemi, wlały mu do gardła alkohol. Zapadł w coś w rodzaju śpiączki. Jak przez mgłę czuł, że ktoś coś robi przy jego rannej ręce, poczuł drobne ukłucie. Potem znalazł się w głębokiej studni ciszy.

Siedzieli wokół piecyka. Niebieskawe płomyki rzucały na sufit grobowca drgające płomyki. Nelson i Wills leżeli wzdłuż ściany - Nelson miał nowy opatrunek na rękę, a w jego krwi krążyła mała dawka morfiny, Wills chrapał wydając z siebie basowe, zmęczone dudnienia. Klitemnestra splotła ręce na brzuchu, oparła głowę na plecaku i spała cicho i głęboko niczym ten, dla którego przeznaczony był grobowiec.

Pozostała czwórka nie spała. Palili papierosy - ogniki raz za razem rozjarzały się w ciemności. Odpoczywali, ale był to odpoczynek ściganego zwierzęcia. Carstairs siedział nieco na uboczu i czyścił swój pistolet.

- Kapitanie Carstairs, sąd połowy się zebrał - powiedział Mallory.

Carstairs uniósł brew, ale nie podniósł głowy.

- Swoim zachowaniem dziś po południu naraził pan na śmierć towarzyszy i zagroził bezpieczeństwu prowadzonej operacji.

- Z operacyjnej konieczności - odparł Carstairs. Ziewnął i opadł plecami na ziemię.

Odezwał się Andrea. W jego głosie zabrzmiał ton, jakiego Mallory jeszcze nigdy nie

słyszał. Bary Greka zdawały się wypełniać grobowiec.

- Kapitanie Carstairs, oskarżenie brzmi, że w dniu dzisiejszym, będąc na warcie, zdezerterował pan w obliczu wroga. Karą za to jest śmierć. Może pan wystąpić w swej obronie.

Carstairs na chwilę zamarł, zaraz jednak krótko i nerwowo się roześmiał.

- Nie sądzę, by admirał Dixon się z tym zgodził.

- Nie interesuje mnie opinia admirała Dixona. - Andrea poruszył dłonią i rozległ się metaliczny dźwięk repetowanego schmeissera.

Carstairs popatrzył na własną broń - rozłożoną na części pod jego nogami. Spojrzał w kierunku Mallory'ego i Millera, ale ich widok go nie uspokoił. Zachowywał nieruchomą, zagadkową minę, lecz nad górną wargą perlił mu się pot.

- Jeśli tak to pan ujmuje... - Wyjął papierosnice i pieczołowicie wybrał papierosa. Po długiej chwili powiedział: - Jest na to wyjaśnienie. Mam rozkazy od admirała Dixona, który prawdopodobnie nie byłby zbyt zadowolony, gdyby się dowiedział, że zanegował pan jego autorytet i postawił mnie przed kangurzym sądem... - Schmeisser w dłoniach Andrei uniół się o dwa centymetry, tak że Carstairs mógł patrzeć wzdłuż lufy. Robił jednak wszystko, co mógł, by wyglądać na znudzonego. - Jeśli jednak pan nalega, proszę. Ktoś przeżył.

- Jaśniej.

- Jeden rozbitek przeżył zatopienie Kormorana, którego storpedowaliśmy. Najwyraźniej udało mu się wejść na tratwę ratunkową, może na kawał drewna, Bóg wie, w każdym razie dowiosłował do Kynthos. Przejęli go Niemcy, w bardzo złym stanie... tuż przed zablokowaniem drogi przez partyzantów.

- Skąd to wiadomo? - spytał Andrea.

- Zawiadomił nas o tym przez radio agent z Parmatii. To dlatego wczoraj się tam rozglądałem. Wygląda jednak na to, że dał się zabić zaraz po nadaniu sygnału. - Twarz Andrei wyglądała jak kamienna maska. - W każdym razie powiedziano mi w miasteczku, że człowiek ten jest w ambulansie jadącym w konwoju, który wyruszył i czeka, aż droga zostanie odblokowana. Podobno ciągle jest nieprzytomny. Jest to ważna osoba, choć w aspekcie, którego nie wolno mi ujawnić. Mam rozkaz go przesłuchać. Jeśli się to panom nie podoba, proszę się porozumieć z admirałem Dixonem albo waszym kapitanem... jak on się nazywa... o...! Jensenem.

- To wszystko? - spytał Andrea.

Carstairs wzruszył ramionami, tak samo nonszalancko jak mówił, a jednak w jego oczach pojawił się inny wyraz. Patrzył to na Mallory'ego, to na Millera.

- Mniej więcej - odparł. Oparł dłonie na kolanach i ułożył ciało tak, by wyrażało szczerłość. - Nie lubię znikać bez słowa, ale pomyślałem sobie, że mam półtorej godziny i wyskoczę na rekonesans nadstawiając tylko własnego karku, nie narażając nikogo. Skąd miałem wiedzieć, że kapitan Mallory wpadnie za mną z hałasem?

Miller obserwował Mallory'ego. Twarz Nowozelandczyka była spokojna i łagodna, ale uważnie przyglądał się Carstairsowi.

- Więc chciał pan porozmawiać z tym... rozbitkiem.

- Zgadza się.

- A jak zamierzał pan to zrobić?

- Przecież powiedziałem... - stwierdził Carstairs z rezygnacją nauczyciela, który kolejny raz musi powtarzać to samo opornemu dzieciakowi. - To był zwiad. Chciałem sprawdzić, czy droga jest otwarta. Jak miałem rozmawiać z nieprzytomnym człowiekiem w wojskowym ambulansie?

- Dlaczego musi pan z nim porozmawiać? - spytał Mallory.

Carstairs uśmiechnął się. Wydawało się, że każdy jego biały ząb promieniuje wyższością.

- Przepraszam, stary. Chętnie bym powiedział, ale cóż... rozkazy admirała. Nic na to nie poradzę.

Zapadła cisza, maćona jedynie chrapaniem Nelsona i wyciem wiatru u wejścia do grobowca.

- Cóż, to jest argument - stwierdził w końcu Mallory.

- I to mocny - dodał Miller.

- Dziękuję, kapitanie - rzucił Andrea. - To wystarczy. - Lufa jego schmeissera odsunęła się w bok. - Kapitanie Carstairs, jest pan członkiem tego oddziału i w przyszłości będzie przekazywał swe plany operacyjne dowódcy. Do akt zostanie wpisane, że udzielono panu nagany, bez utraty żołdu.

Carstairs skinął głową niczym do kelnera, który przyniósł mu resztę.

- Rozumiem, że uznaliście to panowie za konieczne. Teraz chciałbym się przespać.

Mallory przejął pierwszą wartę i wyszedł na zewnątrz. Noc była spokojna, ciszę mąciły jedynie podmuchy bryzy w skałach. Coś obok niego się poruszyło. Kiedy się odwrócił, dostrzegł Andree, zasłaniającego spory kawałek nieba.

- Co o tym myślisz? - spytał Grek.

- Jensen mówił, że on jest w porządku.

- Jensen jest w Anglii.

- No tak...

Zapadła cisza. Andrea i Mallory pracowali ze sobą od roku, ale był to rok, w którym wydarzyło się więcej niż w czasie życia większości ludzi. Znali się jak dwa łyse konie.

- Czyli jest jakiś problem, Keith?

Mallory zapalił papierosa.

- Twierdzi, że robił zwiad, tylko że kiedy go znalazłem, stał na skraju klifu dokładnie nad ambulansem i trzymał w ręku granat z wyciągniętą zawleczką. To dosyć dziwny sposób prowadzenia zwiadu. W tym jest problem.

- Rozumiem - odparł Andrea. - Musimy go jednak trzymać, bo tak kazał Jensen. Myślę, że najlepiej będzie zamknąć buzie i mieć oczy otwarte.

- Oczywiście. - Andrea miał rację, ale w trakcie takiej operacji jak ta, było to ostatnią pożądaną rzeczą. - Popilnuję znowu o świcie - zakończył Mallory i Andrea poszedł spać.

CZWARTEK 3.00 - 12.00

Miller obudził Mallory'ego trzy godziny po północy. Kiedy wypłynął z otchłani snu, czuł dudnienie w głowie i suchość w ustach. Dla wielu żołnierzy samopoczucie w martwych godzinach przed świtem, kiedy przemiana materii jest najsłabsza, okazuje się męczarnią, ale Mallory był przyzwyczajony do wczesnego wstawania. Spędził praktycznie całe życie w górach, w których nie można się wspinać po jedenastej rano ze względu na kamienie spadające z topniejących lodowców. Poleżał kilka sekund z szeroko otwartymi oczami, potem sięgnął tam, gdzie leżała jego broń, zarzucił na ramiona plecak i wyszedł na zewnątrz.

Gwiazdy wisiały jeszcze na niebie. Wspiął się kilka metrów stromym stokiem i usiadł nad wejściem do grobowca, w zagłębieniu między dwoma głazami. Wokół były tylko skały, w górze gwiazdy i czuło się czyste nocne powietrze. Wrócił pamięcią do poranków na zboczach Góry Cooka, do ośnieżonych szczytów nowozelandzkich Alp Południowych, gdzie czekał w nieruchomym powietrzu na pierwszy różowy promień słońca.

Wyjął czekoladę i bochenek płaskiego greckiego chleba, najadł się, a mimo to posilał się w dalszym ciągu. Wiedział, że w dzisiejszym dniu jego ciała będzie potrzebny każdy gram paliwa.

Zaczął analizować możliwości. Obu marynarzy należało gdzieś przetrzymać - może tutaj. Trzeba będzie zapytać Klitemnestrę, czy to możliwe. A co z nią? Aby nie spowodować represji wymierzonych w ludność cywilną, musi trzymać się w cieniu. A Carstairs? Był alpinistą i umiał walczyć, ale okazał się bardzo niebezpieczny. Mallory jeszcze nigdy nie widział tak wściekłego Andrei jak wieczorem. Sąd polowy pod groźbą schmeissera może wyglądał teatralnie, ale wystarczyłaby sekunda i mózg Carstairsa mógł znaleźć się na suficie grobowca.

Mallory zeszywniał.

Niebo się przejaśniało, przybierało powoli kolor, jakim malowano okręty wojenne, i poszarpane szczyty górskie wokół stawały się wyraźne. Nie to jednak spowodowało, że Mallory usiadł i cicho zarepetował broń.

W plątaninie wąwozów i parowów w dole, którymi szli wczoraj, rozległo się krótkie, ostre szczeknięcie polującego psa. Mallory wstał, ześlizgnął się w dół zbocza i wszedł do grobowca. Pachniało w nim snem. Przeszedł między śpiącymi niczym lodowaty wiatr - najpierw do Millera i Andrei, potem do Klitemnestry i Carstairsa.

- Mają posokowce. Musimy zniknąć.

- Poradzimy sobie - odparła dziewczyna. - Teraz będziemy schodzić. Będzie łatwiej.

Mallory kazał jej obudzić marynarzy i wyszedł z Millerem i Andreą na zewnątrz. Po chwili zniknęli między głazami. Pies ponownie szczekał - bardzo blisko. Zza zakrętu wyszło pięciu esesmanów w strojach kamuflujących, środkowy trzymał smycz, którą z całej siły ciągnął czarny podpalany pies. Doberman, pomyślał Mallory z niekonsekwencją, która zdarza się w krańcowym stresie. Nie posokowiec.

Pies zaczął szczekać jak szalony i odwrócił łeb w stronę wejścia do grobowca. Mallory przystawił swoją broń do ramienia i pociągnął spust.

Nelson spał źle. Nie był to sen, a raczej śpiączka, rodzaj stanu delirycznego, w którym obrazy kłębiły się pod powierzchnią świadomości niczym robaki w gnijącej ranie. Wszystko płonęło: dom w Coventry, gdzie się wychował, motorower, którym jeździł do szkoły, budynek, z którego uratował kobietę w szlafroku, załoga rufowego karabinu maszynowego na kutrze torpedowym - w jednej chwili wszystko było całe i nienaruszone, po sekundzie płomienie pozostawiały nagie krokwie i gołą kość, rozpalone cegły i kafelki, a mięso spływało jak topiący się wosk. Do tego dochodziły dźwięki - ręka mu dudniła, jakby miał pod pachą silnik, wibracja szła do serca, a każde jego uderzenie przyspieszało przerażający sen, aż hałas stał się ciągły i Nelson wiedział, że dłużej nie wytrzyma...

W tym momencie zaczęło się prawdziwe łomotanie i się obudził.

Na suficie migotało zimne błękitnobiałe światło i trudno było oddychać, grobowiec bowiem był wypełniony dymem wystrzelonego prochu. W migotliwym świetle poruszały się postacie, a z powodu błysków światła ich ruchy wydawały się szarpane. Amerykanin podbiegł do wyjścia, gdzie stał wielki Grek, który nagle zaczął się toczyć i toczyć, ukląkł na jedno kolano i strzelał w ciemność, potem znów odtoczył się w bok. Nawet Wills stał, rozglądał się błędnie wokół i mocował z zamkiem pistoletu maszynowego.

Nelson objął się ramionami. Chciało mu się pić, głowę rozsadzała gorączka. Zdawał sobie sprawę z tego, że nic tu po nim. Nie umiał strzelać. Nie mógł uciec. Pozostawało mu jedynie siedzieć i czekać, aż Niemcy wpadną do środka, a na pewno będzie ich wielu i przykryją Starego, Greka i pozostałych czapkami. Kiedy wejdą, tylko popatrzą i rozwalą wszystkich na kawałki.

Skulił się na tę myśl, zaraz jednak przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Nie nadawał się do walki, tak naprawdę nie nadawał się do niczego, więc usunie się z drogi - cicho i bezpiecznie.

Nagle wszystko stało się łatwe i proste, tylko że Nelson nie wziął pod uwagę jednego:

w żyłach miał nie tylko krew, ale także sporą dozę morfiny.

Andrea i Miller wpadli na ten sam pomysł, co Mallory - zasypać skały ogniem. Piątka Niemców padła. Pies, czując, że jego przewodnik nie żyje, prysnął z wyciem między głazy. Mallory opuścił broń.

Zza zakrętu wyszło dwudziestu pięciu Niemców.

Mallory wziął następny magazynek i zaklął. Nowy oddział nie był uformowany jak grupka z psem. Słyszac strzelaninę, żołnierze rozbiegli się między głazami, przez co stanowili zły cel dla karabinu wyborowego, a byli za daleko, by użyć pistoletów maszynowych. Normalnie Andrea, Mallory i Miller zniknęliby, ale w grobowcu pozostali: Klitemnestra, Carstairs i obaj marynarze.

Mallory zaczął się pocić. Urzeczywistniał się koszmar każdego partyzanta - atak przeważających sił wroga bez możliwości zmiany pozycji. Albo się przemieszcza, albo operacja będzie w tej samej chwili zakończona. Wybór, którego musiał dokonać, był szatański.

Nagle jednak wszystko odeszło na bok, przed oczami Mallory'ego ukazał się bowiem dziwny i przerażający widok.

Ktoś wyszedł z grobowca - niesamowicie wyglądająca postać w łachmanach, o bladofioletowej twarzy, z rudą aureolą wokół głowy. Nelson. Zdrową rękę unosił do góry i obracał dziko oczami, popychany strachem podlanym morfiną.

- Aj...aj! - zawył piskliwym, łamiącym się głosem. - Nie jestem żołnierzem. Jestem marynarzem. Nie walczę, chcę iść do niewoli, słyszycie? Nie strzelać, rozumiecie?

Powiedziawszy to, ruszył zataczając się w stronę miejsca, gdzie chowali się Niemcy. W zapadłej ciszy słycać było, jak pod nogą Nelsona zachrzęścił kamyk.

Marynarz dochodził do wysokiego głazu o kształcie piramidy i Mallory miał pewność, że musi się tam ukrywać Niemiec, ale nie mógł strzelić, gdyż Nelson by nie wiedział, co ma wtedy zrobić.

Nelson był już przy głazie, nie przestawał machać zdrową ręką i krzyczeć. Kiedy go mijał, zza skały wysunęła się ręka w panterce, złapała go za kołnierz, a stopa w czarnym bucie kopnęła go od tyłu, na wysokości kolan, tak że padł na ścieżkę i zmarł klęcząc, bokiem do ludzi obserwujących go znad wejścia do grobowca. Wysunęła się dłoń z lugerem, lufa dotknęła nasady karku Nelsona i po chwili rozległo się głucho PAP!

Nelson przewrócił się na twarz i zaczął podrygiwać w agonii.

Mallory wiele widział, był oswojony ze śmiercią, ale ta beznamiętna egzekucja nie uzbrojonego marynarza, który właśnie się poddał, spowodowała, że zmarł na sekundę. To

wystarczyło, by usłyszał za sobą metaliczny trzask i jakiś głos powiedział za nim po angielsku, z gardłowym akcentem:

- Rzuć broń.

Mallory rzucił broń na ziemię. Nie miał szans na obronę. Czekał na strzał w tył głowy. Jego umysł oczyścił się z wszelkich myśli i obserwował góry, dobrze widoczne krawędzie na tle różowego nieba.

Niemiec nie strzelił, jedynie rozkazał:

- Marsch!

Mallory ruszył.

Zobaczył Millera, który zbliżał się także pod bronią, dostrzegł kłębiące się przy wejściu do grobowca niemieckie panterki, słyszał krzyki. Ze środka wyszedł z podniesionymi rękami Carstairs, po nim Wills, mrużący oczy przed bolesnym światłem świtu.

Do Millera podszedł Niemiec - Leutnant - o surowej twarzy.

- To wszystko? - spytał po angielsku.

- Co wszystko? - odparł Miller.

- Wszyscy wasi ludzie?

- Nie.

Mallory przyglądał się Millerowi z lekkim zdziwieniem. Ufał mu, ale ufał także Andrei, który zniknął z Klitemnestrą. To prawda, że wszyscy więźniowie byli w wielkim niebezpieczeństwie, ale dopóki Andrea był na wolności, Niemcy też nie byli bezpieczni. W co ten Miller pogrywał?

- Gdzie są? - spytał Niemiec.

- Jako obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki - odparł Miller - uważam wszystkich ludzi za naszych. Czyż nie powiedziano: „Przyślijcie mi wasze zmęczone, biedne, w beładzie zbite masy”?

- Narody - poprawił Mallory.

- Zdawało mi się, że „masy”.

- Milczeć! - wrzasnął Leutnant. - Na kolana!

Miller popatrzył na niego, potem na Mallory'ego. Uklękli.

- Na czym polega wasza misja na Kynthos? - warknął Leutnant.

- Nazwisko, ranga i numer - odparł Mallory. - Podam je pańskiemu przełożonemu.

Niemcy zaczęli wychodzić z ukrycia i iść w ich stronę, ciekawi łupu. Zbierajcie się... pomyślał Mallory. Bardzo dobrze...

- Składam oficjalny protest - odezwał się Wills, którego głos brzmiał mocniej i

bardziej zdecydowanie. - Jak śmieliście... - był tak wściekły, że go zatykało - ...jak śmieliście złamać Konwencję Genewską i zastrzelić mojego...

Leutnant jednym kopnięciem posłał go między głazy.

- Teraz słucham - powiedział Leutnant. - Powiecie mi, co chcę usłyszeć, albo zastrzelę jednego z was... ciebie.

Mallory słyszał chrzęst butów wokół. Niemcy otaczali ich ciasniejszym kręgiem - typowe zachowanie Sonderkommando, nie Wehrmachtu. Wehrmacht to było wojsko, a ci byli mordercami.

- Nieee! - zawył Miller. - Proszę!!! - Padł twarzą na ziemię i Mallory zrobił natychmiast to samo.

W tym momencie byli osłonięci.

Spośród skał i z wejścia do jaskini gruchnęła salwa. Leutnant zawył i upadł na Mallory'ego, który natychmiast sięgnął po jego broń. Stojący obok żołnierz zauważył ruch i skierował na Mallory'ego swój pistolet. Zamigotały ogniki strzałów, ale przeznaczone dla Mallory'ego pociski zatrzymały się w piersi Leutnanta. Mallory zaczął strzelać i schmeisser Niemca, który chciał go przed chwilą zastrzelić, puścił serię wysoko w niebo, kiedy palec umierającego żołnierza zacisnął się na spuście.

Zapadła cisza, w której rozległo się po niemiecku:

- Ręce do góry!

Trójka Niemców, która przeżyła, uniosła ręce do góry. Andrea krzyknął - tym razem po grecku (do Klitemnestry):

- Nie pokazuj się!

Mallory wstał, Miller też już był na nogach. Nieopodal zaskrzeczało radio i rozległ się niemiecki głos:

- Oddział A, oddział A, zgłoś się!

Mallory wydobyl nadajnik spod martwego Niemca, podniósł mikrofon do ust i powiedział:

- Oddział A. Zadanie wykonane.

- Podaj kod - doleciało z radia.

Mallory zdjął palec z przycisku nadawania.

- Jaki jest kod? - spytał najbliższego Niemca.

- Schultz, feldfelbel, numer jeden siedem pięć sześć zero dziewięć - odparł Niemiec.

Kątem oka Mallory zauważył jakiś ruch. Podbiegł Carstairs z lugerem w dłoni. Uderzeniem lufy przewrócił Niemca na ziemię i wsadził mu ją w usta. Słysząc było chrzęst

łamanego zęba.

- On pytał o kod - rzucił i wyjął Niemcowi lufę z ust. - Raz... dwa...

Niemiec nie wiedział, czy Carstairs zamierza liczyć do trzech czy do pięćdziesięciu, ale mając lufę centymetr od oka, wołał tego nie sprawdzać.

- "Wściekła pogoń".

Mallory nacisnął przycisk nadawania.

- Wściekła pogoń - powiedział i zwolnił przycisk.

Radio zaskrzeczało i kontakt został przerwany. Niemiec bez przedniego zęba roześmiał się.

- Kończy się wam czas. Już was szukają.

- Drań! - rzucił Carstairs i zarepetował lugera. Szkop poszarzał; wiedział, że patrzy śmierci w oczy, i na czoło wystąpiły mu grube krople potu.

- Zostaw go! - krzyknął Mallory.

Carstairs uniósł brew.

- Zabierzcie im ubrania - dodał Mallory.

- Ubrania? - zdziwił się Carstairs i popatrzył na swą doskonale skrojoną bluzę mundurową. - Nie będą pasować.

- Wolisz być najlepiej ubranym trupem w tych górach? - spytał Miller, który już ściągał spodnie. - Zmień wszystko poza butami.

- Dlaczego?

- Żeby nie poranić sobie nóg - odparł Miller, zapiął niemiecką panterkę i przyczepił do paska radio. - Ruszaj się! - Uśmiechnął się do Carstairsa, ale nie było w tym śladu szczerości.

- Przepraszam. Niech pan się rusza... kapitanie...

Carstairs zabrał się do roboty.

Zrzucili ciała w przepaść, Niemcom, którzy przeżyli, zabrali broń, buty i skarpety, skrupowali ich i zawiązali im oczy, a następnie zostawili na bosaka na polance pełnej ostrych jak szkło odprysków wulkanicznej skały. Nelsona pochowali, najlepiej jak się dało, i ruszyli w drogę. Prowadził Mallory, a Andrea szedł ostatni.

Znajdowali się na płaskowyżu. Było to wysoko położone, owiewane wiatrem miejsce bez żadnej osłony, jeszcze nie rozgrzane, ale już jaskrawo oświetlone nisko stojącym słońcem. Rzucali długie cienie i musieli mrużyć oczy przed jaskrawym światłem. Mallory miał nadzieję, że nikt nie wpadnie na pomysł wysłania samolotów, ale wiedział, że to płonna nadzieja. Co z tego, że mieli na sobie niemieckie mundury - nie miały one wpływu na niemieckie procedury radiowe. Pierwsza pomyłka w tym zakresie oznaczała natychmiastowe

kłopoty, a ludzie, z którymi mieli do czynienia, nie należeli do chowających głowę w piasek...

Ktoś wpadł od tyłu na Mallory'ego - potykający się Wills, który poleciał jak wór na ziemię.

- Zostawmy go - stwierdził Carstairs.

Mallory zignorował jego słowa. Podeszedł do marynarza i ukląkł przy nim. Dopiero teraz zobaczył, co z jego twarzą zrobił buciur Leutnanta; była to krwawa maska, siniak na skroni miał kolor czarnego atramentu.

- Zostawcie mnie... - wymamrotał Wills.

Podeszedł Miller i wyjął apteczkę.

- Podnieś głowę - powiedział i wlał Willsowi w usta nieco wody. - Możesz iść?

- Jasne - wycharczał marynarz. - Trochę mi się tylko kręci w głowie. - Spróbował wstać, ale znów się przewrócił na bok.

Zbliżył się Andrea i jak dzieciaka zarzucił sobie Willsa na plecy.

- Chodźmy. Znajdziemy kawałek cienia.

- Trzeba się śpieszyć - wtrąciła się Klitemnestra i zagryzła dolną wargę. - Musimy przejść jeszcze kawałek, potem teren się załamuje. Tam będzie bezpieczniej.

Mallory podniósł dłoń, by ją uciszyć. Między skałami poświstywała bryza, lecz przez ten odgłos przebijał się inny - ciche, stłumione buczenie silnika samolotu. Storch - ten sam, co poprzedniego dnia. Obserwator i pilot musieli ich dostrzec i samolot zatoczył powolne koło w błękitnym powietrzu.

- Machajcie! - - rozkazał Mallory.

Wykonali polecenie, nawet otumaniony Wills na plecach Andrei uniósł rękę. Ot, patrol Waffen - SS, pozdrawiający kolegów.

Co z tego, problemem było radio. Obserwator na pewno przesłał komuś komunikat. Patrole naziemne albo miały regulamin dotyczący słuchania komunikatów swoich ludzi i powinny jakoś na nie reagować, albo załoga samolotu właśnie rozmawiała z bazą i przekazywała informację o pięciu ludziach z Greczynką i tam wkrótce zaczną się zastanawiać, co to oznacza.

Po kolejnych trzydziestu minutach doszli do bardziej urozmaiconego terenu, opadającego ku wschodowi. Klitemnestra szła przodem - poruszała się między głazami szybko i lekko, niczym polujący ogar. Po dziesięciu minutach zatrzymała się i przywołała ich ruchem ręki. Podeszli.

Dziewczyna stała przed formacją skalną, którą spływająca woda poszerzyła do rowu o szerokości mniej więcej metra. Poprowadziła ich tym rowem w dół. Po stu metrach zrobił się

z niego wąwóz, który opadał stromo i znikał za olbrzymią stertą zwietrzałych kamieni. Wzdłuż prawego zbocza biegła ścieżka - wąska tasiemka w miarę równego terenu. Klitemnestra tam właśnie się skierowała. Miller na widok ledwie dostrzegalnej dróżki mruknął z niechęcią, ale ruszył za Klitemnestrą. Sądząc po odorze panterki, którą miał na sobie, Niemiec, któremu ją odebrał, był amatorem surowej cebuli.

- Jesteśmy na miejscu - stwierdziła wreszcie dziewczyna.

Dotarli do końca wąwozu, do kawałka płaskiego terenu, który wyglądał jak epolet przyszyty do olbrzymiego kamiennego ramienia. Polanka miała może dziesięć metrów średnicy i stały na niej resztki ścian, które kiedyś tworzyły budynek. We wznoszącej się nad polanką skalnej ścianie widać było fronty kilku wykutych w skale albo przerobionych z jaskiń domostw.

- Bardzo trudno to miejsce znaleźć - wyjaśniła Klitemnestra. - Kiedyś mieszkali tu bandyci, dziś nikt. - Podeszła do zieleniejącej plamy mchów i paproci między dwiema jaskiniami. Ze źródła w skale wytryskiwała woda, która spadała do wykutego w skale zagłębienia. - Wszystko, czego dusza zapagnie.

Mallory patrzył na wschód.

Od miejsca, w którym się znajdowali, teren opadał kilkoma gigantycznymi „schemami”, z których każdy miał przynajmniej dwieście metrów wysokości. Tysiąc metrów niżej znajdował się duży, zamglony płaskowyż - ziemia musiała tam być żyzna, ponieważ wydawała się jasnozielona, podzielona na prostokątne pola. Południe płaskowyżu przecinała ciemna linia - prawdopodobnie płot - oddzielająca grupkę małych budynków i żółtobrazowy pas spalonej ziemi, który musiał być lądowiskiem. Od wschodu i od północy lądowisko otaczało morze.

Mallory przystawił do oczu lornetkę.

Za płaskowyżem widać było pas trzciny i migoczącej białawo w słońcu płytkiej wody - szeroki na jakieś półtora kilometra. Za mokradłami teren znów się wznosił ciemną stromizną. To musiało być to, co porucznik Robinson określił mianem „magnowej zatyczki” - pozostałością po czopie z pumeksu i popiołu wulkanicznego, który zatkał krater i od stuleci był splukiwany przez deszcze. Na szczycie zbocza znajdowały się budynki - niektóre białe i niemal świecące w słońcu, inne zrujnowane. Kiedy Mallory nastawił ostrość, dostrzegł ledwie widoczne smugi pyłu.

- Anteny - powiedział Carstairs.

Mallory zaczął lustrować przez lornetkę nie kończącą się pionową skalną ścianę. Na jej szczycie ujrzał przypominający pajęczynę wzór utworzony z przewodów i słupów.

Carstairs miał rację - była to dalekosiężna antena.

- Coś budują - dodała Klitemnestra i wskazała dłonią przed siebie. - Głazy biorą stamtąd.

Wzdłuż płaskowyzu - od podstawy skalnej ściany, przez mokradła do budynków - biegła prosta biała linia.

- Co to? - spytał Mallory.

- Kolej - odparła Klitemnestra. - Do wożenia kamieni i żwiru.

- Gdzie kamieniołom?

Wskazała prosto w dół.

- Jestem człowiekiem, nie muchą - mruknął Miller. Mallory nie zwrócił na to uwagi.

- Brać liny i broń, wszystko, co zbędne, zostawiamy tutaj. Klitemnestro, możesz tu przeczekać dobę? Wrócimy.

Klitemnestra wskazała na przeciwległą stronę polanki, gdzie ścieżka się zwężała i było widać zarysy dalszych ruin.

- Tam. To się nazywa Jaskółcze Gniazdo.

- Hasło - przypomniał Mallory. - Musimy ustalić hasło.

- Pyszna pogoda na przejażdżkę łódką - powiedział Wills.

- Zastrzel każdego, kto go nie poda.

- Py... co? - spytała Klitemnestra.

- Nieważne.

- Cicho! - rzucił Andrea.

Przez przytłumione odgłosy ludzkiej pracy dochodzące z dołu znów się przebił dźwięk pracującego silnika samolotowego. Znajdowali się na otwartym terenie, równym jak plac do parad, bez osłony. Czy będą stać, czy się położą, to i tak pozostaną na widoku.

- Machać - rozkazał Mallory.

Storch wyłonił się zza skarpy, nie więcej niż sto metrów od nich, i leciał z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przebrana w mundury SS grupka zaczęła machać rękoma, tak samo jak poprzednio. Mallory widział zdziwione miny pilota i obserwatora, ich pozbawione wyrazu oczy za goglami. Nie wykonali żadnego gestu. Kiedy samolot przeleciał nad nimi, Carstairs stwierdził:

- No, to by było na tyle.

Storch przechylił się na skrzydło i zawrócił - był powolny jak szybowiec. Mallory zdołał dostrzec ruch ust obserwatora, który mówił do mikrofonu. Sprawdzał ich. Na pewno już odkryto rzeź przy grobowcu.

- Machajcie - powtórzył Mallory. Uważał, że należy blefować, blefować i mieć nadzieję, że blef zadziała, choć coraz trudniej było mieć nadzieję...

Carstairs przystawił pistolet maszynowy do ramienia i puścił serię. Terkot odbił się od skał, a storch przechylił się, jakby chciał zawrócić. Na jego kadłubie pojawiło się kilka ospowatych dziobów. Maszyna przechyliła się głębiej, jak do zrobienia przewrotu, ale wpadła w drżący ześlizg i wykonała korkociąg, tylko że na jej drodze znalazła się skalna skarpa. Choć czubek skrzydła jedynie ją musnął, złożyło się ono jak cienka aluminiowa folia. Śmigło wbiło się w skałę, dziób złożył w harmonijkę, a w tylnej części kadłuba błysnęła iskra i rozległ się huk eksplodującego zbiornika paliwa. Samolot leżał nosem do góry na sześćdziesięciostopniowym zboczu, paląc się na całej długości. Widać było, jak obserwator wali od środka w osłonę kabiny, zakleszczonej na skutek gorąca. Potem wrak zaczął się zsuwać w otchłań, coraz szybciej, zostawiając za sobą długą smugę czarnego dymu, i nagle wystrzelił w powietrze jak z katapulty i runął w przepaść, rozrzucając wokół odpadające części.

Po chwili zniknął, pozostawiając po sobie jedynie dym, unoszący się na graniach i krzewach. Miller stwierdził, że był tylko jeden lepszy sposób wskazania Niemcom, gdzie mają strzelać - wzięcie wielkiego pędzla i namalowanie na klifie strzałki wskazującej miejsce, w którym się znajdują.

- Niezłe przedstawienie - oświadczył Carstairs.

- Znakomite - powiedział Miller znużonym głosem.

Mallory czuł, że każdą komórkę jego ciała przepelnia potworne zmęczenie. A jeszcze nie zaczęli działać... Było jasne, że zaraz pojawią się tu żołnierze i będzie ich bardzo dużo.

- Cóż - oznajmił - jak mówiłem, zanim nam przerwano, schodzimy na dół. Sytuacja nieco się jednak zmieniła. Klitemnestro, musisz iść z nami.

- Nie - odparła dziewczyna.

- Słucham?

- Wills nie nadaje się do chodzenia. Tutaj można się świetnie ukryć, nie będzie z tym problemu. - Uśmiechnęła się, a jej zęby błysnęły jak u drapieźnika. - Umiecie walczyć, ale... - odwróciła się do Carstairsa i dodała po grecku: - ...ty dasz się zabić i spowodujesz, że pozostali zginą. Jesteś jak podwórkowy kogut, robisz masę hałasu i na tym koniec. Żadnej cierpliwości. Jesteś dzieckiem, nie mężczyzną.

- Co ona powiedziała? - spytał Carstairs.

- Jest panem niezwykle zachwycona - wyjaśnił Miller, który nauczył się dobrze greckiego podczas wysadzania obiektów wojskowych na Krecie i Peloponezie.

- Teraz podam cele - poinformował Mallory. - Słuchajcie uważnie.

- Chcę coś wyjaśnić, proszę o pozwolenie - przerwał mu Carstairs.

Mallory uśmiechnął się do niego bez wesołości.

- Nie. W obecnej fazie operacji proszę się traktować jako podległego mi bezpośrednio i siedzieć cicho. Mówię jasno?

- Całkowicie - odparł Carstairs. Mimo że miał spoconą i brudną twarz, jego rysy były gładkie, a oczy nieobecne, skierowane na odległy cel.

- Naszym zadaniem jest zniszczenie fabryki rakiet - powiedział Mallory. - Pańskie jest inne. Upoważniam pana do jego ujawnienia, aby nie doszło do nieporozumień.

- Byłoby fatalnie, gdybyśmy... weszli sobie w drogę - odezwał się Andrea. Wielkie dłonie położył na schmeisserze, lekko i obojętnie. W jego zachowaniu czuć było pozorną grzeczność, pod którą kryła się jednak groźba.

Carstairs nie był głupi. Zdawał sobie sprawę z tego, że po raz trzeci utrudnił życie oddziałowi. Zdażył już zauważyć, że jego członkowie zwykle osiągają to, na czym im zależy, i nie pozwalają, by ktoś stawał im na drodze. Nadszedł czas na porcję szczerości - oczywiście nie za wielką.

- Moim celem są anteny - oświadczył.

Mallory siedział nieco z boku i obserwował przez lornetkę płaskowyż i Akropol.

- Wejście tam samemu nie będzie łatwe - stwierdził.

- Poradzę sobie - odparł Carstairs i wziął do ręki lornetkę. Na lotnisku zrobił się ruch. Kołowała trzysilnikowa maszyna, przy grobli, którą biegła droga przez mokradła do Akropolu, stanęło kilka pojazdów. Był między nimi ambulans. - Idę.

- Pańskie cele, poproszę - powiedział Andrea. Tym razem dłonie mocniej obejmowały pistolet. - Anteny i osoba, z którą ma pan... porozmawiać, tak?

- Na Boga! To poufna informacja.

- Nie dla nas - odparł Andrea.

Trzysilnikowy samolot w dole kołował na koniec pasa startowego.

- No dobrze - rzekł pojednawczo Carstairs. - Jeśli się upieracie. Zanim Kormoran zatonął, weszli na niego nasi ludzie i zabrali nowe niemieckie książki kodowe. Możliwe, że ten... rozbitek widział wchodzącą na pokład grupę. To nawet dosyć prawdopodobne. W Parmatii mówiono, że jest nieprzytomny, i mam nadzieję, że jest tak w dalszym ciągu. Jeśli odzyskał przytomność i powiedział Niemcom, co widział, a oni przekażą to do Berlina, Włoch czy gdziekolwiek, stracimy bardzo ważne źródło informacji o znaczeniu wywiadowczym. Można by wręcz twierdzić, że o znaczeniu „być albo nie być”. Nie

interesuje mnie więc, co zamierzacie, ja bowiem planuję unieruchomić te anteny. Potem znajdę człowieka z ambulansu, i to niezależnie od tego, czy jest przytomny, czy nie.

- I co wtedy? - spytał Mallory.

Twarz Carstairsa przypominała kamienną maskę.

- Proszę sobie samemu dopowiedzieć, kapitanie.

A więc nie był żołnierzem, lecz zabójcą. Dla Mallory'ego była to znacząca różnica.

- Tam na północy - powiedział i wskazał na ciemny masyw. - Tam jest wioska.

- Kiedyś to była wioska - wyjaśniła Klitemnestra. - Teraz to więzienie. Dla niewolników.

- Niewolników?

- Mężczyzn z wyspy. Niemcy każą im pracować w fabryce.

- Rozumiem... Spotkamy się tam o północy.

- Gdzie dokładnie? - spytał Carstairs.

- Przy kościele jest uliczka - wyjaśniła Klitemnestra. - Ulica Athenai. Jest tam ciemno i nie będzie strażników.

- Skąd wiesz?

- Bo my tam będziemy.

- Chyba mówiłaś, że to więzienie.

- Zgadza się. Od północy będziemy czekać tutaj. - Klitemnestra wskazała punkt na mapie.

- Jeśli nas nie znajdziecie, o świcie zaczniemy was szukać.

Toczący się w dole trójsilnikowy samolot wystartował. Wyglądał na maleńki szary krzyżyk, goniący swój cień pełznący po mrocznych mokradłach. A więc wkrótce okolica miała się zaroić od spadochroniarzy.

- Ruszamy! - zdecydował Mallory.

Miller zadawał sobie pytanie, jak to się dzieje, że ciągle mówi sobie „nigdy więcej” i nie mija dwadzieścia minut, a robi dokładnie to, z czym zamierzał skończyć.

- Idź już! - ponaglił go Mallory.

Miller nie zamierzał patrzeć w dół. Wiedział, co tam jest: stumetrowa pionowa skalna ściana, potem strome osypisko kamieni, potem kolejna otchłań. Owiązał się liną, aby się spuszczać w dół, plecami do urwiska. Nie ułatwiał mu tego plecak wypełniony materiałami wybuchowymi, podrygujące kolana groziły oderwaniem od liny, a śniadanie marzyło o tym, by ujrzeć światło dzienne.

- Zatrzymaj się! - rozległ się głos Carstairsa i Miller stwierdził, że znajduje się na

czymś, co Mallory pewnie nazwałaby półką skalną, ale według niego nadałaby się najwyżej na półkę na książki, do tego bardzo małe. - Trzymaj linę między kolanami, przeciągnij ją przez plecy i... - zaczął Carstairs z tym swoim wrednym uśmieszkiem, lecz Miller już go nie słuchał i pomknął w dół z plecakiem zawierającym pięćdziesiąt kilogramów materiałów wybuchowych. Nie lubił wysokości, ale jeszcze bardziej nie znosił Carstairsa...

Dotarł do osypiska, gdzie czekał Andrea. Po chwili z góry zjechali Mallory i Carstairs. Potem - znów parami - pokonali następną skalną ścianę, później jeszcze jedną, aż znaleźli się na skalnym grzbieciku, niewielkim głazie, który oparł się deszczom, wiatrom i słońcu nieco lepiej niż okoliczne kamienie. Mallory i Carstairs zwinęli liny i przywiązali je do plecaków.

Kiedy Millerowi przestały drżeć kolana, natychmiast dostrzegł zmianę w zachowaniu Carstairsa. On sam czuł się w górach jak ryba wyjęta z wody, ale po sposobie, w jaki kapitan zbierał linę i patrzył tam, gdzie mają się udać, widać było, że jest w swoim żywiole.

Ruszyli dalej prowadzącą wzdłuż pionowej ściany, pełną kamieni ścieżką, niemalże niedostępną i z dołu, i z góry. W ciągu kilkunastu minut zeszli sześćset metrów w dół. Z tego miejsca dno doliny było znacznie lepiej widoczne, gdzieś z dołu dochodził łoskot pracujących ciężkich maszyn.

Ciotka Ju wystartowała dwadzieścia minut temu i jeśli Niemcy mieli psy, powinni być teraz na półce, skąd wykonawcy operacji Piorun zaczęli zejście. Miller zastanawiał się, co stanie się z Willsem, uświadomił sobie jednak, że dopóki będzie z nim Klitemnestra, nie spadnie mu włos z głowy.

Doszedł do wniosku, że Klitemnestra kogoś mu przypomina, choć początkowo nie umiał sobie uzmysłwić kogo. Wpadł na tę myśl, pełznąc przez gęste kolczaste krzaki. Te oczy... ten podbródek... ta figura: Kochana Miss Daisy.

Kochana Miss Daisy była jego dobrą przyjaciółką w Chicago w Brudnych Latach Trzydziestych. Specjalnością Kochanej Miss Daisy było zdejmowanie wszystkiego poza podwiązką przed gośćmi El Cairo Tearooms - lokalu, w którym dość swobodnie podchodzono do ceremonii picia herbaty. Ujęci jej widokiem amatorzy herbatki zawsze wtykali za podwiązkę Miss Daisy banknoty o wysokich nominałach. Była jego dobrą przyjaciółką i któregoś razu poprosiła go, by przyszedł na jej przedstawienie, na co zgodził się z wielką przyjemnością. Pod koniec pokazu Kochana Miss Daisy - mająca na sobie jedynie podwiązkę i buty na wysokim obcasie - zebrała jakieś osiemset dolarów, co stanowiło wtedy całkiem znaczącą sumkę.

W tym momencie z widowni wyskoczył mężczyzna, który nazywał się Moose Michael. Podbiegł do Miss Daisy od tyłu i przystawił jej do łabędziego karku rewolwer. Dla

Miss Daisy nie była to pierwszozna, więc wcale się nie zdenerwowała. Faceci mający na myśli to, co miał na myśli ten Moose Michael, czasami nie umieli się zachować i wtedy trzeba było ich poszczuć psami. Szybko się jednak okazało, że tym razem nie jest to amator wystających atutów Miss Daisy, ale jej pieniędzy za podwiązką. Tego regulamin nie przewidywał, więc Miss Daisy zacisnęła piękną dłoń w pięść, błysnęła oczami i nie przejmując się przystawionym do szyi rewolwerem, złamała facetowi szczękę w czterech miejscach.

Przemyślawszy to, Miller uznał, że w Klitemnestrze jest wiele podobieństw do Kochanej Miss Daisy, i zanim przebił się przez krzewy, skreślił ją i Willsa z listy spraw, o które należy się martwić.

Łoskot maszyn przed nimi robił się coraz głośniejszy.

CZWARTEK 12.00 - 20.00

Leutnant Priem walczył w Afryce Północnej, brał udział w inwazji na Kretę, niedawno był w Jugosławii. Kiedy mijał kolejny zakręt wężowozu (przydałby się pies, ale wszystkie gdzieś uciekły), pomyślał, że ta wyspa mogłaby być świetnym miejscem, gdyby oficer dowodzący miał nieco więcej oleju w głowie. Głupi wypadek storcha - bo obserwator wypił za dużo metaksy i zaczął się drzeć jak opętany, zanim spadł na ziemię - i Wolf spanikował, a oni musieli teraz udawać kozice, szukając jakiegoś zaznaczonego na mapie miejsca, jakby prowadzono zabezpieczanie terenu przed wizytą Fuhrera.

Ścieżka wychodziła na polankę. W południowym słońcu śpiewały cykady, a w powietrzu unosił się ciężki aromat tymianku i ruty. Priem pogardliwie popatrzył na ruiny. Jak można wierzyć we wspaniałość greckiej kultury, jeśli ludzie mieszkali tu w takich norach? Zdegenerowana banda. Nie lepsza od zwierząt. Oczywiście, że od lat nikogo tu nie było.

- Przeszukać! - wydał rozkaz, zapalił papierosa i usiadł w cieniu. Na płaskim kamieniu wygrzewała się jaszczurka, podnosząc temperaturę ciała do poziomu, który pozwoli jej wyruszyć na następne polowanie. Co za szczęśliwy gad... mógł cały dzień wylegiwać się na słońcu, a on musiał udawać, że przeszukuje miejsce, gdzie od dawna nikogo nie było.

No, taki już był ten Wolf - brutalny, ale grundlich. Chociaż...

- Herr Leutnant! - rozległ się wrzask.

Priem zgasił niedopałek i poszedł sprawdzić, czego chce sierżant.

- Budynki są puste, ale znaleźliśmy to. - Sierżant wskazał czubkiem buciora na kupkę mosiężnych cylindrów: łuski po nabojach.

Priem w jednej sekundzie się sprężył.

- Świetnie. - Były to łuski z nabołów wystrzelonych ze schmeissera. - Co z samolotem?

- Jest tam - odparł sierżant. - Sto trzy metry w dół.

- Lina!

- Lina umocowana - odparł podoficer.

Szczałki storcha zatrzymały się na grani. Priem obszukał je, obejrzał spalone zwłoki pilota i obserwatora, zmarszczył lekko czoło. Potem sprawdził linię wyszarpanych przez pociski dziur, zaczynającą się u nasady skrzydła i znikającą pod kadłubem.

Wspiął się na polankę w milczeniu.

- Sierzancie, zakładamy tu kwaterę polową. Przeszukajcie teren jeszcze raz, zwłaszcza w dół skalnych ścian. I dajcie mi radio.

Nieco wyżej w górach, w miejscu, które było kiedyś najwyżej położoną ulicą bandyckiego miasteczka, Klitemnestra i Wills leżeli w ciemnościach. Było chłodno, wokół pachniało zgnilizną, co nie powinno dziwić, gdyż ich schronienie znajdowało się pod ruinami budynku, który służył kiedyś za pralnię.

Przeszukiwania nie były w tej miejscowości nowością - najpierw kręcili się tu krzyżowcy, potem Turcy, następnie Grecy. Niemcy mieli godnych prekursorów, więc, zdaniem Klitemnestry, na pewno nie wpadną na tę kryjówkę.

Oczywiście jeżeli nie sprowadzą psów - pomyślała, wsłuchując się w pomrukiwania Willsa.

Kamieniołom wyglądał jak każdy inny kamieniołom: w pionowej ścianie wycięto zagłębienie w kształcie podkowy, u podstawy wyrębu leżały sterty gładów, kilka koparek jeździło po białej ziemi, wzbudzając chmury pyłu. Na środku stała kruszarka: wielka maszyna z czarnym kominem, z którego buchał dym. Wsypywano do niej kamienie dostarczane taśmociągiem. Kruszyła je ze zgrzytem, a następnie wsypywała do wielkiego lejkowatego pojemnika, pod którym biegły tory. Stanął tam właśnie pierwszy wagon poczwórnego składu, otworzono klapę i w dół z łomotem posypała się pierwsza partia kamieni. Lokomotywa podjechała do przodu i załadowano następny wagon. Kolejny ruch pociągu i kolejny łomot kamieni, potem jeszcze jeden. Lokomotywa zagwizdała i ruszyła nabierając prędkości.

- No i? - spytał Carstairs.

- Czekamy - odparł Mallory, patrząc na zegarek.

Skład towarowy jechał płaskowyżem, malejąc z każdą chwilą i wkrótce dotarł do nasypu biegnącego przez mokradła. Nad parowozem pojawiła się biała chmura, zaraz jednak rozwiała ją bryza. Od północy zbliżał się szary front chmur.

- Dwanaście minut - powiedział Mallory. - Ruszamy.

- Dlaczego? - spytał Carstairs.

Pozostała dwójka bez słowa zarzuciła plecaki. Miller wskazał na ścianę, którą niedawno schodzili - zjeżdżały po niej na linach małe figurki, sprawdzając każdy załomek i półki skalne.

- W dalszym ciągu szukają - stwierdził Mallory. - Jeśli stąd nie pójdziemy, zobaczą nas.

Carstairs poczuł suchość w ustach, wstał i ruszył w dół kamieniołomu.

W oddali rozległ się długi gwizd lokomotywy. Wagony już opróżniono i pociąg

zaczynał podróż powrotną.

Schodzili po rozgrzanych kamieniach pod północną ścianą kamieniołomu. Słońce paliło niemiłosiernie, a oni skakali z głazu na głaz i choć czasami nogi ślizgały im się na drobnym żwirze, biegli tak szybko, że unosił się za nimi kurz. Wsparci na łopatach, palący papierosy robotnicy w zakurzonych kombinezonach podnieśli głowy i ujrzeli czterech mężczyzn w panterkach i wojskowych czapkach, schodzących ze sterty kamieni. Widok żołnierzy nie był niczym nowym - kręciło się ich wszędzie aż za dużo.

Do przybyłej czwórki podszedł strażnik - feldfebel z Wehrmachtu, znudzony i zakurzony od stóp do głów. Sonderkommando było na wyspie dopiero od trzech dni, a Mallory mógłby się założyć, że między tymi formacjami nie panuje wielka miłość.

- Czego chcecie? - spytał feldfebel.

- Zajmuj się swoimi sprawami - odparł Mallory.

Strażnik aż zamrugał.

- To moja sprawa.

- Może zechcesz to wyjaśnić Hauptmannowi Wolfowi - rzucił Mallory.

Nie zadziało.

- Mam swoich oficerów - odparł Niemiec. - Nie muszę rozmawiać z waszym obrzydliwym Hauptmannem.

- To bardzo mądrze - stwierdził Mallory i ruszył przed siebie.

- Chwileczkę. Dokumenty!

- Nie bądź głupi. - Cała czwórka szła teraz w stronę kruszarki, a strażnik niemal za nimi biegł. Chmura zasłoniła słońce. Powietrze zrobiło się ciężkie i wilgotne.

Strażnik stanął przed nimi i zdjął z ramienia broń.

- Dokumenty! - rzucił, a w jego oczach pojawił się błysk skrupulatności, legendarny upór niemieckiego podoficera. Mallory'emu wcale się to nie podobało.

- Jak chcesz - odparł. - Chodźmy w takim razie do twojego przełożonego.

Andrea stał tuż za Mallorym. Znajdowali się pod kruszarką na długich nogach, sprawiającą wrażenie gigantycznego owada. Andrea zaczął się przesuwać, tak by okrążyć Niemca. Włosek, na którym wisiało życie strażnika, stawał się coraz cieńszy. Niemiec ciągle jednak lustrował Mallory'ego od stóp do głów.

Spojrzał na jego buty.

Były pokryte grubą warstwą kurzu, poobijane i podrapane, ale jakieś dziwne. Cóż, w końcu były to nieco zmodyfikowane angielskie buty spadochroniarskie, uszyte dla Mallory'ego na miarę przez firmę Lobb z St. James Street w Londynie we współpracy z firmą

Black's of Holborn, która wyposażała różnego rodzaju wyprawy - na dodatek specjalnie dopasowane i nabite gwoździami z główkami w kształcie ostrosłupów, które Mallory regularnie ostrzył pilnikiem noszonym w kieszeni.

Na pewno nie były to regulaminowe niemieckie buty wojskowe.

Mallory mógł się jedynie domyślać, co chodzi feldfeblowi po głowie. Był kapłanem porządku i regulaminów, a to, co widział, było herezją i świętokradztwem. Uniósł karabin, rozejrzał się i otworzył usta, by krzyknąć.

Mallory złapał za skierowaną ku niemu lufę, pchnął ją mocno w bok, równocześnie odwrócił się. Coś wielkiego i szybkiego śmignęło za jego plecami. Feldfebel głośno i ze świstem westchnął i poleciał na Andree, który przytrzymał go w pionie. Grek wyjął nóż, który wbił Niemcowi pod żebra i silnym pchnięciem przebił serce, i natychmiast pchnął trupa w cień pod kruszarką. Powietrze zrobiło się jeszcze gęstsze. Pierwsze grube krople uderzyły w pylistą ziemię.

Mallory zapalił papierosa, lecz nikt się nie odzywał. Wydmuchał dym.

- Słuchajcie - powiedział.

Skupili się na jego słowach, nie zwracając uwagi na grzmoty. Wkrótce szyny zaczęły pogrząkiwać i trzy minuty później przyjechał pociąg.

Maszynista ziewnął. Zarówno on, jak i palacz byli Niemcami. Daj taką robotę Grekowi, a wszystko się zawali. Na szczęście żołnierze nie byli najgorsi. Co prawda miał obowiązek wpisywać każdy ładunek, który mijał wartownię, ale przecież nie byli kolejarzami, lecz żołnierzami Wehrmachtu, więc wpisywał wszystko na początku zmiany i mógł wjeżdżać i wyjeżdżać jak mu pasowało.

W zsydni załomotało, więc podjechał do drugiego czerwonego znaku, zahamował i odwrócił się do palacza, by kazać mu dorzucić nieco węgla. Palacz był blondynem o jasnych błękitnych oczach. Maszyniście opadła szczęka - miał przed sobą mężczyznę o szczupłej opalonej twarzy i najzimniejszych szarych oczach, jakie widział w życiu.

Właśnie zamierzał krzyknąć, kiedy poczuł ucisk jakiegoś przedmiotu na wysokości brzucha. Właściwie było to ukłucie czegoś ostrego, co wsunęło się między dwie fałdy tłuszczu. Zamknął usta.

- Załaduj jeden wagon - rozkazał obcy. - Potem jedź.

Maszynista wolał nie pytać, co się stało z jego palaczem.

Powiedział jedynie:

- Ciśnienie spadło.

Do kabiny wszedł drugi mężczyzna - z ciekim wąsikiem. Otworzył drzwiczki

paleniska i zaczął wrzucać węgiel.

- Wszystko gra - stwierdził po chwili. - To co, ruszamy?

Maszynista dmuchnął w poplamione smarem wąsy.

- Nie - odpowiedział, na co ostrze przy jego brzuchu poruszyło się. Skóra została przecięta i popłynęła krew. Choć padał deszcz, od którego gorąca ziemia parowała, maszynista poczuł, że zalewa go zimny pot. - Przepraszam. Tak jest. Oczywiście. Już się robi.

- Jego dłoń wyciągnęła się do zaworu.

Podpora zsydni zaczęła się przesuwac i pociąg nabierał prędkości. Kamieniołom powoli zniknął za szarą kurtyną deszczu. W przodzie pojawiła się brama, przy której stała budka strażnika.

Mallory skulił się na podłodze, a Carstairs pochylił i wbił łopatę w węgiel, jakby wrzucał go do paleniska. Maszynista patrzył nieruchomo przed siebie, nie zwrócił nawet uwagi na machanie siedzącego w drewnianej budce i pijącego kawę krótko ostrzyżonego wartownika. Pociąg jechał nasypem przecinającym zielone pola. Z prawej strony widać było młode zboże i szare od deszczu morze, z lewej też były pola, ale przegrodzone wysokim płotem z siatki i drutu kolczastego, za którym stały baraki i znajdował się - chyba - skład paliw. Zza baraków wystawały, niczym rekinie płetwy, ogony samolotów. Pola przed nimi obniżały się i antyczna lokomotywa pociągnęła swój skład przez pas trzciny. Kilkaset metrów dalej po obu stronach pojawiły się owalne oczka wodne, które wyglądały na stojące, zwłaszcza że ich brzegi porastały jedynie kępki marnej roślinności. Dodatkowo na brzegach skryzalizowało się coś białego, a w powietrzu unosił się odór sody. Mallory obliznął wargi i poczuł smak wapienia.

Po lewej ciągnął się drugi nasyp, po którym biegła droga. Znikała ona między wysokimi płotami, dalej przecinały ją szlabany pomalowane w białe - czerwone pasy. Ujrzeni domy, w których mógł się pomieścić pluton wojska, i dwa stanowiska karabinów maszynowych - jeden mógł trzymać w szachu dojazd do drogi, drugi - ją samą. Mallory był szczęśliwy, że zdecydował się skorzystać z pociągu.

Zbliżał się przeciwległy brzeg - najpierw pojawiło się wychodzące z mokradeł skośne usypisko ze świeżo narzuconych kamieni, potem płaska przestrzeń, sprawiająca wrażenie sztucznie usypanej na podmokłym terenie. Za nią niczym ściana wznosił się bazaltowy kolos Akropolu. Na końcu usypanego na mokradłach terenu, za płotem z siatki, widać było park samochodowy. Wjeżdżał tam właśnie ambulans - otworzono drzwi, dwóch sanitariuszy wyciągnęło ze środka nosze i pobiegło z nimi ku stalowym drzwiom znajdującym się w pionowej skalnej ścianie.

Mallory popatrzył na Carstairsa, który też przyglądał się ambulansowi.

Tory przecinały sztucznie usypany teren, biegnąc po ustawionym na podporach wiadukcie, i kończyły się zaporą z buforami. Wiadukt umacniano właśnie kamieniami, po każdej stronie toru stała obracająca się olbrzymia betoniarka.

Pociąg zwolnił, maszynista uniósł rękę i pociągnął za jakąś dźwignię. Cały skład zatrząsł się i kiedy Mallory popatrzył za tender, ujrzał, że ładunek z pierwszego wagonu wysypuje się obok przypór wiaduktu. Po chwili w górę wzniosła się chmura pyłu, który zaczął opadać wraz z deszczem i osiadać we wszystkich zakamarkach kabiny lokomotywy.

- Wsiadka - rzucił Mallory.

Carstairsa już nie było, zniknął pod osłoną chmury pyłu.

Maszynista przestawił kierunek jazdy i otworzył przepustnicę. Pociąg potoczył się z powrotem przez mokradła i pola, minął znudzonego wartownika i wjechał do kamieniołomu. Żołnierze na skarpie kontynuowali poszukiwania, tyle że teraz byli znacznie niżej.

Mallory zdawał sobie sprawę, że wszystko jest tylko sprawą czasu.

Pociąg zwolnił, lokomotywa stanęła przy pierwszym oznakowaniu. Maszynista wskazał dźwignię na podporze obok lokomotywy. Mallory pociągnął za nią, zsypania z hukiem się otworzyła i wagon zapełnił kamieniami. Z cienia wychynęli Andrea i Miller.

- Wsiadać! - rzucił Mallory.

W budce wartownika wybuchło zamieszanie. Żołnierz wyskoczył na deszcz, jedną ręką nałożył na głowę kubłowy hełm, a drugą zaczął wymachiwać karabinem. Coś krzyczał, zagłuszał go jednak odgłos pracujących koparek oraz łomot i chrzęst kruszarki.

Trzeba było zniknąć.

Wartownik zarzucił karabin na ramię i zabrał się za zamykanie bramy, przez którą prowadziły tory, ale ślizgał się w wielkich kałużach. Pociąg przyśpieszył. Mallory wyraźnie widział twarz Niemca i jego czerwone oczy. Lokomotywa z hukiem uderzyła w bramę, zazgrzytał metal i pociąg przejechał. Mallory się obejrzał i zauważył, że z okna wartowni wydobywa się dym. Popatrzył na Millera.

- Chyba usiadł na popielniczce - powiedział Miller niewinnie odwzajemniając spojrzenie.

Smużka dymu skłębiła się i zrobiła pomarańczowa. Bomba z termitu, którą Miller wrzucił przez okno, torowała sobie drogę przez biurko - paląc papier, drewno oraz kanapki wartownika - aby przejść przez podłogę i spalić to, co było najważniejsze - łącza telefoniczne.

Mallory zaczął wyjaśniać plan. Słuchali go uważnie - nawet maszynista. Co prawda nic nie rozumiał, ale z najwyższą koncentracją wsłuchiwał się w niezrozumiałe słowa, jakie

wypowiadał Nowozelandczyk. Wiedział doskonale, że to, co się miało zdarzyć w następnych minutach, było sprawą życia i śmierci - dla niego pewnie śmierci.

Okazało się, że nie musiał nic rozumieć. Kiedy pociąg dudniąc wjechał na mokradła, Niemiec zaczął się trząść w oczekiwaniu najgorszego, nagle jednak silne ręce podniosły go w górę i wyrzuciły w gęsty deszcz. Niczym człowiek - pocisk wpadł do jeziora śmierdzącej wody, kłującej oczy jak kwas. Kiedy odzyskał oddech, wciągnął się na stały grunt i opadł kaszłąc bez sił. Wkrótce usłyszał okropny hałas.

Maszynista był kolejjarzem, nie żołnierzem i doszedł do wniosku, że dyskrecja jest lepszą stroną męstwa. Ciągle jeszcze niezbyt dobrze widział, ale bez trudu mógł ocenić, skąd dochodził rumor. Zaczął płynąć jak najszybciej w przeciwnym kierunku.

Andrea wyrzucił maszynistę na prawą stronę, gdyż z lewej mogło ich obserwować więcej oczu. Potem Mallory pchnął dźwignię przepustnicy do samego końca. Nawet przy załadowaniu wszystkich czterech wagonów lokomotywa miała nadwyżkę mocy, a teraz ciągnęła mniej niż pół ładunku, więc kiedy para pod wielkim ciśnieniem dotarła do tłoków, z komina buchnął dym, skład skoczył do przodu i pognął ostatnim fragmentem nasypu. Kiedy dotarł do odcinka na wiadukcie, ciągnął swoje trzydzieści ton z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

- Spadamy! - rzucił Mallory.

Skacząc Miller widział pracujące nieopodal koparki, których kontury rozmywał deszcz, nie myślał jednak o tym, że ktoś może ich zobaczyć, ponieważ po pierwsze miał w plecaku kilkadziesiąt kilogramów materiałów wybuchowych, a po drugie tuż obok lecieli w powietrzu Mallory i Andrea. Spadli na stertę pokruszonych kamieni, przetoczyli się i wylądowali w zupie z deszczówki i skalnego pyłu.

Pociąg przeleciał przez końcową zaporę i wykonał w powietrzu korkociąg. Stracił nieco rozpęd, runął na ziemię, sunął po niej jakieś kilkanaście metrów i huknął w skalną ścianę. Po spotkaniu z bazaltowym masywem przód lokomotywy złamał się niczym silnie uderzona kartonowa tuba, a kocioł znalazł się tam, gdzie powinno być palenisko. Rozległo się potężne tąpnięcie, po którym nastąpiła podobna do grzmotu detonacja i nagle wszystko pokryła gęsta chmura pary, deszczu i pyłu.

- Idziemy! - tuż nad uchem Millera rozległ się głos. Był to Mallory.

W oddali słychać było trzaski, chrzęst obracających się betoniarek i trąbienie.

Miller wstał i pobiegł za Andrea w - miał nadzieję - w prawidłowym kierunku. Głośny klakson trąbił dalej.

Andrea krwawił i Miller podejrzewał, że z nim jest podobnie. Znaleźli się przed

wejściem wyrąbanym w skalnej ścianie, a trąbienie dochodziło z wiszącej tam tuby.

- Herein - powiedział po niemiecku Andrea.

Niedaleko krzyczał feldfobel, każąc żołnierzom się kryć. Rozsądek podpowiadał Millerowi, że nie można tam wejść, bo to tajna niemiecka fabryka broni... a poza tym gdzie był Mallory?

Zanim jednak skończył o tym myśleć, znalazł się w środku góry, a stalowe drzwi z sykiem hydrauliki...

Zamknęły się.

Śpiąca w piwnicy zrujnowanego budynku Klitemnestra nagle obudziła się z niespokojnego snu. Z pośłania obok dolatywał oddech Willsa: płytki, ale regularny. Był to znak, że jego stan jest lepszy. Wiedziała, że zdrowie rannych mężczyzn albo po kilku dniach się poprawia, albo umierają... Pomyślała o Achillesie, jej drogim bracie Achillesie, wysokim, silnym, skorym do śmiechu, z jastrzębim nosem nad gęstymi wąsami i oczami błyszczącymi łagodnością i wesołością. O drzwi załomotały kolby i wyciągnięto go z domu. Potem widziała go tylko raz, ostatni raz... na wozie na placu, gdzie ta hitlerowska świnia pociągnęła go brutalnie za nos i w umęczonych oczach Achillesa pojawił się wyraz mówiący: „Boże, to się dzieje ze mną naprawdę...”.

Klitemnestra zmusiła się do tego, by nie rozpamiętywać tej sprawy zbyt okrutnej, by ją wspominać. Na samą myśl o śmierci brata kręciło jej się w głowie, jakby szalało w niej morze pełne wściekłych fal. Wyciągnęła rękę po broń i zacisnęła palce na chłodnym metalu. Otrzeźwiło ją to, pozwoliło wrócić do rzeczywistości.

To znaczy, do tego, co było powodem, że się obudziła.

Kiedy sobie przypomniała, co ją wyrwało ze snu, odruchowo wciągnęła powietrze i wstrzymała oddech. W ciszy pojawiło się to ponownie: coś między szczeknięciem a wyciem. Daleki odgłos wydany przez psa. Nie psa pasterskiego, ale polującego. Czarnego podpalanego psa. Takie zwierzęta wykorzystywało Sonderkommando do polowania na ludzi.

Ścisnęła Willsa za dłoń. Dotyk jego cieplej skóry dodał jej otuchy.

- Co się stało?

Wyjaśniła sytuację.

- No cóż - odparł. - Chyba trzeba coś przedsięwziąć. - Miał wrażenie, że zdarzył się cud. Głowę miał jasną, myślał prawidłowo. Pamiętał niewiele z ostatniej doby: zamazane obrazy, widok własnych stóp, posuwających się bez przerwy po skale, Nelsona, urywki okropnych koszmarów...

Teraz było już po wszystkim. Wziął swój pistolet i włożył do niego nowy magazynek.

Klitemnestra ostrożnie wyglądała na zewnątrz.

- Ilu?

- Czterech. I pies.

- Chyba czas na mały wstrząs.

- Duży wstrząs. - Nie była zwolenniczką angielskiego pomniejszania. W końcu nie istniał wstrząs większy niż śmierć.

- Dobry piesek, Mutzi - powiedział Tietmeyer, przewodnik.

Marsdorff tak by go nie nazwał. W tej spiekocie to cholerne zwierzę zaciągnęło jego, Schmidta i Kohla na sam grzbiet pionowej skalnej ściany. Bydlę nasikało na linę, którą on potem musiał złapać, i wszyscy uznali to za bardzo dowcipne. Marsdorff był krępy męczyzną o cerze koloru białego robaka i zawdzięczał miejsce w Sonderkommando nie tyle talentom wojskowym, ile brakowi skrupułów. Był dobry w wieszaniu ludzi, miał pewną rękę w posługiwaniu się rozżarzoną żelazną szczypcami, wiedział, co to zbiorowy gwałt, i uważał nawet, że często mężczyźni robią to zbyt brutalnie i bezmyślnie. Dobrze traktowana kobieta mogła przez kilka dni dostarczać rozrywki całemu oddziałowi...

- Dobry piesek... - powtórzył przewodnik. Prowadzony na zaciskowej smyczy doberman warczał i ślinił się, a jego pazury drapały po nagiej skale. Z całej siły ciągnął Tietmeyera w kierunku zrujnowanego budynku w górnej części wioski. Trzeba było stanowczej perswazji, by zmusić go do wyjścia z grobowca, do którego uciekł po śmierci poprzedniego przewodnika, teraz jednak znów pracował, jakby płonął z ochoty naprawienia swych błędów. - Ktoś tu był, tak? Ale już sobie poszedł?

- Jasne - rzucił z sarkazmem Marsdorff. - Orły czy kozice?

- Miejmy nadzieję, że kozice - powiedział Koni, który nie lubił Marsdorffa. - Nie miałbym nic przeciwko przeleceniu kozicy, ale orły są niemodne.

- Gdzieś musi być granica - powiedział Marsdorff mądrze. Nie żartował. - Jakaś granica.

Mężczyźni podeszli nonszalancko do kolejnej grupy ruin. Nie mieściło im się w głowie, by na tej wyspie znajdował się ktokolwiek, kto nie powinien tu być. Podobno była tu jakaś strzelanina, ale uwierzyliby w to dopiero wtedy, gdyby udało im się zobaczyć jej dowody na własne oczy.

Ścieżka zwązala się i przechodziła przez wąskie przejście między skalną płytą a ścianą masywu, i znikła w mniej więcej metrowej głębokości rowie, którym można było dojść do kolejnych zrujnowanych domów. Pierwszy z brzegu budynek był spory, jego puste okna patrzyły martwo na przejście i rów. Niemcy weszli do zagłębienia - Tietmeyer pierwszy. W

jednym z okien domu przed nimi coś się poruszyło: krótka gładka rurka. Lufa pistoletu maszynowego. Tietmeyer zdążył jedynie nerwowo powiedzieć:

- Przecież... - po czym przejście wypełniło się przerażającym hałasem i zasypały go pociski. Wszyscy czterej skoczyli w górę, ale żaden nie dotknął ziemi żywy.

Wills podszedł do ciał. Znów był blady.

- Boże... - jęknął.

Klitemnestra uklękła przy Tietmeyerze i zabrała mu broń, kilka magazynków i wiązkę granatów na drewnianych rączkach. Potem splunęła trupowi w twarz i podeszła do następnych ciał. Wills obserwował zakręt ścieżki.

- Jeśli nie są głusi, przyjdą tu - powiedział.

Klitemnestra uniosła pogardliwie brew.

- To niech przychodzą. - Wskazała w górę, gdzie skalna ściana wybrzuszała się jak czoło kamiennego geniusza. - Jeśli przyjdą tędy, sprzątniemy ich jak pająki. - Wskazała na skraj ścieżki. - Tędy nie przyjdą, bo nie umieją latać. Stamtąd... - wskazała na miejsce, gdzie ścieżka znikła między ruinami domów - też musieliby przylecieć. Aby wejść na górę, muszą przejść tędy. To miejsce jest jak przesmyk w Termopilach, choć podejrzewam, że nigdy o tym nie słyszałeś...

- W starożytnej Grecji toczyła się tam bitwa, w przesmyku górskim. Trzystu Spartan walczyło ze stoma tysiącami Persów. Drużyna gospodarzy wygrała. Na środku ataku grał Leonidas.

- Pomóż mi więc usunąć ciała i wracajmy do chaty.

- Robi się. - Byłoby w złym guście zaznaczać, że bohaterowie spod Termopil zginęli, aby doprowadzić do zwycięstwa. Pomógł Klitemnestrze zrzucić trupy w przepaść, potem wziął broń i granaty i poszedł za nią do Jaskółczego Gniazda.

Nie byli pierwszymi ludźmi, którzy wpadli na pomysł, by bronić tego niedostępnego miejsca. Jaskółcze Gniazdo było fortecą górującą nad przejściem, wieżą przyklejoną do skalnej ściany nad otchłanią niczym gniazdko jaskółki pod okapem dachu. Kiedy tam weszli, odgłos kroków Willsa odbił się głośnym echem od grubych ścian. Wsadził głowę w coś, co mogło być odpływem wody, ale równie dobrze rurą do wylewania na atakujących wrzącego oleju. Ścieżka w dole biegła zygzakiem do podstawy skalnej ściany. Pełżyli nią maleńkie postacie: niemieccy żołnierze.

Może Jaskółcze Gniazdo było niedostępną fortyfikacją, ale na wyspie pełnej Niemców było także pułapką bez wyjścia.

Po tym jak stalowe drzwi zamknęły się z sykiem, Miller i Andrea przez chwilę się nie

ruszali nasłuchując. A było czego słuchać.

Znajdowali się w korytarzu wykutym w bazaltowym masywie. Po obu stronach ciągnęły się szeregi drzwi, a od ścian, wspierających schody dźwigarów, od stalowych drzwi i lamp odbijały się głośnie odgłosy, pochodzące głównie z głośników, trąbiących jak szalone w panującym chaosie.

Wszędzie byli ludzie - głównie żołnierze Wehrmachtu, lecz tu i ówdzie widać było cętkowane panterki SS oraz granatowe kombinezony pracowników cywilnych - zapewne mechaników. Był także mężczyzna o głowie podobnej do dyni, w białym laboratoryjnym kitlu i okularach w drucianych oprawkach, z wetkniętymi w kieszonkę na piersi kilkoma piórami. Pod nadzorem czterech esesmanów przeszła grupa Greków, ubranych w poszarpane chłopskie ubrania. Każdy był zbyt zajęty, by interesować się parą zabłoconych i zakrwawionych mężczyzn w podartych panterkach.

Na razie.

Nie trwało długo, jak podszedł do nich podoficer Wehrmachtu, popatrzył na Andreę i spytał:

- Co tu, do cholery, robisz, zabójco?

Andrea stanął na baczność, wbił wzrok przed siebie i wysunął podbródek do przodu.

- Ile masz wzrostu? - warknął podoficer.

Miał małe oczka, przepełnione złem. Miller był pewien, że za chwilę powędrują one od twarzy Andrei w dół, do butów - angielskich butów, a będzie to oznaczać, że...

- Dwa metry, feldfebel! - ryknął Andrea.

- Jeszcze nigdy nie widziałem tak wysokiej kupy gówna - zarechotał podoficer. Andrea kątem oka popatrzył w głąb korytarza. Otworzyły się tam drzwi i na korytarz wyleciał obłok pary. Z pomieszczenia wyszedł mężczyzna z uplecioną ze sznurka torbą i idąc, dopinał mundur. - Wy podrzynacze gardeł z Sonderkommando myślicie, że można sobie tak chodzić z niedomytymi tyłkami...

- Proszę o pozwolenie na prysznic, feldfebel! - ryknął Andrea.

- Proszę o pozwolenie na prysznic, feldfebel! - ryknął Miller.

Andrea wykonał zwrot w lewo, aż jego buty zachrzęściły na betonie, i ruszył w kierunku drzwi, zza których przed chwilą wyszedł niemiecki żołnierz. Feldfebel odwrócił się. Uznał, że jeśli te nazistowskie świny mają ochotę brać prysznic w trakcie alarmu, to niech go sobie biorą. Mein Gott, ci brutale byli ponad prawem. Można było mieć tylko nadzieję, że nie zechcą gotować i jeść normalnych żołnierzy oraz okradać zabitych. Co się działo z wojskiem... Porządny żołnierz musiał się mieszać z draniami z Sonderkommando, cywilnymi

robotnikami, jajogłowymi i Bóg wie jeszcze jaką hołotą. Wyglądało na to, że jakiś idiota na dodatek rozwalił pociąg. Piwa... zamarzył feldfelbel. W tym klimacie i w takiej chwili tylko to mogło człowieka uratować. Ruszył w kierunku kantyny podoficerskiej.

- Trąbienie ustało. ALLES KLAR - rozległ się w całym korytarzu metaliczny głos. - SYTUACJA OPANOWANA. ALARM ODWOŁANY.

Andrea otworzył drzwi do łaźni.

Było to duże pomieszczenie, pełne pary i przekleństw mężczyzn, którzy zaczęli pośpiesznie wkładać mundury na namydlone ciała i teraz się dowiedzieli, że niepotrzebnie.

Pod prysznicami splukiwały się opalone twarze i przedramiona, wyrastające z mlecznobiałych niemieckich ciał. Miller i Andrea znaleźli zaparowany kącik, zdjęli mogące ich zdradzić buty, rozebrali się, schowali buty i własne bluzy pod panterki i weszli pod prysznic.

- Odświeżające - stwierdził Miller.

- I to jak.

- Mordercy - mruknął stojący pod następnym prysznicem niski mężczyzna, prawdopodobnie z Wehrmachtu.

Andrea wyciągnął ku niemu dłoń, ujął go pod brodę i spytał:

- Nie bardzo rozumiem, co to miało znaczyć.

Żołnierz był mały i przestraszony, ale równocześnie odważny.

- Dokładnie to, co powiedziałem.

Andrea przyjrzał mu się uważnie.

- Masz rację - oświadczył i uśmiechnął się przeraźliwie. Niemiec uciekł.

- Nie lubimy się zbytnio, co? - spytał Miller po niemiecku.

- Czasami... - odparł z rozmarzeniem Andrea - życie bywa takie piękne...

Mówiąc to, olbrzym, którego niemal całe ciało porastały włosy, rozglądał się trzymając wokół bioder czyjs ręcznik. Miller wyobraził sobie wygląd tej łaźni za kilka godzin: przez drzwi będą wystrzeliwały ozory ognia, sufit się zapadnie, zamiast pary w powietrzu będzie się unosił dym i wokół rozlegać się będą wrzaski...

Oczywiście jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Wiedział, za czym rozglądał się Andrea - szukał kogoś, kto miał jego rozmiar butów.

Znajdujący się trzysta metrów dalej Mallory też myślał o butach. Kiedy wyskoczył z pociągu, uderzył w ziemię najpierw stopami, przetoczył się na komandoską modłę, stanął na nogi jak kot i zaczął biec przez deszcz, parę i pył w kierunku skalnej ściany z antenami, na którą zamierzał się wspiąć Carstairs. Strzelano, ale nie zwracał na to uwagi. Nie ufał

Carstairsowi i uważał, że należy go pilnować, zamierzał więc wejść na górę i sprawdzić, co robi. Choć nigdy na nią nie wchodził, Mallory znał tę ścianę - poznał ją na podstawie obserwacji, tak jak żeglarz poznaje na podstawie mapy leżące przed nim morze, albo rybak fragment rzeki.

Dotarł do zniszczonej lokomotywy - zgniecionej walca, z którego wydobywała się gorąca para. Przebiegł wzdłuż niej, starając się unikać wrzących gejzerów. Powietrze wypełniał gęsty obłok pary. Po chwili stał przy skalnej ścianie.

Kiedyś wychodziła ona prosto z mokradeł, ale ponieważ nawieziono tu kamienie, tworząc nowy fragment łądu, zdawała się wychodzić z miejsca, gdzie nasypy kolejowy i drogowy dochodziły do Akropolu. W skale wykuto pomieszczenia, a trzy metry nad poziomem ziemi wyprowadzono zacementowaną rurę odpływową. Mallory skoczył w górę, objął rurę rękami, podciągnął nogi, wbił nabite gwoździami podeszwy butów w skałę i wyprostował nogi w kolanach. Po chwili stał na rurze. Deszcz i para były tu gęste jak owsianka. Gdzieś huknął grzmot - może wybuchł kocioł lokomotywy, do tego nieustannie chrzęściły betoniarki.

Wyciągnął rękę w górę i czubkiem palca dotknął kabla biegnącego poziomo po skale. Był gruby niczym węgorz i przymocowany do ściany uchwyty z dobrej niemieckiej stali. Mallory skoczył w górę i chwycił kabel. Wbił podeszwy w skałę i zaczął przenosić stopę wyżej. Delikatnie, aby nie uszkodzić izolacji, oparł nogę na kablu, następnie podciągnął całe ciało. Po kilku sekundach stał na kablu, który biegł w prawo, czyli na północ, na wysokości sześciu metrów nad ziemią.

Z miejsca, w którym się znajdował, widział gęstą, nieprzejrzystą chmurę powstałą z mieszaniny deszczu i pary wydobywającej się z lokomotywy. Słyszał chaotyczne odgłosy. Syk pary cichł, wrzaski robiły się głośniejsze. Chrapliwe głosy wykrzykujące rozkazy mieszały się z łoskotem betoniarek. Miał mało czasu, więc stąpał bardzo ostrożnie stawiając nogę za nogą. Koncentrował się, aby nie stracić równowagi i szedł wykorzystując ścianę deszczu jako ukrycie.

Betoniarki nieustannie łomotały, ale nie było w tym nic dziwnego - betoniarka musi się kręcić, inaczej beton zaraz zakrzepnie. Z góry, na stalowej linie, zjeżdżał anioł litości - wielki stalowy kubeł.

Zacząła się jedna z najdłuższych minut w życiu Mallory'ego. Dotarł do gzymsu tuż nad betoniarką. Miał on jakieś czterdzieści centymetrów szerokości i Mallory położył się na nim, twarzą do skały.

W dole krzyczano i biegano, a deszcz stał się tak gęsty, że po chwili Mallory był

przemoczony do nitki. Kubeł zjechał półtora metra od miejsca, gdzie miał głowę, i z metalicznym łoskotem zatrzymał się w zagłębieniu obok betoniarki. Rozległ się charakterystyczny pomlask spływającego betonu, po kilku sekundach lina się napięła i wiadro zaczęło się wznosić.

Mallory wstał i patrzył na czarną od smaru linę, której nie było jak chwycić. Kubeł powoli zbliżał się. Teraz albo nigdy!

Kiedy powyginany brzeg znalazł się na poziomie jego oczu, Mallory skoczył.

Zagiętymi jak szpony palcami uczeplił się pochlapanej cementem krawędzi kubła i zawisł. Palcami stóp znalazł występ, o który mógł się oprzeć.

Na dole zaczęto krzyżeć, ale w nowy sposób, który oznaczał tylko jedno: kłopoty.

Spojrzał w dół. Pod nim kłębili się ludzie - otaczali wrak lokomotywy jak mrówki - robotnice królową. Wspiął się na kubeł. Ostatni widok, jaki zapamiętał, to morze głów w hełmach, czapkach i bez nakryć, jedna z nich patrzyła w górę. Mężczyzna, którego ramiona okrywało szare sukno wehrmachtowskiego munduru, szeroko wytrzeszczał oczy i miał rozdziawione usta. Wydawał się bezgranicznie przerażony.

Mallory siedział na uchwycie kubła w taki sposób, że z dołu mógł być słabo widoczny. Miał nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na pojedynczego człowieka, który zauważył coś nieprawidłowego w urządzeniu do transportu betonu. W odległości pięciu metrów od niego przesuwiała się pionowa czarna ściana. Gdzieś w górze był Carstairs... albo nie żył. Gdyby miał wybór, Mallory wolałby się wspinać, gdyż kubeł stanowił pułapkę. Nie było jak z niego uciec.

Kubeł zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem. Dwieście pięćdziesiąt metrów niżej kłębiły się małe figurki. Z takiej wysokości nie da się rozpoznać szczegółów ludzkiej twarzy, nie wiadomo, czy ktoś obserwuje człowieka przez lornetkę, czy celuje do niego z karabinu. Mallory gwałtownie cofnął głowę i popatrzył w górę.

W trudnej do określenia odległości - choć oceniał ją na trzydzieści metrów - ze skalnej ściany wystawała konstrukcja z kołowrotem. Platformę pokrywała skorupa powstała najwyraźniej z betonu rozpryskującego się w trakcie licznych przeładunków. Na górze byli ludzie. Z pewnością powiadomiono ich już, że ktoś siedzi na kuble, dlaczego więc zatrzymano go w powietrzu?

Można było snuć różne domysły, ale najprawdopodobniejsze wydawało się to, że czekają na posiłki.

Popatrzył na skalną ścianę. Była lekko skośna i im wyżej, tym bardziej oddalała się od wiadra, na którym siedział - teraz dystans wynosił ponad osiem metrów. Co prawda była to

ściana z bazaltu, ale dość mocno zerodowana, nierówna, z występami...

Tylko osiem metrów, ale za daleko na skok.

Przez chwilę Mallory wpatrywał się w ścianę z intensywnością jastrzębia obserwującego gołębia. Potem zdjął przymocowaną do plecaka linę, wziął głęboki oddech i zabrał się do roboty.

Wsunął linę w uchwyt wiadra i tak ją przeciągnął, by oba końce zwisały na tej samej wysokości, splunął w dłonie, chwycił podwójnie złożoną linę i wyskoczył na zewnątrz.

Lina była dość licha, tylko odrobinę lepsza od linek spadochronu. Było ją trudniej uchwycić niż bawełnianą plecionkę ze stalowym rdzeniem, jakiej używali w Nawaronie i w Pirenejach, za to była lżejsza. O niebo lżejsza. Zwój nylonówki o tej samej wadze co bawełniana z rdzeniem był trzy razy dłuższy.

Dobry sprzęt zawsze pomaga. Dzięki tej linie - choć kosztowało go to sporo bólu w dłoniach - mógł zawisnąć dwadzieścia pięć metrów pod kubłem, niczym powoli się obracający, wiszący na swej nici pająk.

Ciasno owinął lewą dłoń liną, a prawą uwolnił. Wszystko wokół wirowało - chmury, góry, morze, promień słońca, który nagle się przebił, tworząc nieoczekiwaną oślepiającą linię, oraz skalna ściana Akropolu, znajdująca się nie tak wcale daleko, bo niecałe osiem metrów od niego. Lewa dłoń drętwiała, lina wcinała się w nią niczym drut w miękki ser. Prawą ręką manipulował liną, starając się zawiązać na niej podwójną ósemkę. Świat obrócił się o kolejne czterdzieści pięć stopni, o dziewięćdziesiąt, aż przed oczami Mallory'ego ukazały się w dole cygara samolotów i magazyn paliw, znajdujący się obok pasa startowego lotniska. Dokładnie pod nim wirował zadziwiająco powoli maleńki wrak lokomotywy.

Węzeł był gotów, podwójna lina została związana na końcach. Mallory wetknął prawą nogę w powstałą pętlę i utrzymywał się w tej pozycji przez chwilę, starając się w tym czasie przywrócić krążenie w lewej ręce. Wisiał i czekał, aż w końcu obrócił się o dwieście siedemdziesiąt stopni. Jak na razie nikt do niego nie strzelał. Kiedy znalazł się twarzą do skały, puścił tułów w dół.

Był dwieście parę metrów nad wrakiem lokomotywy, dwadzieścia pięć metrów pod kubłem i ponad pięćdziesiąt pod platformą z kołowrotem. Zaczął się bujać.

Robił to tak, jak robią dzieci na zwisającej z drzewa linie, tyle że był żołnierzem i znajdował się ponad dwieście metrów nad ziemią. Amplituda wahadła rosła. Czuł podmuch wiatru na twarzy, a kiedy zbliżał się do ściany - zapach. Zapach rozgrzanej mokrej skały, stanowiący mieszaninę woni zgnilizny i jakiegoś przyjemnego aromatu.

Zaczął się zastanawiać nad miejscem, w którym należało wylądować. Przy obecnej

trajektorii wpadłby na skałę zbyt gładką, ale nieco w prawo dostrzegł hakowaty występ, znad którego wyrastała kępka zasuszonej trawy. Był to wyłobiony erozją fragment skorupy skalnej w trakcie oddzielania się od macierzystego podłoża (co miało jednak nastąpić nie wcześniej niż za sto lat). Mallory nadał linie nieco inny tor i znacznie zbliżył się do występu, kiedy jednak wyciągnął ku niemu dłoń, okazało się, że jeszcze za mało. Rozbujając się więc z większym impetem i przyspieszył, tak że przy maksymalnym wychyleniu zawisł niemal w poziomej pozycji. Na ułamek sekundy jego ciało zamarło w bezruchu, jakby było nieważkie, i wtedy Mallory dosięgnął występu, wpił palce w szczelinę u jego nasady tak mocno, aż stawy chrzęstnęły. Stopę wolnej nogi zagłębił w skałę i przez sekundę wyglądał jak rozgwiazda - prawą rękę i nogę wbijał w skałę, lewa ręka i noga były zaplątane w linę. Wyjął nogę z pętli i zastanawiał się, jak najlepiej ściągnąć linę, gdyż będzie mu jeszcze potrzebna...

W tym momencie występ oderwał się.

Bez ostrzeżenia. W jednej chwili Mallory był przyklejony do ściany i chwycił równowagę, a w następnej spadał. Trzymał linę w lewej ręce, ale prześlizgiwała mu się przez palce, a ziemia zdawała się gwałtownie wychodzić mu na spotkanie.

Zacisnął zęby i dłoń. Palce dotknęły węzła, który zrobił na podwójnym końcu liny - pękatej ósemki. Zatrzymał się. Chrupnęło mu w ramieniu i zdawało się, że zaraz odpadnie, lecz utrzymał się. Bujało nim na wszystkie strony, jakby lina chciała zrzucić jego ciężar, ale wytrzymał. Kiedy wychylenia zmaleły, siła odśrodkowa mniej torturowała rękę. Złapał linę prawą ręką, potem wsunął nogę w pętlę. Wstrzymał ruch liny i starał się opanować drżenie kolan.

Potem zaczął wszystko od nowa.

Tym razem nie pozostawił niczego przypadkowi. Znalazł nowy uchwyt i zaczął się do niego zbliżać, teraz jednak przeniósł ciężar ciała na występ skalny dopiero, gdy był pewien, że można. Znalazł miejsce, na którym mógł stać, powoli rozwiązał ósemkę na końcach liny, zwinął ją, zarzucił zwój na ramię i ruszył wspinając się na rękach i nogach w stronę płaskiego podłużnego zagłębienia, w którym będzie niewidoczny zarówno z dołu, jak i z góry.

Posuwał się szybko, nie myślał o dotarciu na szczyt ściany, a tylko o następnym punkcie oparcia. Szczytem zajmie się później. Kiedy znalazł się w zagłębieniu, nie mógł zapanować nad drżeniem ciała.

Z każdą minutą znajdującemu się w Jaskółczym Gnieździe Willsowi powracała jasność myślenia. Najdobitniej dotarło do niego to, że znajduje się w niebezpiecznym miejscu, do tego sam na sam z kobietą. Otworzył puszkę sardynek i popatrzył na Klitemnestrę. Oliwkowy kontur policzka odcinał się wyraźnie na tle czarnego szala.

Dziewczyna była silna, zahartowana i poruszała się jak piórko. Teraz, kiedy mózg normalnie mu pracował, dostrzegał, jak jest piękna. Jego doświadczenie z kobietami ograniczało się co prawda jedynie do kilku godzin spędzanych z kuzynką Cynthią, której z pełnym poświęceniem nosił kije golfowe, wiedział jednak, że nie są to istoty przeznaczone do przebywania w niebezpiecznych miejscach. Może nie o to do końca chodziło, raczej o to, że ich miejsce było... no... na froncie domowym. Klitemnestra nie pasowała do tego obrazu, zdawała się inna. Stwierdzenie tego faktu było dla Willsa sporym wstrząsem, choć nie powiedziałby, że nieprzyjemnym. Zjadł następną sardynkę.

Klitemnestra patrzyła w dół przez otwór rynny. Wzięła niemiecki granat na drewnianej ręczce, wyciągnęła zawleczkę i wrzuciła go do otworu.

No cóż... - pomyślał Wills, starając się dopasować ją do znanych sobie schematów. Najwidoczniej dla niej i pozostałych mieszkańców wyspy tak właśnie wyglądał domowy front. Patrzył, jak granat leci w powietrzu. Figurki na zygzakowatej ścieżce były teraz nieco większe, dotarły na odległość około stu pięćdziesięciu metrów od ich kryjówki. Żaden z żołnierzy nie spoglądał w górę.

Dobrze skalkulowała rzut. Granat rozprysnął się w powietrzu, mniej więcej na wysokości, na której znajdowali się nadchodzący. Nie było słychać klasycznej eksplozji - błysnęło, w górę buchnął kłęb dymu, ułamek sekundy później rozległo się nieefektywne KLAP! Kiedy dym się rozwiął, trzy figurki zniknęły ze ścieżki, pozostałe zatrzymały się. W sumie mogło być piętnastu żołnierzy, dalsi nadchodzili. Było ich dużo, ale wahali się. Wejście pod ostrzał prowadzony z miejsca niewidocznego jest denerwujące - zwłaszcza na wyspie, o której się sądziło, że została całkowicie opanowana.

Po kilkunastu sekundach w dole rozległy się głosy. Żołnierze zaczęli się przemieszczać skokami. Gdyby znajdowali się na zboczu albo płaskowyżu, na pewno by się rozproszyli, ale tu mogli jedynie iść ścieżką. Znowu zbili się w większą grupę - dokładnie pod Jaskółczym Gniazdem.

- Termopile! - wrzasnął Wills, wyciągnął zawleczki dwóch granatów i rzucił je w dół.

Znow błysnęło, buchnął dym i rozległo się KLAP! KLAP! Ze ścieżki zostały zdmuchnięte kolejne postacie, które zniknęły w przepaści. Zapadła cisza.

Przerwało ją jedno słowo: Hoch! Wstawać! Nagle spomiędzy zbitych postaci ku obrońcom uniosło się kilka bladych plamek twarzy. Niemal równocześnie zamigotały błyski z luf i w skały za Jaskółczym Gniazdem gruchnęły pociski.

Klitemnestra usiadła, oparła się plecami o ścianę, wyciągnęła przed siebie nogi, napiła się wody i uśmiechnęła do Willsa, ukazując białe zęby i błyskając rozgorączkowanymi

oczami. Klepnęła brudną kamienną podłogę, by dać do zrozumienia, że między nimi a niemieckimi pociskami są dwa metry solidnej murarki i poza artylerią nic ich stąd nie wykurzy.

Wills odwzajemnił uśmiech, czując przy tym, jak naciąga mu się kawałek spieczonej w słońcu skóry.

Mimo wszystko nie było czym się cieszyć. Na wyspie stacjonowała masa Niemców, a im dwojgu starczy jedzenia i amunicji w Jaskółczym Gnieździe najwyżej na trzy dni. Może ktoś ich uwolni. Czwórka, która poszła do Akropolu, była niezła, zdążyła to kilka razy udowodnić, ale głos w głowie Willsa szeptał wyraźnie: czwórka... Przeciwno sobie ci czterej żołnierze mieli z tysiąc ludzi wroga.

Klitemnestra rzuciła kilka kolejnych granatów i rozległy się kolejne odgłosy wybuchów. Zakłęła. Grupa żołnierzy mijala właśnie ostatnie zakole ścieżki i miała zaraz się skryć za skalną ścianą. Granaty zabiły trzech, ale dwunastu schowało się za skałą. Dziewczyna złapała pistolet maszynowy i Jaskółcze Gniazdo wypełniło się jazgotem strzelaniny. Po chwili znów wyszczała przekleństwo i przestała strzelać - Niemcy byli za daleko. Wills znalazł w murze dziurę z widokiem na ścieżkę i czekał, patrząc na wykuty w kamieniu rów. Klitemnestra zrobiła swoje, teraz kolej na niego.

Przez dwadzieścia minut nic się nie poruszyło z wyjątkiem jaszczurki polującej na muchy na skalnych płytach. Potem jaszczurka zamarała, jakby czemuś się przysłuchiwała. Dziesięć centymetrów od niej wylądowała mucha, ale jaszczurka się nią nie zainteresowała. Po chwili uciekła.

Pokazał się but. Wills wycelował w miejsce, gdzie jego zdaniem było kolano, i zamarł.

W polu widzenia pojawił się żołnierz w nasuniętym głęboko na czoło hełmie; wyskoczył zza osłony niczym goniony przez fretkę królik. Wills wystrzelił krótką serię, mężczyzna wyprostował się i poleciał do tyłu na następnego, który za nim wychodził. Żołnierz zatrzymał się na moment i Wills strzelił mu w głowę. On także poleciał do tyłu. Pojawili się następni, więc Wills puścił długą serię. Zamachały ręce, ugięły się kolana i ktoś zaczął krzyczeć - nie wiadomo, czy z bólu, czy z przerażenia. Najważniejsze jednak, że napływ nowych żołnierzy się skończył. Jak bażanty, pomyślał Wills. Jak bażanty, tyle że mając pistolet maszynowy można zastrzelić naraz trzech, czterech, pięciu. Czuł niemłą lekkość w głowie i zastanawiał się, czy zacząć się śmiać, czy płakać.

- Jak bażanty... - powiedział.

- Jak hitlerowskie świnie - stwierdziła Klitemnestra.

Nagle Wills zaczął się trząść. Dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu, chcąc go trochę uspokoić.

- Przepraszam - próbował się tłumaczyć - byłem w marynarce. To dla mnie nowy rodzaj śmierci...

Uśmiechnęła się i skinęła głową, choć wcale go nie rozumiała. Widziała na własne oczy, jak powieszono jej brata - tylko dlatego że w nieodpowiednim czasie znalazł się w nieodpowiednim miejscu. Nie zastanawiała się nad swymi uczuciami, myślała tylko o wrogu i miała nadzieję, że któryś się pokaże i będzie miała okazję go zabić.

Wills doszedł do wniosku, że w końcu wszystko rozbija się o jedno: zabijać albo dać się zabić.

Na zewnątrz rozległ się terkot pistoletu maszynowego. Kule zrykoszetowały od kamieni, ale żadna nie wpadła do środka. Klitemnestra strzelała krótkimi seriami. Wills pomyślał, że musiała się tego od kogoś nauczyć. Krótkie serie nie powodują rozgrzewania się broni, a broń, która się nie przegrzewa, nie zacina się. Może uczył ją Andrea...

- Czterej następni - powiedziała i wyrzuciła magazynek.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie ćwiczenia i na zewnątrz są żywi ludzie. Siedmiu wykrwawia się na zboczu, zostało pięciu.

W dole zaczęto strzelać. Klitemnestra w dalszym ciągu ładowała broń, więc Wills skoczył na nogi. Zobaczył dwóch ludzi, którzy biegli kamiennym rowem, i strzelił. Jeden potykając się poleciał do przodu, i podciął drugiego. Nie róbcie tego, głupcy, myślał Wills. Boże, co mi chodzi po głowie? Sam pragnął żyć, a jednocześnie nie chciał śmierci tych ludzi. Chciał, by przestali wychodzić zza skał i wbiegać pod grad śmiercionośnego ołowiu.

Chyba jego życzenie się spełniło, bo nikt się nie pojawiał. Ścieżka w dole opustoszała. Wills poczęstował Klitemnestrę papierosem, ale odmówiła. Zapalił. Cisza przygniatała go - pięćdziesięciu ludzi czekało w ukryciu i planowało kolejny ruch.

Co to będzie?

- Szykują się - powiedział. Klitemnestra pokazała zęby.

- Zaraz ich pozabijamy - odparła. Była Heleną, Medeą, mściwym oddziałem postaci z greckiej mitologii, skondensowanym w jednej osobie z pistoletem maszynowym w dłoni.

Czekali.

Nic się nie działo.

Obserwowali przesmyk w skale i bezładną masę w kamiennym rowie. Jeszcze przed chwilą byli to żywi ludzie, a teraz przemienili się w stertę szmat, niknących w długim jęzorze cienia. Słońce zachodziło.

- Co zrobimy, jak się ściemni? - spytał Wills.

- Pójdziemy sobie. Jest stąd droga.

- A jeśli Niemcy ją znajdą?

- Nie znajdzie jej nikt, kto nie urodził się na Kynthos - powiedziała z tak niezwykłą pogardą, że otaczająca Willsa chmura strachów zniknęła i niemal zaczął wierzyć, że są wokół nich rzeczy, których nie dostrzega, a które widzi jedynie Klitemnestra.

- Super! - odparł.

Nad ich głowami rozległ się dźwięk przypominający zbliżający się pociąg pośpieszny. Załomotał potężny wybuch i Jaskółcze Gniazdo zatrzęsło się, jakby nastąpiło trzęsienie ziemi.

- Boże! - krzyknęła Greczynka. - Co to było?

- Armata - odparł. - Prawdopodobnie osiemdziesiątkaósemka. - Teraz, kiedy stanął przed nim problem natury wojskowej, od razu poczuł się lepiej. - Mają je na pewno na lotnisku, do obrony przeciwlotniczej. Podejrzewam, że będą korygować cel na podstawie informacji kogoś z radiem, siedzącego za załomem skały pod nami.

Myślał gorączkowo. Prawdopodobnie na stanowiskach dział nie ma radia, tylko są telefony, więc facet za rogiem nadaje do stacji radiowej na szczycie i ktoś stamtąd koryguje załogę armaty. Skomplikowane to, ale zdawało się sensowne...

Nad ich głowami, nieco z prawej, przejechał kolejny pociąg pośpieszny i od kolejnej eksplozji pękały im bębniaki. Znowu budynek zadrżał w posadach. Teraz Niemcom pozostawało postawienie kropki nad i.

Słońce zniknęło za górami. W oddali, po drugiej stronie doliny, w górę oświetlonych słońcem szczytów pełzł cień.

Potężna pięść zwała Willsa z nóg. Kiedy oprzytomniał, okazało się, że leży głową na brzuchu Klitemnestry, w uszach dudni mu jak w dzwonnicy i sypie się na niego deszcz grudek betonu i porozpryskiwanych kamieni. Tam, gdzie powinien być sufit, widać było błękitne niebo poprzecinane złotymi smugami chmur. W powietrzu unosił się gryzący odór spalonego kamienia i silnego materiału wybuchowego.

- Zaczekaj, co się stanie, kiedy się o tym dowiedzą - powiedział Wills jako tako opanowanym głosem.

- O czym? - Klitemnestra wsunęła dłoń we włosy Willsa i głaskała je nieświadomie, jakby głaskała psa.

- O tym, że się wstrzelili. Lepiej się mocno trzymaj.

CZWARTEK 20.00 - 23.00

Przestało padać. Zachodzące słońce wyglądało jak wpadająca do atramentu kula armatnia. Mallory wspinał się ostro, nie wychylał się z zagłębień, w których było ciemno, jakby nalano w nie czarnego płynu. Nie interesowały go widoki. Czekał na zapadnięcie nocy. W nocy jest bezpieczniej.

Zatrzymał się w miejscu, gdzie miał pewne oparcie dla rąk i nóg i rozejrzył się wokół. Ściana była wybrzuszona jak olbrzymia beczka. Minął kilka otworów wentylacyjnych i wykutych w skale wejść, urządzenie do transportu betonu zostało jakieś trzysta metrów w dół. Właśnie pokonywał ostatni odcinek przed szczytem, na którym znajdowały się anteny. Był zmęczony, sięgnął więc do plecaka, znalazł ampułkę z benzedryną, wysypał na dłoń kilka tabletek i połknął je.

W górze mignął jakiś ruch. Mała plamka, która wypełzła z ciemnego zagłębienia, przesunęła się po oświetlonej słońcem skale i zniknęła w kolejnym ciemnym zagłębieniu. Mógł to być ptak, nawet pszczoła, ale Mallory wiedział, że to jego cel: Carstairs. Wspinał się bardzo szybko i Mallory miał nadzieję, że technika kapitana jest wystarczająco dobra, by poradził sobie z tak trudną ścianą.

Istniał tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Mallory ruszył dalej. Sunął w górę, a benzedryna przekazała jego kończynom porcję zimnej energii. Trzymał się tuż poniżej linii cienia rzucanego przez oświetlany zachodzącym słońcem skraj skalnych szczytów za jego plecami, wiedząc z doświadczenia, że najtrudniej kogoś dostrzec w kontraście między jasnością a ciemnością. Dziesięć minut później znalazł się przy tym samym kominie, do którego dotarł Carstairs - łatwym do pokonania, kończącym się dwadzieścia pięć metrów wyżej wkliniowanym dużym głazem, a za nim tuż - tuż był szczyt. Mallory popatrzył w górę, osłaniając twarz przed kamykami zrzucanymi przez buty Carstairsa. Jeśli kapitan chciał zniszczyć anteny, to we dwójkę uda się to zrobić znacznie łatwiej.

Mallory gwizdnął.

Carstairs jeszcze nigdy w życiu nie wspinał się na taką wysokość sam. Był przyzwyczajony do wspinania się w grupie, korzystania z lin i pomocy Szerpów oraz do kieliszka chłodnego szampana w bazie. Najpierw zaczęło mu dokuczać drżenie kolan, potem niczym ołowiany płaszcz spadła mu na ramiona samotność. Ponieważ był dobry technicznie,

nie przejął się tym. Bez pośpiechu pokonywał kolejne pionowe fragmenty, bezpieczne dla wspinacza mniej więcej jak fasada domu, a kiedy się przyzwyczaił, osiągnął całkiem przyzwoitą prędkość. Zaczął nawet myśleć, jaki jest dobry... Zbliżał się do szczytu, a tam na pewno będą wartownicy. Po tak długim wspinaniu się, po walce ze ścianą...

Przeszedł wcięcie skalne i stanął pod głazem, który zasłaniał dalszy widok. Trzeba będzie go obejść i przygotować się... no, na ostateczny atak. Odpiął z paska hak, zawiązał na nim linę, wyciągnął rękę do góry i zaczął czubkiem haka szukać jakiegoś pęknięcia w ścianie. Po chwili znalazł dobre miejsce. Wbijał w nie hak jak najmocniej dłonią, bo gdyby robił to młotkiem, strażnicy na górze na pewno usłyszeliby postukiwanie, postanowili sprawdzić i...

W tym momencie usłyszał gwizd.

Serce skoczyło mu do gardła. Spojrzał w dół i zobaczył postać w panterce SS. Miał zajęte ręce, więc nie mógł sięgnąć po broń. Na myśl mu nawet nie przyszło, że może to być Mallory. Jasne było, że za chwilę Niemiec zastrzeli go jak kaczkę, musi więc natychmiast zniknąć z linii ognia. Schować się. Przeniósł ciężar na prawą rękę i gwałtownym ruchem całego ciała usiłował wydostać się ze skalnego komina.

Prawie mu się udało, niestety w ostatniej chwili dłoń zsunęła się z uchwytu i zaczął spadać.

Skala „uciekła w górę”. Przez ułamek sekundy był przekonany, że to już koniec, ale lina wytrzymała ciężar. Bujał się jednak jak szalone wahadło, coś huknęło go z całej siły w głowę i najpierw wokół niego zrobiło się czerwono, a potem wszystko zniknęło w czerni.

Mallory patrzył, jak Carstairs wyciąga rękę, traci grunt pod nogami, spada, kołysze się. Usłyszał obrzydliwy odgłos uderzenia głową o skałę, widział, jak Carstairs jeszcze raz się obrócił, po czym zawisł na linie jak szmaciana lalka.

Zaczekał, aż lina z Carstairssem przestanie się kołysać, potem przesunął się nieco w prawo - zachowując odpowiednią odległość, na wypadek gdyby Carstairs zaczął spadać - wspiął się na górę drogą, którą nie zgodziłaby się wchodzić mucha, i sprawdził stan haka. Był wciśnięty głęboko w skalne pęknięcie i trzymał mocno - Carstairs wykonał dobrą robotę w trudnym miejscu. Przynajmniej jeśli chodziło o wspinanie się, wiedział, co robi.

Sprawdziwszy hak i linę, Mallory zszedł do Carstairsa. Miał dobry puls, z urazów widoczny był jedynie wielki guz na prawej części czaszki, lepki od brylantyny zmieszanej z okruchami skały. Przeżyje. Mallory ułożył ciało kapitana do pozycji siedzącej i owinął go liną tak, że Carstairs wisiał w pozycji pijaka siedzącego na barowym stołku. Choć znajdował się nad trzystumetrową przepaścią, był całkiem bezpieczny.

Mallory przeszukał mu kieszenie. Znalazł papierosnicę, nóż i broń morderców, czyli

browning z tłumikiem. W torbie przy pasku Carstairsa było to, czego szukał - dwa kawałki plastiku owiniętego w natuszczony pergamin. Carstairs miał plastik, ale nie miał zapalników czasowych.

Plastik wybuchowy to śmieszny materiał - można go spalić, jeśli dojdzie do najgorszego, można nim posmarować chleb i zjeść. Oczywiście można także za jego pomocą zrobić dziurę w stali - ale tylko mając nieco rtęci, zawartej w znakowanych różnymi kolorami ołówkowych zapalnikach wielkości długiego papierosa.

Jeszcze raz przeszukał Carstairsa. Na złotej papierośnicy był wygrawerowany napis: KOCHANEMU BILLY'EMU OD BETTY GRABLE. CO ZA NOC! Mallory otworzył ją.

Tureckie papierosy były z lewej, wirgińskie z prawej, w środku znajdowały się zapalniki.

Mallory wsunął papierośnicę do kieszeni na piersi i podjął wspinaczkę. Ściana skalna stopniowo traciła swą stromość, przechodziła w skaliste zbocze. Po chwili dostrzegł słupy, na których opierały się anteny - w zachodzącym słońcu sprawiały wrażenie jaskrawoczerwonych. Podczołgał się, aż ujrzał cały rozpościerający się przed nim szczyt. Dwie podpory anten zdawały się wystawać z nagiej skały, były oddalone od siebie o mniej więcej sto metrów, pomiędzy nimi rozpięta była sieć cienkich kabli. Zdaniem Mallory'ego było ich znacznie więcej niż na potrzeby przeciętnej stacji krótkofalowej, uważał jednak, że jeżeli wystrzeliwuje się rakiety w wysokie warstwy atmosfery, trzeba mieć do ich śledzenia skomplikowany sprzęt radiowy. Szczegóły niezbyt go jednak obchodziły - te anteny były elementem broni, tak samo jak jest nim celownik. Należało je zniszczyć.

Okrzyżował płaski szczyt i doszedł do wniosku, że poza inżynierami obsługi nikt tu nie przychodzi. W miejscu najbardziej oddalonym od skraju ściany znajdował się poziomy właz - solidna stalowa płyta, osadzona stabilnie w betonie. Na wschodzie rozciągał się Akropol - widoczne tam nieco niższe szczyty były tak ostre, że sprawiały wrażenie postawionych pionowo jeden obok drugiego gigantycznych pocisków artyleryjskich. Był to dziki teren, rozgrzany od słońca, tylko wieczorem nieco stygnący, wypełniony pokruszonym łupkiem i rzadko porośnięty spalonymi przez słońce krzewami. Strome zbocza zdobyły teraz fioletowe cienie. Surowe miejsce, uzmysławiające doniosłość tego, co jest pod nim. Ponieważ Mallory był Nowozelandczykiem, wiedział, co to znaczy stać na wulkanie, mieć świadomość, że skała pod stopami była kiedyś rozpaloną do białości magmą, która wydobywała się z całą siłą, paląc i niszcząc. W tej chwili czuł to samo. Zapatrzył się w najgłębszą dolinę - w rzeczywistości było to wąskie wgłębienie w masywie skalnym. Na jego dnie - zamiast zwykłego wyschniętego bajorka i kępy zasuszonych krzewów - dostrzegł coś innego. Nie

było roślinności, jedynie gładkie, ciemne zagłębienie. Miał wrażenie, że tak naprawdę jest ono głębsze, lecz zostało starannie zasłonięte siatką maskującą.

Rozległo się ciche buczenie - jakby powietrze zaczęła przecinać niewidoczna energia. Mallory kucnął i przyczepił plastik do podstawy podpory, dbając o to, by materiał wybuchowy dobrze przylegał do kabla grubości przegubu mężczyzny. Powinno to wystarczyć, by przewrócić przyporę i zerwać pajęczynę przewodów. Naprawa sporo potrwa - w tym czasie Akropol będzie głuchy i sparalizowany.

Skompletował ładunek, wsuwając w plastik dwa czarne długopisowe zapalniki, które złamał i wyciągnął bezpieczniki. Elektrolit zaczął stopniowo zżerać specjalny drut, przytrzymujący sprężynę - kiedy drut pęknie, iglica uderzy w spłonkę. Czarne zapalniki miały powodować wybuch po dziesięciu minutach, choć w ciepłe dni czas ten mógł się nieco skrócić. Słońce dotykało horyzontu. Był najwyższy czas, by zejść ze szczytu. Mallory szybko pokonał drogę z boczem. Kiedy doszedł do miejsca, gdzie przechodziło ono w pionową ścianę, obwiązał linę wokół występu skalnego, owinął nią ramiona, objął nogami i zaczął schodzić twarzą do ściany, idąc to na lewo, to na prawo, by trafić na komin, przy którym zostawił Carstairsa.

Komin był nieco w lewo. Mallory dostrzegł znajdujący się u jego szczytu głaz, zwolnił zejście. Gdzieś w dole, w ciemności skrywającej mokradła i dno doliny, rozległ się wystrzał: specyficzny głuchy trzask osiemdziesiątkióssemki. W normalnych warunkach Mallory'emu natychmiast zrobiłoby się żal biedaka, dla którego przeznaczone były te śmiertelne pociski zmierzające do celu płaską trajektorią. Zastanowiłby się też nad tym, kto i do kogo może strzelać na tej opanowanej przez Niemców wyspie. Nie uczynił tego jednak, ponieważ jego uwagę zaprzętnęło coś zupełnie innego.

Zostawił Carstairsa nieprzytomnego i związanego na linie zawieszanej na stalowym haku wbitym w skałę, ponad trzysta metrów nad ziemią...

Tylko że Anglik zniknął.

Mallory popatrzył w dół. Na jasno oświetlonej platformie, znajdującej się sto metrów niżej, kręcili się ludzie, poruszały maszyny, kilku robotników stało przy silniku (BUUM! odezwała się ponownie osiemdziesiątkaósemka), nie przypominało to jednak w niczym mrówczej krzątaniny, jakiej należałoby się spodziewać, gdyby spadł na nich z nieba komandos o wyglądzie Clarka Gable'a.

Przez chwilę się zastanawiał.

Nie sposób zgadnąć, gdzie zniknął Carstairs, za to było pewne, że za cztery minuty teren, na którym stoją anteny, stanie się bardzo niezdrowym miejscem.

Ściągnął linę z góry, umocował ją, szybko się owinął i jak najszybciej zaczął się spuszczać w gęstniejący mrok.

Jeśli chodzi o Millera, to prysznic w holu wejściowym fabryki V4 w Akropolu nie był najprzyjemniejszym prysznicem w jego życiu. Co prawda woda była gorąca, nie brakowało mydła, warunki higieniczne były nieporównywalnie lepsze od tych, jakie mieli w ciągu ostatniej doby w górach, ale nie podobało mu się towarzystwo. Obserwując rozbierającego się wehrmachtowskiego szeregowca o szurzej twarzy, który podłubał sobie w nosie i wszedł pod prysznic, ponuro pomyślał, że najmiłym określeniem tej zbieraniny byłoby „mieszane towarzystwo”. A najmniej miłym...

- Namydlisz mi plecy? - rozległ się głos za plecami Millera. Kiedy się odwrócił, dostrzegł uśmiechającego się do niego czule wielkiego, ostrzyżonego na zapałkę blondyna, który wyglądał tak, jakby nie miał szyi.

- Nie dosięgnę - odparł Miller, na co wielkolud wydał z niezadowoleniem wargi i zaczął pucować swój wielki areal pachnącym fiołkami mydłem.

Niemiec był mniej więcej tego samego wzrostu, co Andrea. Jak Miller szybko zauważył, nie uszło to uwagi Greka. Andrea wyszedł spod prysznica, wytarł się czymś ręcznikiem i zaczął się skradać do szafki z rzeczami potężnego blondyna.

Blondyn skończył się namydlać. Wyglądał na niezadowolonego. Stał pod strumieniem wody i spłukał z siebie pianę. Na wielkim bicepsie miał wytatuowane dwie błyskawice świadczące o przynależności do SS. Miller kątem oka obserwował, jak Andrea wciska nogi w wielkie buciory - chyba pasowały. Otworzyły się drzwi z korytarza i do środka wszedł szczupły mężczyzna, mniej więcej tego wzrostu co Miller, w brązowym kitlu inżyniera. W ręce trzymał deseczkę do przypinania notatek. Miller szybko doszedł do wniosku, że kitel bardzo mu się przyda, a deseczka to wręcz błogosławieństwo. Powiedział do olbrzymiego blondyna:

- To co, koniec roboty?

- Niewiele się dzieje - odparł nadąsany blondyn.

- No to masz szczęście - stwierdził Miller. - Widzisz tego, co wszedł? - Wskazał na mężczyznę w inżynierskim kitlu. - Lubi się zabawić, jeśli rozumiesz...

- Naprawdę? Dzięki, przyjacielu.

- Zawsze chętnie pomagam - odrzekł Miller i szybko uciekł spod prysznica.

Wycierając się obserwował, jak szczupły inżynier pedantycznie wiesza spodnie i kitel na wieszaku, ustawia na podłodze brązowe zamszowe buty, znika w kłębie pary pod prysznicem i zaczyna się namydlać. Wielki esesman niby obojętnie ruszył w jego kierunku.

Miller otworzył szafkę inżyniera, zabrał jego rzeczy i podszedł do kupki swojego ubrania. Włożył bieliznę, kitel inżyniera i zawinął resztę odzieży w chustę, by wyglądało jak rzeczy do prania, kiedy się odwrócił, stał przed nim Leutnant SS o twarzy Andrei - też z węzełkiem rzeczy do prania.

- Chodź - rzucił Grek. - Szybko!

W głębi łaźni zaczęła się szamotanina.

- Jawohl, Herr Leutnant! - stwierdził Miller i wyszli: esesman i inżynier.

Inżynier niósł dwa węzłki brudnych ubrań, esesman klarował mu coś z powagą i w skupieniu.

- Co teraz? - chciał wiedzieć Miller.

- Musimy poznać topografię. Co jest na desce, którą masz w ręku?

Na podkładce była lista śrub różnej wielkości, pod nią kilka czystych kartek papieru. Miller wyjął na wierzch czystą kartkę. Ruszyli przed siebie. Andrea arogancko uniósł brodę w górę, Miller truchtał za nim, robiąc wszystko, by wyglądać na oszołomionego i poddańczego, w rzeczywistości walczył z ciężarem ubrań i materiałów wybuchowych, które niósł.

- Hej! - wrzasnął nagle Andrea. - Ty!

Mijający ich niski żołnierz Wehrmachtu spytał:

- Ja?

- Właśnie ty. Weź te ubrania i wyrzuć je.

- Wyrzucić je? - Oczka żołnierza były tępe i przepełnione głupotą.

- Należały do wieśniaka z gruźlicą i trzeba je spalić. Natychmiast. Gdzie jest szpital?

- Na trzecim poziomie.

- Pamiętaj, im szybciej będziesz szedł, tym większą masz szansę przeżycia. I nikomu nic nie mów, bo zaaplikują ci kurację.

- Kurację, Herr Leutnant?

- Wlewy z parafiny - wyjaśnił Miller, okrutnie się uśmiechając.

Szeregowiec zagulgotał i ruszył, trzymając węzłki jak najdalej od siebie.

- No, teraz sprawdźmy stan instalacji elektrycznej w tej zadzumionej dziurze - stwierdził Andrea.

- Oczywiście - odparł Miller, nachylając się nad podkładką i coś pilnie notując. - Za panem, Herr Leutnant.

Weszli wyżej stalowymi schodami, powoli, ale coraz bardziej oddalając się od krytycznej sytuacji, która z pewnością rozwijała się w łaźni. Sądząc po bucującym odgłosie, na najniższym poziomie znajdowały się maszynownie i schrony. Na wyższym poziomie były

kwatery mieszkalne. Minęli kilka sal, w których stały szeregi piętrowych łóżek, znikające zdawało się w nieskończoności, i parę jadalni, w których unosił się kwaśny odór podgrzewanej kiełbasy oraz smażonej cebuli. Kiedy ujrzeni przed sobą majora Wehrmachtu, który szedł w ich kierunku, Andrea powiedział głośno:

- Dwieście dziesięć.

Miller zapisał to na kartce. Major stanął i zmarszczył czoło. Miller poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- Co robicie? - spytał major.

Andrea z trzaskiem obcasów stanął na baczność.

- Heil Hitler! - wrzasnął i wyciągnął ramię.

- O... - westchnął major, którego twarz nie pasowała do obrazu zażartego hitlerowca, a przypominała raczej łagodnego urzędnika. - Heil... ee... Hitler. Co robicie?

- Spis żarówek - odparł z kamienną twarzą Andrea.

- Żarówek? - Major z uwagą przyglądał się odznakom SS na mundurze Andrei.

- Takie mam rozkazy.

- Jawohl - dodał Miller, usilnie wpatrując się w nasadę własnego nosa i próbując powstrzymać spływającą tamtędy strużkę potu.

Major westchnął.

- Tak więc sprowadzają was samolotami z Harzu do liczenia żarówek... Nie powinniście zamiast tego torturować kobiet albo coś w tym stylu?

- Herr Major? - Twarz Andrei była nieruchoma.

Major pokręcił głową. W jego oddechu czuć było alkohol.

- A niech tam! Ktoś musi to robić.

- Jawohl, Herr Major!

- Kontynuować - zdecydował i odszedł mruczając coś pod nosem.

Kontynuowali. Weszli kolejnymi schodami na następny poziom, gdzie, sądząc po zapachu, musiał się znajdować lazaret. Pomieszczenie było dziwne - długi nagi korytarz, wzdłuż którego biegło kilkadziesiąt centymetrów nad nagą skałą wąskie metalowe podwyższenie. Na przeciwległym końcu korytarza znajdowała się betonowa framuga, za którą mieściła się winda, a przed nią, w skale po prawej stronie, umieszczono wartownię.

Na tym poziomie przebywało znacznie mniej ludzi. Napotkali dwóch mężczyzn, zagłębionych w rozmowie, ubranych w takie same brązowe kitle, jak miał Miller. Kiedy ich mijali, popatrzyli na Millera, ten kiwnął głową i odwzajemnili pozdrowienie nie zatrzymując się. Na końcu korytarza stanęli przy budce strażnika i wyjęli przepustki. Z wartowni wyszedł

esesman.

Popatrzył na przepustki, na inżynierów, znów na przepustki, jeszcze raz na inżynierów. Potem inżynierowie wpisali się do książki i udali do windy.

- Mieli klucze - powiedział Andrea.

- Można by pomyśleć, że nie chcą, aby ktoś się tam dostał.

Zanim Miller skończył, gdzieś w oddali rozległo się ciche jęknięcie, które nie dochodziło z tunelu, ale z wnętrza masywu skalnego. Millera przepełniła fala radości. Jeśli chodziło o posługiwanie się materiałami wybuchowymi, nie ufał nikomu poza sobą, wyglądało jednak na to, że Mallory'emu udało się doprowadzić do wybuchu zgodnie z regułami sztuki. A znając go, umieścił materiał w odpowiednim miejscu.

Znów roztrząbił się alarm i po chwili Miller zorientował się, że idą razem krok w krok, ale nie ku kłębowskiemu ludzi próbujących zejść na niższe poziomy, lecz do przodu - ku strażnicy przed szybem windowym.

Wills leżał zastanawiając się, dlaczego jeszcze żyje.

Wstał, wziął pistolet maszynowy i podszedł do dziury w murze, by zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Słońce już zaszło i okolicę spowijał mrok - najciemniej było nad trupami leżącymi w skalnym rowie. Zabójczy teren był cichy, zniknął wszelki ślad życia. Ostatni promień słońca rozjaśniał jeszcze szczyt nad Akropolem, gdzie znajdowały się anteny.

I tam właśnie, krótko, ale bardzo jasno, coś błysnęło, chwilę później z miejsca błysku doleciał cichy odgłos wybuchu.

Wills przystawił do oczu lornetkę.

Dostrzegł smugę dymu. Anteny zniknęły.

W dole znów huknęła osiemdziesiątkaósemka. Pocisk uderzył w skałę, ale dużo za wysoko. Wills przez chwilę się nad tym zastanowił i podszedł do Klitemnstry. Chciał porozmawiać, ale nie mógł - tak bardzo szczyrzył zęby w uśmiechu.

- Co się stało? - spytała dziewczyna. Próbowała wstać.

- Ci pod nami musieli być w kontakcie z radiooperatorem na górze, który przekazywał osiemdziesiątceósemce, jak korygować cel. Anteny zniknęły i teraz strzelają na ślepo.

Klitemnestra wstała i wyjrzała na zewnątrz. Odsunęła włosy z czoła, Wills podał jej manierkę. Pierwszy łyk wypłuła, potem dopiero zaczęła pić.

- To świetnie - powiedziała w końcu.

Wills przestał się uśmiechać. Bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło, ale ich sytuacja niewiele się poprawiła.

- Tkvimy tu w dalszym ciągu w pułapce - stwierdził. - Pozostaje nam tylko czekać, aż

umrzemy z głodu.

- O nie. Nieprawda, mój angielski przyjacielu. Teraz jest ciemno.

- Nie najemy się ciemnością.

Klitemnestra roześmiała się. W jej śmiechu była pewność siebie, co dodawało otuchy.

- Dziś wieczór nie będziemy jeść ciemności, ale baraninę - oświadczyła.

Wstrząs mózgu, pomyślał Wills. Biedna dziewczyna. Co ja teraz z nią zrobię?

- Usiądź - poprosił. - Napij się jeszcze wody.

- Dość się już nasiedziałam. Także wypiałam wystarczająco jak na kobietę, która zamierza wybrać się na wycieczkę.

- Wycieczkę?

- Idziemy - odparła Klitemnestra i zarzuciła na ramiona plecak. - Chodź!

- Super... - mruknął Wills. Kiedyś, zanim zaczął skakać po górach z pięknymi furiami, był dowódcą kutra torpedowego. To było w całkiem innym życiu - skończyło się ponad dobę temu. Patrząc na błękitne ogniki wystrzałów, puścił między skały serię i po chwili biegł po kamiennych stopniach na dół, na pachnący zgnilizną parter Jaskółczego Gniazda. Wybiegli w ciepłą noc i popędzili w górę ścieżką, dawno temu główną ulicą osady. Wills spodziewał się, że w każdej chwili może sięgnąć go grad kul, szybko jednak dotarli do przejścia tak wąskiego, że musiał iść bokiem, podążając za cichym odgłosem butów Klitemnestry. Po chwili przejście rozszerzyło się w ścieżkę, poczuł na nogach uderzenia gałązek i zamajaczyła przed nim jakby ściana drzew. Dalej wspinali się ścieżką tak stromą, że mógł dotykać ziemi prawą ręką, podczas gdy lewa ciągle trafiała w pustkę. Nagle usłyszał:

- Stój!

Zaczął macać przed sobą, znalazł przejście i wsunął się w nie. Drapnęła zapałka i płomień oświetlił twarz Klitemnestry. Przesunęła dłoń po skalnym występie i znalazła ogarek świecy. Byli w prostokątnej jaskini - kolejnym grobowcu.

- Nie znajdą nas tutaj - oznajmiła Klitemnestra. - Bez psów.

Wills czuł takie znużenie, że nie mrugnąłby okiem, gdyby nawet obszczekiwały go wszystkie bestie piekła. Choć zmęczony, pamiętał jednak nauki, jakie pobierał w szkole, i nie zapomniał, jak należy traktować damę.

- Dobrze się czujesz? - spytał. Klitemnestra ziewnęła niczym śpiąca kotka.

- Zabiłam paru Niemców i jestem wolna we własnym kraju. Jak mogłabym się źle czuć?

- Mogłabyś siedzieć w wygodnym fotelu, jeść kolację w Ciro. Wypić butelkę romanée - conti, a potem iść do Cętkowanej Ostrygi...

- Cętkowanej Ostrygi?

- To klub nocny. Z dansingiem.

- A ty byś potrzebował kobiety. Pięknej dziewczyny.

Zapadła cisza. Wills powiedział w końcu:

- Nie brakuje ich tutaj. - Opadł na plecy i położył głowę na plecaku. Mimo świecy nie miał możliwości zobaczyć, jak spąsowiała. Kiedy ukradkiem na nią popatrzył, dostrzegł, że Klitemnestra uśmiecha się z zadowoleniem. Dotarło do niego, że sprowokowała go do powiedzenia tego, właśnie powiedział. No, no... pomyślał. No, no...

Zanim jednak zdołał rozwinąć tę myśl, zasnął.

Mallory ucieszył się z nadejścia ciemności bardziej, niż ludzie się cieszą z odnalezienia dawno nie widzianego brata. Nie cieszyło go jednak zniknięcie Carstairsa. Jeśli kapitan spadł, to bardzo źle. Jeżeli nie spadł, to znając go, było prawdopodobnie jeszcze gorzej.

Przepatrywał ścianę masywu za pomocą maleńkiej, ale silnej lornetki Zeissa, którą zabrał na Krezie generałowi wojsk pancernych, jadącemu do obozu jenieckiego akurat wtedy, kiedy Mallory wraz z towarzyszami przystąpili do ataku. W okrągłym polu widzenia migwały kontury skał, grani i wąwozów, głazów i kotłów, przepaści i skalnych półek...

Balansując na linie, poruszył delikatnie pokrętłem ostrości - niczym biolog obserwujący przez mikroskop nowy gatunek bakterii.

Dwieście metrów w prawo dostrzegł na ścianie cień przypominający pająka, poruszający się niejednostajnie.

Przesunął lornetkę w stronę, w którą zdążał Carstairs. Dalej w prawo na skale dostrzegł półkę, ale o zbyt ostrych brzegach i zbyt regularną, by była tworem naturalnym. Musiało tam być wejście do wnętrza masywu. Początek drogi do miejsca, gdzie trzymano rozbitka z Kormorana. Cel, który miał zostać zneutralizowany.

Kiedy Mallory ponownie skierował wzrok na Carstairsa, uniósł ze zdziwienia brew. Coś było nie tak w sposobie, w jaki kapitan się poruszał. Popatrzył na jego prawą rękę, która na tle ciemnej skały przypominała bladego kraba. Przesunęła się drobnymi szarpanymi ruchami w prawo, zamarła w bezruchu i po chwili zaczęła macać powierzchnię, jakby kierujący nią umysł pracował krótkimi przebłyskami, a między okresami jasności miał chwile otumanienia. Tak musi pracować umysł człowieka, który niedawno uderzył się głową o skałę.

Uwagę Mallory'ego zaprzątnął błysk ogieńka, który nagle oświetlił twarz i skraj hełmu, kiedy żołnierz otoczył zapałkę dłońmi i przysunął ją do papierosa.

Carstairs pełzł dalej, jakby nic nie zauważył. Mogło tak być. Mallory nie tracił czasu

na wymyślanie stosownego przekleństwa, lecz zdjął buty, zawiesił je sobie na szyi i zaczął się wspinać - płynnie i szybko.

Na każdy metr drogi Carstairsa on robił półtora, ale Anglik miał sporą przewagę. Z każdą sekundą stawało się coraz jaśniejsze, że Carstairs nie zdaje sobie sprawy z tego, że wejście, do którego zmierza, jest strzeżone, że jego mózg nie pracuje na tyle sprawnie, by nakazywać mu ostrożność. Wpadnie prosto na wartownika, który nie tylko go zaskoczy, ale ma z pewnością jasny umysł. Jeżeli Carstairs zostanie pojmany żywcem, Dieter Wolf w dziesięć minut wyciągnie z niego wszystko, co zechce, a jeśli go zastrzelą - natychmiast rozejdzie się wieść, że intruzi dostali się do Akropolu. Teraz Niemcy pewnie jeszcze polegają na funkcjonującym systemie bezpieczeństwa i nie sprawdzają nikogo, ale to się jednak szybko zmieni i dla każdego nieproszonego gościa, który znajdzie się w środku, życie stanie się trudne. Być może już tak było.

Mallory piął się dalej, zmniejszał dystans. Miał mnóstwo punktów oparcia. Wielu wspinaczy denerwowałoby to, że mają pod sobą dwieście metrów pustki, ale Mallory spał już na zachodniej ścianie Góry Cooka w śpiworze zawieszonym na dwóch hakach, mając pod sobą pionową ścianę o wysokości tysiąca pięciuset metrów. Wspinał się ostrożnie, lecz nie denerwował się wysokością.

Jego głównym zmartwieniem był Carstairs - znajdujący się dziesięć metrów niżej i dwadzieścia metrów w prawo, Mallory słyszał drapanie gwoździ o skałę, świszczący oddech kapitana. Jeśli on go słyszał, słyszał go także wartownik... Carstairs był o rzut beretem od półki. Mallory mógł już tylko obserwować nieszczęśliwy rozwój wypadków.

Wartownik palił papierosa, podśpiewywał pod nosem i patrzył przed siebie, obserwując z pewnością piękno morza, które wyglądało teraz niczym wykładana srebrem podłoga.

Nagle zamarł, wypuścił z dłoni papierosa, zdjął z ramienia karabin, przesunął się na skraj platformy i przycisnął plecy do skały.

Buty Carstairsa dudniły jak maszerujący batalion. Było jasne, co zaraz nastąpi. Wokół platformy biegł wąski parapet i kiedy chwycą go dłonie Carstairsa i wychyną zza niego jego głowa i barki, strażnik strzeli wiedząc, że ręce nieoczekiwanego przybysza są zajęte zapewnieniem sobie stabilnej pozycji.

Mallory praktycznie rzucił się biegiem po skalnej ścianie. Czuł, jak ostre kamienie wbijają mu się w stopy bez butów, ale nie zwracał na to uwagi. Kiedy platforma znalazła się cztery metry pod nim, zwolnił. Ściana była tu nierówna, a poruszenie jednego kamyka mogło się źle dla niego skończyć.

Bardzo powoli przesunął się tak, że stalowe jajo hełmu wartownika znalazło się prawie dokładnie pod nim. Niemiec ciągle kierował lufę w miejsce, skąd miał nadejść Carstairs. Mallory żałował, że nie ma browninga z tłumikiem, broni, jaką nosił Carstairs i Miller...

Miał tylko nóż.

Przesunął się ostatnie piętnaście centymetrów w lewo. Wartownik był idealnie pod nim. Wyjął nóż z pochwy i zacisnął na nim dłoń. Jeszcze raz popatrzył na hełm i przez ułamek sekundy zrobiło mu się żal chłopaka, który tylko wykonywał swój obowiązek, i poczuł niesmak do samego siebie, zaraz jednak te uczucia odpłynęły z prądem, którego nazwa brzmiała „wojna”, a który miał zaraz wciągnąć młodego Niemca w objęcia śmierci.

Przesunął stopę jeszcze o centymetr, by dać jej lepsze oparcie, i przygotował się do skoku. Kiedy poczuł osuwający się kamyczek, zamarł w bezruchu, wiedział jednak, że jest za późno. Widział, jak kamyczek ucieka, leci w dół i z cichym PLINK uderza w skraj hełmu Niemca. Żołnierz spojrział w górę - miał młodą, przerażoną twarz, otwarte usta. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył w życiu, był Mallory spadający na niego niczym piorun, z wyciągniętymi w dół rękami, jedną dłonią przedłużoną nożem. Chłopak poczuł przygniatający go ciężar i potworne ukłucie ostrej jak brzytwa stali.

Więcej nic nie widział, mimo to przez chwilę walczył - dzikim, odruchowym refleksem śmiertelnie ранego organizmu, próbującego się bronić resztkami sił.

Mallory nie był na to przygotowany. Nóż wbił głęboko i spodziewał się, że ranny po prostu padnie. Zamiast tego poczuł, że jakaś siła wrywa mu Niemca, mundur wymyka mu się z dłoni wraz z każdym spazmem mięśni młodego żołnierza, który w końcu uwolnił się z uchwytu i poleciał w dół.

Nagle platforma opustoszała, stała się kawałkiem skały, z wmurowanymi solidnymi stalowymi drzwiami.

- Carstairs... - syknął cicho Mallory.

Kapitan wciągnął się na platformę. Usiadł, spuścił głowę i spytał:

- Co się stało?

- Próbował pan popełnić samobójstwo i prawie się udało.

- Co? - zdziwił się Carstairs, nic nie pojmując. - Aaa... rozumiem. To taki żart. - Zaczął grzebać w kieszeni na piersi. - Papierosa? Tureckie z lewej, wirgińskie z prawej... Mój Boże, zgubiłem papierośnicę...

- Proszę. - Mallory oddał mu jego własność. - Tylko niech pan teraz nie pali.

- O, widzę, że wartownik sobie poszedł - powiedział, marszcząc czoło. Jego umysł

pracował fatalnie. - Odpręż się... nikt nie wie, że tu jesteśmy.

Mallory pokręcił głową. Podeszedł do drzwi i otworzył je.

- Wkrótce się dowiedzą. Bardzo szybko.

Szeregowiec Otto Schultz ważył prawie sto piętnaście kilogramów, tego wieczoru jednak każdy gram jego ciała nie nadawał się do niczego. Jakiś idiota rozwalił lokomotywę i Schultz spędził paskudną godzinę, obsługując wyciąg i lewary, urozmaicaną przez wrzeszczących podoficerów. Potem poszedł na kolację i kiedy był w połowie czwartej kielbaski, zbombardowano albo wysadzono anteny (przynajmniej ktoś powiedział, że chodzi o anteny), więc wszyscy musieli iść do schronów. Nie zdążył dokończyć jeść, jak kazano mu się zgłosić do wartowni razem z dwoma łobuzami z Sonderkommando. Przez pół godziny wspominali pobyt w miejscowości zwanej Treblinka, a Schultz nie miał wcale ochoty słuchać. Jeden z nich - wołano na niego Putzi - wygrał z Schulzem w szachy. Schultz był prawie pewien, że Putzi oszukiwał, lecz jeśli chciało się zachować głowę, nie można było o coś takiego oskarżać członka Sonderkommando. Putzi miał wysokie kości policzkowe, lodowate błękitne oczy i ciągle się uśmiechał, ale siedząc naprzeciw niego przy stole, Schultz szybko pojął, że jest takim samym brutalnym draniem jak reszta jego oddziału. Schultz był w cywilu nauczycielem matematyki i nie zwykł dawać się oszukiwać łobuzom podczas gry w szachy.

- Twój ruch - powiedział Putzi, jakby Schultz tego nie wiedział. Schultz zrobił ruch i uśmiech Putziego stał się nieco bardziej pogardliwy. Przesunął gońca. - Szach i mat, stary.

- Bzdura - stwierdził Schultz, ale Putzi miał rację.

Otworzył usta, aby zaoponować, lecz nie dane mu było powiedzieć.

Rozległ się huk, jakby w pobliżu wybuchła bomba, coś spadło z góry na Putziego i zniknął wraz ze stołem. Wokół wartowni unosiły się w powietrzu kawałki drewna. Schultz skoczył na nogi i wcisnął przycisk alarmu.

Sigmund, drugi człowiek z Sonderkommando, nachylił się nad tym, co znalazło się w miejscu, gdzie przed chwilą stał stół.

- Nie żyje - powiedział krótko.

Schultz skoncentrował swą ociężałą mózgowicę i metodycznie przemyślał sprawę. W końcu doznał objawienia: przez wzmacniany azbestem dach wartowni przeleciało ludzkie ciało w mundurze Wehrmachtu, na dodatek z siłą, która nie tylko zabiła Putziego, ale wbiła go częściowo w podłogę. Oznaczało to, że żołnierz spadł ze sporej wysokości - bez wątpienia z któregoś punktu obserwacyjnego na skalnej ścianie. Cóż za tragiczny wypadek... Schultz pokręcił osadzoną na grubej szyi głową.

Sigmund stoczył ciało wartownika z Putziego. W tym momencie Schultz ciężko usiadł na podłodze i zaczął dygotać.

Nie mieściło mu się w głowie, że szeregowiec Wehrmachtu spada z nieba, mając w oku wbity po rękojeść sztylet produkcji brytyjskiej. Jakież wypadek mógł to sprawić?

Kiedy wybuchł ładunek podłożony na szczycie i roztrąbił się sygnał alarmu, Miller i Andrea odbyli bardzo krótką dyskusję. W korytarzu ciągle jeszcze przebywało sporo ludzi; wszyscy znieruchomieli na dźwięk alarmu. Miller i Andrea uważali, że w skalnym tunelu nie zagraża im to, co właśnie wybuchło, udali się więc szybkim krokiem do wartowni przed windą. Wyprężyli się na baczność. Za szybą z pancernego szkła siedzieli feldfebel i szeregowiec w maskujących panterkach. Obaj popatrzyli na Andreę. Oczy feldfebla powędrowały od jego smagłej, niegermańskiej twarzy do dystynkcji. Zaczął marszczyć czoło, zaraz jednak jego rysy się wygładziły. Na Kynthos było na pewno niewielu Leutnantów SS podobnego wzrostu. Miller pomyślał z obawą, że ten akurat feldfebel może się okazać człowiekiem z dobrą pamięcią wzrokową. No tak, wszystko zapowiadało kłopoty.

W tym momencie Andrea powiedział:

- Chciałbym rzucić okiem na wasze dane.

- Dane, Herr Leutnant? - spytał sierżant.

- Księgę wejść. Możliwe, że dokonano wyłomu w systemie bezpieczeństwa.

Sierżant zeszywniał.

- Mogę zapewnić, Herr Leutnant, że...

- Proszę nas wpuścić.

- Herr Leutnant pozwoli... - powiedział sierżant i jego ręka powędrowała w kierunku telefonu.

Miller zaczął kaszleć. Był to bardzo silny atak, który zmusił go do zgięcia się wpół - tak że zniknął z pola widzenia wartowników. Wyciągnął nóż, wsunął pod wychodzący z wartowni kabel i przeciął go.

Sierżant w wartowni energicznie wciskał widełki.

- Proszę mnie wpuścić - domagał się groźnym basem Andrea.

Sierżant był zdezorientowany.

- Ale nie... to znaczy, nie przypominam sobie pana, Herr Leutnant...

- Nie interesuje mnie to. Z pewnością przypomnicie sobie jednak bardzo szybko Hauptmanna Wolfa, jeśli nie otworzycie, jak wam się każe, feldfeblu.

Na dźwięk nazwiska Wolfa twarz sierżanta nabrała paskudnej szarej barwy, a jego pamięć przestała mieć decydujący wpływ.

- Otwórzcie drzwi! - krzyknął do szeregowca.

Kiedy żołnierz wykonał polecenie, Andrea wszedł i rzucił:

- Książka!

Sierżant podał mu wielki wolumin, Andrea zaś położył go na stole i zaczął kartkować.

- Przepraszam - powiedział sierżant - ale telefon kaput i muszę kazać go naprawić.

Schmidt - popatrzył na szeregowca - idźcie po ekipę.

Andrea zatrzasnął książkę.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku, ale wy, Schmidt, zostaniecie.

Ogłoszono alarm, trzeba zachować jak największą uwagę. Teraz poproszę o klucz.

Sierżant natychmiast odzyskał czujność.

- Herr Leutnant?

- Klucz. Do windy.

- A pana przepustka, Herr Leutnant?

- Moja przepustka jest w trakcie przedłużania, ale moje obowiązki nakazują mi dostać się do windy - cierpliwie odparł Andrea.

Twarz sierżanta skamieniała.

- Przykro mi. Bez przepustki się nie da. To niedozwolone.

- Mnie też jest przykro - oświadczył Andrea, z basowym, groźnym dudnieniem w głosie. - A panu będzie jeszcze przykrzej, obiecuję.

Sierżant patrzył prosto przed siebie typowym tępym spojrzeniem niemieckiego podoficera, który wie, że wykonuje rozkazy, że łańcuch podległości służbowej się zamknął, jego postawa jest nie do podważenia i wypełnia swój obowiązek.

Przy wartowni zatrzymało się dwóch inżynierów.

- Kontynuujcie - powiedział do sierżanta Andrea.

Inżynierowie wpisali do księgi swe nazwiska wraz z godziną.

- Proszę zameldować, że ten telefon jest popsuty - polecił im Andrea i szeregowiec wyszedł odprowadzić ich do windy. Jeden z inżynierów otworzył windę swoim kluczem, odsunął zewnętrzne drzwi, obaj wsiedli, zasunęli zewnętrzne drzwi. Zaszumił silnik. Po chwili szeregowiec wrócił.

- Bardzo dobrze... - stwierdził Andrea. - Zrobił pan notatkę, Herr Doktor Muller? - spytał Millera.

- Muszę wziąć notes - odparł Miller. - Sekundę. - Kucnął i otworzył swój plecak.

Sierżant zrobił krok, by zajrzeć do plecaka. Oczy gwałtownie mu się rozszerzyły, szczeka opadła i uniósł pistolet maszynowy.

Miller okazał się jednak szybszy - już kierował na Niemca browning z tłumikiem. Z lufy wystrzelił płomyk i ściana za feldfeblem zrobiła się czerwona. Siła impetu rzuciła go na ścianę, oczy straciły wyraz... Szeregowiec wyskoczył z wartowni i zaczął uciekać, starając się równocześnie zdjąć z ramienia pistolet maszynowy. Miller ruszył za nim. Szeregowiec odwrócił się, Miller uniósł oburącz browning i żołnierz padł na podłogę.

- Ukryj ciała - powiedział Andrea, wyciągając feldfebla z wartowni.

Miller skinął głową. Był blady i drżały mu ręce. Ciągnął szeregowca w kierunku wartowni, a pięty zabitego stukotały na nierównościach. Andrea nachylił się i odpiął mu z kółka przy pasku klucz.

- Podpis - powiedział, podsuwając księgę Millerowi. Obaj wpisali się w odpowiednią rubrykę.

W środku winda niczym się nie różniła od normalnej windy osobowej. Silnik buczał, za harmonijkowymi wewnętrznymi drzwiami przesuwająca się zdająca się nie kończyć nierówna skalna ściana. W dodatkowym zagłębieniu biegły w górę stopnie stalowej drabinki. Jazda w tym pudełku o ażurowych ścianach nie była dla Millera zbyt przyjemna - gdzie okiem rzucić, wszędzie skała, na dole leżały dwa trupy, a nie wiadomo, co czekało na górze.

Winda stanęła.

Nie na piętrze, ale między piętrami.

- Obawiam się - powiedział Andrea - że ktoś znalazł ciała.

- Drabinka! - rzucił Miller. Ta winda wcale mu się nie podobała. Chciał się z niej jak najszybciej wydostać.

- Tego się właśnie będą spodziewać, przyjacielu. Zostajemy tu, przynajmniej tak to będzie mniej więcej wyglądało.

No oczywiście, nie dało się nic zrobić. W końcu Andrea był pułkownikiem, niech go cholera...

- Na górę - oświadczył Grek i wskazał na właz awaryjny w suficie kabiny.

O nie... pomyślał Miller. Tylko nie to. Nie miał ochoty stać na dachu windy i czekać, co się z nimi stanie...

Nie zdążył jednak pomyśleć o tym, co może się im przydarzyć, bo miał już barki we włazie i Andrea pchał go do góry. Miller stwierdził po sekundzie, że stoi w ciemności na dachu kabiny - tuż obok stalowej liny. Po chwili wylądował tam plecak Andrei, a za nim wyłonił się on sam.

Kabiną szarpnęło i ruszyła w górę. Jazda trwała dostatecznie długo, by Miller zaczął się pocić. Aby się odprężyć, zaczął badać mechanizm windy.

- Szwabska tandeta - powiedział w końcu. - Nie Otis.

- Co?

- Nic - odparł Miller i otworzył plecak.

- Cicho! - syknął Andrea.

Zamarli. Dźwięk wciągającej windę konstrukcji był bardzo blisko. Kątem oka Miller dostrzegł smugę światła na olbrzymim kole, obracającym się w ciemności nad nimi. Padało od drzwi szybu.

Winda stanęła. Maszyneria była tak blisko, że mogli jej dotknąć. O podłogę kabiny zadudniły buty.

- Góra! - powiedział jakiś głos po niemiecku. Rozległo się jęknięcie i ktoś spróbował pchnąć drzwi wyjścia awaryjnego. Andrea stał na włączniku i zapierał się o oś bębna nawijającego linę. - Pomóż mi - doleciało z dołu.

Ktoś musiał przyjść na pomoc pierwszemu żołnierzowi, bez wątpienia ktoś wysoki i silny, bo po twarzy Andrei zaczął spływać pot, a żyły na karku napęczniały mu, jakby miał pod skórą liny okrętowe.

- Jakiś idiota go zamknął - usłyszeli. - Głupi Grek.

A nieprawda, pomyślał Miller, majstrując przy jakimś wsporniku.

- Niedobrze - warknął ktoś tonem typowym dla podoficera. - Musieli skorzystać z drabinki.

Kabina ruszyła w dół i obaj ledwie zdążyli chwycić się osi nad głowami. Co prawda się obracała, ale była nasmarowana. Kabina zniknęła w dół, szyb wyglądał jak studnia. Andrea podciągnął się do ściany i wszedł na stalowy stopień. Miller wyciągnął do niego rękę i wielki Grek złapał go, zanim mu się wyslizgnął. Miller huknął ciałem o drabinkę i chwycił się zimnego metalu.

- Zwiewamy!

- Będą tam strażnicy...

- Wychodzimy. Nie ma zamka.

Andrea usłyszał w jego głosie coś, co nakazało mu się śpieszyć. Nie wiedział, co Miller ma na myśli, ale wystarczająco długo z nim pracował, by ufać jego instynktowi.

Miller nie pomylił się - drzwi się otworzyły. Wyszli na korytarz i zostali oślepieni nieoczekiwanym światłem.

Ośmiu żołnierzy Wehrmachtu uniosło schmeissery.

- Hande hoch! - rozkazał oficer. - Ausweis, bitte.

- Na Boga jedyne... - powiedział Miller swym doskonałym niemieckim. - Ciągle to

samo.

- Hande hoch - powtórzył oficer.

W jego postawie było coś świadczącego o profesjonalizmie, który bardzo się Millerowi nie podobał. Stali w małym holu, betonowe mury zasłaniały widok na to, co znajdowało się dalej. Andrea i Miller odsunęli się od siebie tak, że stanęli pod ścianami korytarzyka. Oficer podszedł do Millera i zaczął mu grzebać w kieszeniach. Choć Miller zdawał sobie sprawę, że są w poważnych tarapatach, najbardziej zadziwiło go, jak daleko udało im się dotrzeć.

Andrea miał strasznie głupi wyraz twarzy. Przewrócił oczami w kierunku drzwi do szybu windowego i dał Millerowi znak, który miał być zarówno konspiracyjny, jak i widoczny.

- Ty idioto! - z oburzeniem wysyczał Miller. - Teraz ich mają!

Oficer zmarszczył czoło i rzucił do swoich ludzi:

- Kryć mnie! - Razem z trzema żołnierzami podszedł do otwartych drzwi i zajrzał w dół szybu. - Nikogo...

Miller popatrzył na zegarek.

- Teraz, chłopcy! - krzyknął.

Z głębi szybu doleciał potężny głuchy huk. Rozległ się trzask pękającej stalowej liny, słychać było krzyki i trzaski. Żołnierze przy drzwiach zostali pchnięci potężną falą uderzeniową, pilnujący Andreę i Millera ludzie zakryli dłońmi oczy. Jeden z nich wpadł na Andreę, który złapał go i wrzucił do szybu.

Miller był dumny. W takim stresie niewielu zauważyłoby, że winda nie ma ani zapasowej liny zabezpieczającej, ani hamulca zatrzymującego kabinę w wypadku zerwania się liny nośnej. Także mało kto zachowałby na tyle jasny umysł, by umieścić wokół liny nośnej pół kilograma plastiku z pięciominutowym zapalnikiem czasowym.

Miller pochwalił sam siebie, że poszło im całkiem nieźle, na szczęście nie tracił czasu na zachwywanie się sobą. Wyjął z uchwytu gaśnicę i zaczął przyskać na pozostałych przy życiu żołnierzy.

- Hilfe! - krzyknął. - Pali się!

Kiedy zza rogu wyskoczyły pierwsze posiłki, przybyli ujrzeni potężnego esesmana i szczupłego inżyniera, szamoczących się w chmurze śmierdzącego obrzydliwie dymu i polewających pianą z gaśnicy szyb windowy oraz kilku tłących się żołnierzy Wehrmachtu. Zaczęli się wydzierać tak, jak umieją to tylko przybyli na pomoc niemieccy żołnierze. Wyrwano z uchwytów i uruchomiono kolejne gaśnice. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że

esesman złapał swój plecak i zniknął razem z inżynierem w pomieszczeniach warsztatowych.

CZWARTEK 23.00 - PIĄTEK 3.00

Herr Doktor Professor Gunther Helm był schludnym mężczyzną. Jego brązowy kitel był starannie wyprasowany, czarne buty wypolerowane tak, że można się było w nich przeglądać, a ciemny, cienki wąsik pod długim ruchliwym nosem był przycięty z matematyczną dokładnością. Helm był specjalistą od bezwładnościowych systemów naprowadzających. Przeniesienie z wygodnych wiekowych pomieszczeń z widokiem na rzekę, jakie zajmował na uniwersytecie w Heidelbergu, do szopy nad bałtyckim Peenemunde nie było dla niego przyjemne, ale to miejsce - ten ohydny labirynt, wykuty w czarnej skale, pełen nagich kabli, gdzie musiał pracować w zaimprovizowanej fabryce - było naprawdę niemiłe. Gorzej - było niegodne profesora.

W tunelu przed nim buty zachrzęściły o skałę. Kiedy Helm wyszedł zza zakrętu, stwierdził, że ma przed sobą dwóch esesmanów. Dwóch najbardziej nieporządných esesmanów, jakich kiedykolwiek widział. Po pierwsze, obaj przynajmniej od doby się nie golili. Po drugie, byli brudni, mieli mundury oblepione białą gliną i przesączone krwią, oraz - jeśli się nie mylił - nieregulaminowe buty. Na dodatek jeden miał wąsy, nie takie jak jego, lecz (co Herr Doktor Professor Helm musiał z całą uczciwością przyznać) znacznie jaśniejsze i połyskliwe. Wyglądali dość dziko - jakby niedawno wrócili z terenu, a poza tym patrząc na nich wydawało się, że zajmują więcej przestrzeni niż to konieczne. Uczciwie mówiąc, Helm nieco się przestraszył.

- Gdzie jest lazaret? - spytał esesman bez wąsa.

- Lazaret... - zaczął podenerwowany Helm. - Proszę iść tym korytarzem, minąć wiszące na ścianie trzy gaśnice i stalowe schody i dojsć do znaku AUSGANG... nie, oczywiście EINGANG...

- Na którym poziomie? - spytał Mallory.

Zatrzymanie Helma nie było łatwą sprawą, ale w głosie esesmana było tyle brutalności, że natychmiast stanął.

- Na trzecim - powiedział i ze zdziwieniem stwierdził, że w chwili gdy dziwna dwójka go mijała, mimowolnie przycisnął plecy do ściany. Kiedy przechodzili, poczuł podmuch. Ciężko oddychając, wrócił do swego biurka, wziął suwak logarytmiczny i powrócił do spokojnego, uporządkowanego świata liczb. Jakąs cząstką świadomości zarejestrował, że ponownie roztrąbił się alarm. To trąbienie było elementem ogólnego chaosu. Herr Doktor

Professor Helm uważał, że jeśli nie ma się możliwości nad czymś zapanować, należy to ignorować.

Tak więc zignorował alarm.

Alarm rozdzwonił się, kiedy Mallory i Carstairs schodzili stromymi kręconymi schodami. Gdzieś w oddali z łoskotem zatrzaśnięto stalowe drzwi i o podłogę zadudniły liczne stopy. Schodami wbiegał oddział. Mallory wziął głęboki oddech i zamarł, na szczęście grupa pobiegła dalej. Natychmiast popędził w dół nie kończącego się korkociągu stalowych stopni wykutych w niemal pionowej skalnej ścianie...

Carstairs gnał tuż za nim. W mundurze czy bez, co to za różnica... Świadomość zamknięcia w wydrążonym masywie, spotęgowana obawą o to, że ktoś może chcieć sprawdzić im dokumenty, powodowała, że czuł się jak nagi.

Mallory poczuł pchnięcie w plecy. Zdażył jedynie pomyśleć: But... czyj to but? i już leciał w dół. Stracił równowagę, barkiem uderzył o twarde kąt stalowego stopnia, a jego hełm (dzięki Bogu za hełm!) zadudnił niczym gong, objając się o poręcz. Mallory zwinął się i próbował przetoczyć w sposób, jakiego nauczył się w trakcie szkolenia spadochronowego. Zaciśnął dłonie w pięść, by chronić palce, przyciągnął do tułowia zgięte nogi i ręce, aby łokcie i kolana jak najmniej ucierpiały w zetknięciu ze stalowymi krawędziami. Zanim zatrzymał się na ścianie, pokonał dwadzieścia stopni. Łomotało mu w uszach. Carstairs minął go biegiem... To on mnie pchnął, dotarło do Mallory'ego. Carstairsowi śpieszyło się, chciał coś zrobić, ale co? Znaleźć rozbitka z Kormorana... Mallory przypomniał sobie widok kapitana stojącego nad ambulansem, z odbezpieczonym granatem w dłoni. Nie zamierzał rozmawiać z rozbitkiem - planował załatwić sprawę, uciekając się do czynu ostatecznego.

Po schodach zbiegało dwóch szeregowców Wehrmachtu i kiedy go mijali, jeden z nich kopnął Mallory'ego w żebra. Zabolalo, ale się uśmiechnął. Niezgoda w obozie wroga to coś cudownego.

Niestety także w jego obozie panowała niezgoda. Splunął krwią i ruszył zesztywniały w dół schodów. Trzy minuty później stał przed drzwiami, nad którymi namalowano na skale dużą czarną trójkę. Mallory otworzył je i wszedł.

Nie miał pojęcia o tym, że znajduje się na przeciwległym końcu korytarza o stalowej podłodze, gdzie Andrea i Miller niedawno wsiedli do windy.

- Dokumenty! - rozległ się wrzask. Krzyczał biały na twarzy i spocony Leutnant Wehrmachtu. Za jego plecami, w drugim końcu korytarza, gdzie kiedyś było wejście do windy, Mallory widział zbitą ciasno grupę ludzi. Dolatywały stamtąd hałasy i wrzaski, kłębił się dym. - Dokumenty! - ponownie wrzasnął Leutnant.

Mallory popatrzył na niego lodowatym wzrokiem.

- Są tam ranni - powiedział. - Potrzebują was, sierżancie - i przeszedł obok. Pchnięty na ścianę Leutnant sięgnął do kabury przy pasku, na co Mallory przesunął dłoń do rękojeści schmeissera. Niemiec zmienił zdanie i pobiegł do grupy przy szybie windowym. Mallory przeszedł przez drzwi oznaczone czerwonym krzyżem. Na jego widok siedzący przy biurku sanitariusz uniósł głowę.

- Gdzie człowiek z wraka? - spytał Mallory.

Sanitariusz był wyraźnie zdenerwowany. Ostatnio było za dużo alarmów, poza tym nienawidził SS.

- Tam - wskazał kierunek ręką. - Pański przyjaciel już jest u niego.

- Jeśli będę miał ochotę z wami konwersować, to powiem - rzucił, by dolać oliwy do ognia, i ruszył przed siebie.

Wskazane przez sanitariusza drzwi były zamknięte. Nawet kilkakrotne naciśnięcie klamki nic nie dało. Na szczęście nie były to drzwi wojskowe, lecz szpitalne - z byle jakiej dykty. Mallory kopnął tuż przy klamce. Sanitariusz obserwował go, ale kiedy Mallory spojrzał w jego kierunku, szybko odwrócił wzrok. Drzwi wytrzymały kopnięcie. Mallory wiedział, że stawia sprawę na ostrzu noża. Niezależnie od tego, jak wiele niechęci istniało między Wehrmachtem, SS i jajogłowymi, pewne granice były nieprzekraczalne - zarówno jeśli chodzi o omijanie regulaminu, jak i o niszczenie własności Rzeszy. Tyle że za tymi drzwiami znajdował się Carstairs, do tego z człowiekiem, którego Mallory chciał poznać, a który już długo nie pożyje, chyba że...

Kopnął ponownie i tym razem drzwi puściły z trzaskiem łamanego drewna.

Pomieszczenie było niewielkie, pachnące czystością. Stało w nim jedynie krzesło i łóżko, na którym w tej chwili leżało dwóch mężczyzn - jeden na plecach i walił nogami w powietrze, drugi na nim. Tym na górze był Carstairs. Trzymał w ręku poduszkę i dusił nią człowieka, któremu przyszedł złożyć wizytę. Można było zakładać, że jest to rozbitek z Kormorana.

Mallory umiał zabijać, nie był jednak mordercą, lecz żołnierzem. Jest różnica między zabójstwem a morderstwem.

- Przestań! - krzyknął. Carstairs nie zareagował. Twarz miał skupioną, wykrzywioną obrzydliwym grymasem, napiętą... nie puszczał poduszki. Mallory uniósł broń i powtórzył: - Przestań!

Carstairs odsunął lufę ręką.

- Bez hałasu - syknął. - Cicho, idioto.

Fakt, że Carstairs rozkazywał mu, rozzłościł Mallory'ego. Pchnął go lufą w ramię. Mężczyzna przyduszony poduszką kopał powietrze słabiej.

- Świetnie - rzucił Carstairs. - W takim razie strzelaj.

Mallory nie strzelił, za to z całej siły kopnął kapitana w splot nerwowy pod prawym kolaniem. Uderzenie w to miejsce jest bardzo bolesne, ale nie powoduje trwałych uszkodzeń.

Zadziało.

Carstairs padł jak wór na podłogę i sięgnął po sztylet. Mallory nadepnął mu na dłoń i podsunął pod nos lufę pistoletu maszynowego.

- Jezzzuuu... - jęknął mężczyzna na łóżku.

- Stul pysk... - syknął Carstairs.

- To ty siedź cicho - skarcił go Mallory. Mężczyzna na łóżku był niski i krępy, miał kręcone czarne włosy, gęste czarne wąsy i bardzo niezdrową cerę.

- Nie zabijajcie mnie - powiedział. - Nie zabijajcie mnie. Za co chcecie mnie zabić?

Mallory popatrzył na Carstairsa, potem na osobnika na łóżku. Zapytał go po angielsku:

- Co się panu stało?

Oczy zapytanego zwęziły się i spytał po niemiecku patrząc na Carstairsa:

- Właściwie dlaczego mówisz po angielsku?

Mallory opadł ciężko na krzesło, Carstairs prychnął leżąc na ziemi.

- Bo jestem Anglikiem. A kim pan jest?

- Trzymaj głowę na kłódkę - wydyszał Carstairs do mężczyzny na łóżku. - Zakazuję ci mówić.

- Odpowiedziałem na twoje pytanie - rzekł tamten, rezygnując z podejrzliwości na rzecz oburzenia - a ty zacząłeś mnie dusić. Teraz zjawia się kolejny esesman, który mówi po angielsku i zadaje pytania. Czy po to płynąłem, wiosłowałem i sprowadziłem...

- Zaczynaj od początku - powiedział słabo Carstairs. - Zaczynaj.

- Skąd mam wiedzieć, kim jesteście?

Mallory poczęstował go papierosem, sam też zapalił i starał się nie myśleć o tym, że przebywa na terenie wroga, gdzie pełno jest ludzi, którym zabicie go przyjdzie z taką łatwością, z jaką wycierają nos. Carstairs dostał od admirała Dixona rozkaz zamordowania tego człowieka, a on mu w tym przeszkodził, więc i w Anglii czekały go kłopoty. Zdjął hełm.

Grek na łóżku wydał z siebie ni to westchnienie, ni to pisk.

- Mallory! To niemożliwe.

Mallory popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Góra Cooka - powiedział Grek. - Mój kuzyn Latsis pojechał do Nowej Zelandii

prorowadzić farmę, ale mu nie wyszło i wzięto go na członka wyprawy, bo wiedział, jak gotować na ognisku. Był waszym kucharzem. Przysłał mi zdjęcie z artykułem z gazety. Ty i Latsis. Pamiętasz? Mój kuzyn Latsis. Na pewno pamiętasz. O tak, pamiętasz!

Oczywiście, że Mallory pamiętał tę historię. Pamiętał wyprawę na Górę Cooka - pierwszą i ostatnią dużą ekspedycję, jaką poprowadził po samotnych wejściach na szczyty nowozelandzkich Alp Południowych. Pamiętał, że było w niej za dużo ludzi i nadmiar organizacji, ale pamiętał także zielone nowozelandzkie niebo nad białymi piramidami gór, kryształowo czyste powietrze, głosy zbyt wielu ludzi, zapach przypalanej fasoli. Pamiętał ciągle się uśmiechającego uroczego Greka z wielkim nosem, nie mającego pojęcia o gotowaniu.

- Wielki Nos...

Gdyby w szpitalnej salce było wino, ktoś pewnie by pośpieszył otworzyć butelkę. Jak należało się spodziewać, Grek ujął dłoń Mallory'ego w obie ręce i zaczął nią gwałtownie potrząsać.

- Jestem Spiro i muszę ci powiedzieć to samo, co powiedziałem twojemu... temu człowiekowi. - Mało brakowało, a splunąłby na Carstairsa. - Mam maszynę.

- Jaką maszynę?

- Jeśli mogę... - wtrącił Carstairs.

- Siedmiowirnikową Enigmę - wyjaśnił Spiro. - Oczywiście.

- Co to jest siedmiowirnikowa Enigma? - spytał Mallory.

- Nic - powiedział Carstairs. - Spiro, muszę ostrzec...

- Zamknij się - odpalił Spiro. - Mam tego dość. Tak cholernie dość, że sobie tego nie wyobrażasz. Ciągle muszę siedzieć cicho.

- To jeszcze trochę potrwa - stwierdził Mallory. - Najpierw musimy cię stąd wyciągnąć.

- No to już - odparł Spiro. - Potem pokażę maszynę.

- Pokażesz? - spytał Carstairs. - Naprawdę ją masz?

- Oczywiście, a co myślałeś?

Carstairs paskudnie poszarzał.

- Powiedziano mi, że wiesz o istnieniu maszyny i wysłano cię, byś ją ukradł, ale z powodu zatopienia okrętu sprawa się nie udała. Miałem cię... uciszyć, zanim zostaniesz poddany torturom. Gdybym wiedział...

- Oczywiście - powiedział Spiro. - Najpierw zabić, potem pytać. Co za idiotyzm.

Carstairs głupio się do niego uśmiechnął.

- Strasznie przepraszam, ale mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Świetnie. To wspaniale. Gdzie ona jest?

Spiro popatrzył na Carstairsa z pogardą.

- Powiem to twojemu przyjacielowi, kiedy się stąd wydostaniemy. Jak na razie, musisz się zadowolić stwierdzeniem, że w bezpiecznym miejscu.

- Gdzie?

- Najpierw się wydostaniemy, potem powiem.

Warsztaty robiły wrażenie. W pęcherzach zastygłej lawy Niemcy zbudowali przyzwoitej wielkości fabrykę. Były tu zarówno warsztaty, jak i obsługiwana przez inżynierów w brązowych kitlach linia produkcyjna. Greccy robotnicy i przymusowi w granatowych kombinezonach wozili na wózkach narzędzia i elementy konstrukcyjne. Powietrze wypełniał specyficzny, wapienny zapach mokrego betonu. Ktoś tu coś budował. Miller dostrzegł pusty wózek, położył na nim plecak i ruszyli powoli przed siebie. Minęli dziesiątki stanowisk roboczych, przeszli kolejnymi tunelami i zostawili za sobą jaskinie, w których stały różnych kształtów odlewy i skomplikowane silniki z dyszami, za to bez osi napędowych, zbiorniki paliwa i smarów. Przeszli obok wielu drzwi oznaczonych malunkiem czaszki ze skrzyżowanymi pod nią dwoma puszczelami, w końcu dotarli do szeregu przegradzających korytarz betonowych zapór. Przed zaporami stał esesman z pistoletem maszynowym, wielki napis nad jego głową informował EINGANG VERBOTEN.

- Wygląda, że to tu - stwierdził Miller. - Plan?

Andrea nie odpowiedział, ale Miller dostrzegł kątem oka, że dłoń Greka sięga za pasek do miejsca, gdzie miał nóż. Zrobił to akurat na czas, gdyż za ich plecami rozległy się krzyki i usłyszeli tupot nóg biegnącej sporej grupy. Zamieszanie przy windzie zmieniło się w działanie.

Zadzwoił telefon polowy, esesman podniósł słuchawkę i powiedział coś, co musiało być hasłem. Potem oczy wyszły mu z orbit, a usta się otworzyły, ale nawet nie wykrztusił słowa, ponieważ Andrea wbił mu nóż między czwarte i piąte żebro, pchnął ostrze w serce, a kiedy esesman osuwał się na podłogę, wyjął mu słuchawkę z dłoni.

- Ja? - spytał.

- Intruzi - dobiegło ze słuchawki. - Dwóch ludzi. - Tu nastąpił niezły opis Andrei i Millera. - Strzelać bez pytania i informować Hauptmanna Weissa.

- Zu Befehl! - odpowiedział Andrea, odłożył słuchawkę i wyrwał kabel ze ściany.

Miller ukrył trupa, obeszli zapory i stanęli przed wielkimi stalowymi drzwiami. Andrea załomotał w nie kolbą i wrzasnął:

- Hauptmann Weiss!

Odsunięto wizjer w drzwiach.

- Kto chce z nim rozmawiać?

- Wolf. Natychmiast.

Zachrząścił zamek i drzwi się uchyliły. Wyjrzał esesman i w tym samym momencie browning w dłoni Millera drgnął. Żołnierz upadł, obaj intruzi szybko wsunęli się do środka i zaryglowali za sobą drzwi. Na ich widok dwóch szeregowców SS zaczęło unosić broń, lecz Miller był szybszy.

- Jezu... - jęknął Andrea.

Miller po raz pierwszy słyszał, by Grek wzywał Boga nadaremno, ale przyczyna była zrozumiała.

Znajdowali się w olbrzymiej hali. Było tu niewielu ludzi. W środku - jakieś sto metrów od nich - stał pomalowany w czarno - białą szachownicę cylindryczny obiekt, wyglądający na pierwszy rzut oka jak wulgarna zabawka dla dziecka olbrzyma.

Nie była to jednak zabawka, ale rakietą, na dodatek tak przekraczająca rozmiarami wszystkie rakietę, jakie dotychczas widzieli, że ich zatkało.

Rakietę otaczała skomplikowana wyrzutnia, w górze nocna bryza delikatnie wybrzuszała się maskującą. Z różnych miejsc pękatego korpusu wychodziły elastyczne rury, które zniknęły za osłonami o specjalnej konstrukcji, wykutymi w ścianach... no, wielkiej groty, nie był to bowiem krater sensu stricto lecz jaskinia po lawie, skąd wydostawała się ona na powierzchnię trzema ujściami o znacznie mniejszym przekroju. W jednym z nich ustawiono rakietę.

- Robi wrażenie - stwierdził Miller.

Andrea jedynie pokiwał głową.

Za ich plecami rozległo się łomotanie w stalowe drzwi.

Miller zatarł ręce. Byli w miejscu, gdzie należało wykorzystać jego wyjątkowe zdolności - umiejętność precyzyjnego i „delikatnego” niszczenia, w czym był jednym z najlepszych specjalistów na świecie.

- Teraz posłuchaj - powiedział kapral Miller do pułkownika Andrei i otworzył dużą drewnianą skrzynię. Andrea słuchał. Po kilku minutach schował do chlebaka cztery pakiety i ruszył w kierunku wyrzutni. Pogwizdując, wszedł schodkami tam, gdzie jego zdaniem były silniki. Przyklepił plastik i w odpowiednie miejsce wsunął zapalnik z ośmiogodzinnym opóźnieniem. Złamał go i wyjął bezpiecznik.

Odwrócił się i ujrzał przed sobą naukowca.

- Testy - wyjaśnił Andrea. - Telemetry.

Mężczyzna bez słowa wskazał palcem na ładunek. Już zaczął otwierać usta, kiedy Andrea powiedział:

- A, rozumiem... - i jednym kopniakiem posłał go z platformy na beton kilka metrów w dół.

Nigdzie nie było widać Millera.

Miller poszedł sprawdzić miejsce, gdzie ze ściany wychodziło kilka elastycznych rur o dużym przekroju. Nad znajdującymi się tam drzwiami widniał napis: BRENNSTOFF. Paliwo. Otworzył drzwi. W pomieszczeniu nie było strażników, jedynie inżynier w brązowym kitlu. Na widok Millera skinął głową.

Wykute w skale pomieszczenie było prostokątne i jaskrawo oświetlone. Na podłodze - niczym śpiące świnie - leżały szeregi wielkich stalowych beczek. Część była grubościenna i skonstruowana tak, by wytrzymać duże ciśnienie wewnętrzne - w nich musiał być płynny tlen - część natomiast nitowana. Patrząc na te nitowane, Miller poczuł ukłucie żalu... Ileż to się zmarnuje dobrego alkoholu. Westchnął, wyjął z kieszeni pudełko z narzędziami i poszedł wzdłuż przewodów, by znaleźć miejsce, gdzie się zaczynały. Znalazł stojące tuż obok siebie dwa zbiorniki - jeden z tlenem, drugi z alkoholem. Tak jak się spodziewał, oba były zaopatrzone w typowe, stosowane przez Luftwaffe przepływowe przyrządy pomiarowe, umieszczone pod zaworem wypływowym. Nucąc pod nosem, wyjął z kieszeni tubkę, w jakiej konfekcjonuje się smar. Odkręcił ją, wycisnął trochę masy na drewnianą szpatułkę i zaczął grubo pokrywać wybrane miejsca.

- Wer da? - rozległ się głos przy jego uchu.

Miller odwrócił się - stał przed nim esesman z wycelowanym w niego pistoletem maszynowym.

- Konserwacja - odparł.

- Was?

Podsunał esesmanowi tubkę pod nos.

- Smar, debil. Pomacaj.

Żołnierz najwyraźniej obawiał się o swój czyściutki mundur, warknął bowiem:

- Nein! - i odsunął dłoń Millera.

- Jak chcesz - powiedział Miller, który miał wrażenie, że jego ciało zalewa śmiertelny pot. - Jeszcze tylko dwadzieścia i gotowe.

Żołnierz mruknął i opuścił broń.

- Pracuj dalej.

- Skąd to całe zamieszanie? - spytał Miller.

- Ktoś ukradł w łaźni dwa mundury i wszyscy poszaleli - odpowiedział esesman. - Teraz przestały działać telefony i idioci z Wehrmachtu spanikowali. - Ziewnął. - Będzie trochę roboty, ale nie ma co się trząść.

Miller jęknął, przeszedł do następnego zbiornika, odkręcił pokrywę wskaźnika poziomu paliwa i wcisnął do niego pastę. Był to jego osobisty wynalazek, a składał się ze zmielonego węgliku krzemu, magnezu, tlenku żelaza i sproszkowanego aluminium. Kiedy oś wskaźnika paliwa zacznie się kręcić, węgiel krzemu się rozgrzeje, po osiągnięciu odpowiedniej temperatury magnez się zapali, a proszek aluminiowy wejdzie w reakcję z tlenkiem żelaza. Dojdzie do reakcji nazywanej przez chemików egzotermiczną, co w praktyce oznacza, że powstanie cholernie wysoka temperatura, zdolna topić żelazo i beton. Oczywiście także wystarczająco wysoka, by zapalić alkohol. Jeśli przypadkiem któryś ze zbiorników tlenu okaże się nieszczelny, cała fabryka V4 zostanie unieruchomiona. Może nawet zniszczona.

Osobiście skłaniał się ku temu, że zostanie zniszczona.

Dla pewności nasmarował jeszcze parę mierników, potem wsadził ręce w kieszenie i pogwizdując wyszedł spacerowym krokiem z magazynu paliw. Przy drzwiach czekał Andrea, ze schmeisserem w gotowości, jakby stał na warcie.

- Hej ty! - krzyknął na niego Miller.

Andrea wyprężył się na baczność.

- Za mną! - rzucił Miller i zaczął się wspinać w górę ściany krateru. Maszerował szybko, poczuł jednak nagle zmęczenie w nogach, zaczęło mu dudnić w głowie i trudno mu się oddychało. Przeskakiwali z kamienia na kamień, aż doszli do zasłony z brezentowych płacht i sieci maskujących. Krater w dole był rozjaśniony niebieskawym światłem silnych lamp. Wdrapywali się dalej skalną ścianą, by nie spóźnić się na umówione spotkanie.

Na korytarzu przed lazaretem było rojnie jak w mrowisku i nikt nie zwracał uwagi na dwóch esesmanów z noszami. Mallory i Carstairs znieśli Spira schodami w dół. Wyglądało na to, że właśnie kończy się zmiana, bo korytarzem szła kolumna greckich robotników. Było tu niewiele żarówek, cuchnęło gotowanym kiepskim ryżem i nie najlepiej czyszczonymi latrynami. Po stu metrach, kiedy wyszli zza zakrętu, znaleźli się przed przegradzającą korytarz bramą z siatki, gdzie stał znudzony wartownik.

- Wrzucie go do morza - powiedział na widok noszy.

- Najpierw musi coś zrobić - odparł Mallory i wartownik się roześmiał. - Zaraz wrócimy.

- Nie śpieszcie się - odparł, otwierając bramę. - I nie ruszajcie kobiet, bo drapią pazurami.

Mallory czuł, jak dygot Spira przenosi się na rączki noszy. Ruszyli dalej.

Byli w obozie dla robotników przymusowych, utworzonym z wioski o nazwie Akropol. Otoczono ją płotem z drutu kolczastego, tak że skalne uskoki i fortyfikacje, które dawniej nie pozwalały się do niej dostać Turkom, teraz nie pozwalały się wydostać Grekom. Było to przygnębiające, pełne ruin miejsce, jasno oświetlone umieszczonymi w skalnych ścianach reflektorami. Zanieśli nosze do zacienionego miejsca na ulicy Athenai i odstawili je.

Mallory zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. Wokół chodziły postacie w granatowych kombinezonach, ale nikt się nimi nie interesował. Wioska, w której umarła ciekawość, to martwa wioska, stwierdził Mallory i przez chwilę poczuł skondensowaną, niczym nie zmaconą odrazę do tych, którzy ją zabili.

- Maszyna - powiedział po chwili.

- Po! - prychnął Spiro. - Po, ta maszyna! - Słowa zaczęły wypływać z jego ust nie kończącym się strumieniem.

- Powoli!

- Okej. Okej. Kiedy cię wezmą i masz oczy zamknięte dwa dni, oddychasz powoli, to mówią Ach Gott, jak on spokojnie śpi, i zaczynają wsadzać igły i rurki, ale się nie ruszasz i czekasz nie wiadomo na co, bo kiedy zaczniesz myśleć, to chcesz się obudzić, ale wiesz, że jak się obudzisz, to będziesz się bać i powiesz im wszystko, co wiesz, i zabiją cię powoli, bardzo powoli, więc, niech to cholera, lepiej umrzeć, niż znów zasnąć, lecz nagle spadają na ciebie anioły i oklepują skrzydłami... - Rzucił się na Carstairsa i zaczął okrywać jego twarz mokrymi pocałunkami.

- Uuuch... - jęknął kapitan.

Mallory obserwował z pewnym rozbawieniem, jak Carstairs się wyplątuje z rąk Greka.

- A więc? - ponaglił.

- Maszyna...

- Od początku.

- Tak jest - odparł Spiro. - Daj fajkę.

- Tureckie z lewej, wirgińskie z prawej - powiedział automatycznie Carstairs, podsuwając mu papierośnicę.

- Pluję na twoje tureckie.

- Gadaj - ponaglił Mallory.

- Okej, okej. A więc jestem w Trieście. W Trieście jestem kucharzem w kafejce przy dokach, wszystko świetnie, póki nie przyszli i nie powiedzieli, że Spiro ma iść na statek.

- Kto ci to powiedział?

- SIS. Ludzie z Londynu. Szpiedzy. Powiedzieli: Spiro, król Anglii, ogromny przyjaciel króla Grecji, chce, byś nie podsłuchiwał Niemców w kawiarni, ale poszukał kucharza z Kormorana i go urządził. Potem sam pójdziesz na Kormorana i popatrzysz, co tam się dzieje. No więc znalazłem kucharza i miał wypadek, wypadł przez okno i złamał nogę, a Spiro został kucharzem na tym przeklętym zaświnionym Kormoranie, niech Bóg da odpoczynek jego duszy, gdyby go teraz jego matka widziała...

- Konkrety - niecierpliwił się Mallory.

- Konkrety, robi się. No więc pracuję w kafejce dla SIS i ten facet, mój kontakt, mówi: idź na ten wielki świński statek Kormoran. No więc idę do portu, a jest strasznie, bo ciągle go bombardują, ale na samym końcu stoi ten statek, taki byle jaki śmierdzący statek, i mówią jasne, kucharz spadł i złamał sobie nogę, więc potrzebujemy kucharza i wiemy, że nie jesteś kucharzem... normalnie pracuję jako złodziej, ale jest wojna, rozumiecie... no więc chodź na pokład, mówią. Ja na to, że muszę jeszcze iść i pocałować na do widzenia dziewczynę, to dobra dziewczyna, z dużym wąsem, ale mówią nie, wchodź od razu na pokład, więc wszedłem i wsadzili mnie i zamknęli za mną drzwi. BUM! Bardzo dziwny statek. Na zewnątrz brudny jak sracz, a w środku czysty i porządny jak niemiecki statek. Kapitan i oficerowie to były takie typy, co lubią na baczność i Heil Hitler, wszystko musieli mieć dokładnie i na czas. Potem takim pociągami, jakby wojskowym, przywieźli wielkie skrzynie i butle z gazem, bo ja wiem. Spiro pomyślał sobie, ale głupi ci z SIS, fałszywy alarm, ale później pomyślał, że jak to nie jest fałszywy alarm, to jaki to jest alarm? Ale dalej zmywam, noszę oficerom kawę, takie tam. Potem... stał się cud. - Jego oczy o wielkich źrenicach patrzyły z powagą. Wciągnął głęboko powietrze. Dyszał i Mallory widział, jak jest przestraszony. - Było rano. Zaniósłem kawę na mostek. Dokładnie dziesiąta czterdzieści pięć. Kapitan Helmholz chciał ją dokładnie o tej godzinie, ani sekundy przedtem, ani sekundy potem. Głupie barany, wszyscy nie żyją. Szybko zawsze schodziłem z mostka, byłem więc w połowie schodów, kiedy zrobiło się BUM! Coś walnęło w statek i BAM! Potem znowu i wszystko się zaczęło kłębić, zrobiło się gorąco jak w piekle, a ludzie zaczęli się drzeć. Ktoś wyszedł z kabiny radiowej i zaczął iść na mostek, znowu było BUM, potłukło się szkło i stoczył się po schodach bez głowy. Kiedy zanosilem kawę, zauważyłem, że w kabinie stoi ta maszyna do szyfrowania, ta siedmiowirnikowa Enigma, a wiem, że SIS zawsze dobrze płacił za maszyny do szyfrowania, więc rozejrzałem się raz - dwa za walizką, spakowałem ją i

wyskoczyłem raz - dwa za burtę, a był straszny wiatr, jasno jak cholera, a walizka ciężka i chce iść na dno i zabić mnie, ale nie pozwoliłem. Z łaski Boga Stwórcy i Odkupiciela, niech imię Jego będzie błogosławione po wsze czasy amen, a także jego święci anieli, znalazłem wielką połamaną drewnianą skrzynię, może pokrywą luku, kto wie? A wiał wielki wiatr i zmiotł mnie daleko, aż na brzeg Kynthos. Teraz mi powiedz, jest to cud, czy nie?

- Cud - powiedział Mallory. - Bez dwóch zdań.

- A maszyna? - spytał Carstairs. - Co z maszyną?

- Ha! No tak. Wyciągnąłem ją na plażę. Byłem bardzo chory, naprawdę. Leżę z nią, śpię, bardzo spragniony, piasek w oczach, nie ruszam się, ale pojawił się koleś, mówił po grecku i dał mi wody. - Spiro zmarszczył czoło, jakby nie wszystko dokładnie pamiętał. - Wszystko jak sen... jak sen. Potem słyszę głośny głos, więcej głosów, nie tak głośnych, ale gadają po niemiecku. Chcę wstać, ale nic z tego, lecę na twarz, znowu odjeżdżam. Kiedy się obudziłem, byłem w ambulansie, na łóżku, wszędzie Niemcy, ale machina zniknęła.

- Zniknęła - jęknął Carstairs. - A więc ją mają.

- Mogą mieć Grecy. Tak myślę. Więcej jej nie widziałem, ale martwię się, martwię. Myślę, że jak się obudzę, zaczną mnie pytać, więc muszę spać, żeby się nie bać i żeby nie pytali. Jestem słaby, kiedy jestem zmęczony, jestem słaby i wszystko powiem, więc kiedy nie ma wyjścia, odjeżdżam. Teraz jestem tutaj.

- Udawałeś przez tydzień, że jesteś nieprzytomny? - spytał Mallory.

- Mniej więcej. Tak. Jadłem, piłem, kiedy nikt nie patrzył. Gdy się bardzo, bardzo boisz, można mieć bardzo, bardzo dużo odwagi.

- Okazałeś się rzeczywiście odważny i podziwiamy cię jak cholera, ale o tym pogadamy później - powiedział Carstairs. - Teraz mów, gdzie jest maszyna.

- Pamiętam. Ten z plaży, co dał mi się napić. Powiedział, że schowają w miejscu, które tylko on zna, nikt więcej. Tak jest dobrze. To dobry człowiek, jak myślę, nienawidzi szwabskich świń, walczy z nami, po naszej stronie. Powiedział, jak się nazywa, więc musimy iść go znaleźć, wyjaśnić, że przyjechała angielska armia, rąsja stary. Wszystko okej.

- Jak się nazywał? - spytał Carstairs.

- Achilles. - Po chwili, która Mallory'emu zdawała się trwać tysiąc lat, dodał: - Coś nie tak? Jakiś problem?

- Tak - odparł Mallory. - Drobnny problem. Ponieważ Achillesa powieszono, można było zakładać, że maszyna szyfrująca Enigma tak jakby się zagubiła.

W ciemności za ich plecami ktoś odchrząknął. Mallory odruchowo przesunął dłoń do schmeissera.

- Dziś dziękuję - powiedział przybysz i w krąg światła latarni weszli Miller z Andrea.
- Znajdę ją - powiedział Andrea.
- Kogo? - spytał Carstairs.
- Klitemnestrę. Siostrę Achillesa.
- Słyszałeś.
- Nie szeptał przecież.

Carstairs parsknął tym swoim protekcyjnym śmiechem.

- Klitemnestra może być wszędzie.
- Mamy umówione spotkanie, droga jest otwarta, znajdziemy transport i znajdziemy maszynę.

Carstairs skinął głową i cicho jęknął.

- Na pewno - powiedział i nagle oklapł, opadł na ziemię.
- Co jest? - spytał Mallory.
- Zawroty głowy. - Carstairs spróbował wstać, ale mu nie wyszło. - Jezu...
- Niech pan leży - poradził mu Mallory. Po człowieku, który uderzył się w głowę tak mocno, że stracił przytomność, trudno było się spodziewać, że tylko się roześmieje i będzie sprawny jak przedtem. - Andrea, ruszaj. Miller, jak nastawiłeś zapalniki?
- Na osiem godzin.
- Co z resztą?
- Zależy od tego, kiedy zaczną przepompowywać paliwo.
- Były oznaki świadczące o tym, że zamierzają odpalić?
- Nie. W hali stoi jedna rakietka nakierowana wprost na wylot kanału skalnego, ale nie było widać przygotowań. Moim zdaniem może być gotowa do startu raz - dwa, nawet w dwie godziny.

- O wschodzie słońca będę przy nabrzeżu - powiedział Andrea i zniknął bezszelestnie.

- No dobrze - stwierdził Miller. - Miło tu. - Należał do ludzi wierzących w podstawowe znaczenie zwiadu. W drodze do wioski sprawdził okolicę. Kiedyś było to może kwitnące miejsce, ale obecnie wysiedlono mieszkańców, domy przerobiono na kwatery dla przymusowych robotników, zbezczeszczono cerkiew, umieszczając na jej mozaikowej podłodze kuchnię polową, wydającą razowy chleb i zupę, której zapach nie skłaniał do zawarcia z nią bliższej znajomości.

W tej nieciekawej sytuacji korzystne dla nich było to, że wioska stanowiła więzienie, a strażnicy stali na zewnątrz. Ich zadanie polegało na pilnowaniu, by nikt z niej nie uciekł, nie będą więc szukali intruzów w środku.

Miller wybrał się na kolejny zwiad. Chodził sobie spokojnie między grupkami mężczyzn na rynku i nie potrwało długo, jak zauważył mężczyznę z chlebem i butelką wina. Miller przeżył amerykańską prohibicję i jego zdolność wyczucia meliniarza graniczyła z umiejętnościami paranormalnymi. Poszedł za nim wąską uliczką i wkrótce dotarł do oświetlonej bramy, w której siedział stary mężczyzna z siwymi wąsami o typowo bandyckim wyglądzie. Popatrzył na złotą drachmę Millera z nieruchomą twarzą, ale z wielkim zainteresowaniem w oczach.

- Skąd jesteś? - spytał Millera.

- Z Krety.

- Jak mnie znalazłeś?

- Znalazłem cię - odparł sucho Miller. Nie zamierzał gawędzić. - Co masz?

Stary wyciągnął z pogryzionej przez korniki drewnianej skrzynki chleb, wino i oliwki. Miller pobłogosławił go i poszedł sobie.

Za cerkwią stał niewielki domek - może mieszkanie popa - przylegający jedną ścianą do świątyni. Panował w nim brud i wszędzie wisiały pajęczyny, do tego unosił się cmentarny odorek, a z poziomu na poziom przechodziło się nie po schodach, lecz po nieco nadźartej przez korniki drabinie. Było tu jednak sucho i bezpiecznie, i - przynajmniej w opinii Millera - lepiej niż w Waldorf Astorii. Wrócił po Mallory'ego, Spira i Carstairsa. Kiedy się rozgościli, wyjął sardynki i czekoladę, do tego kupiony chleb, wino i oliwki. Jedli jak głodne wilki, odrywając wielkie kęsy chleba i splukując go haustami aromatyzowanej żywicą retsiny. Zdaniem Millera, jak na człowieka po świeżo przeżytym wstrząsie mózgu, Carstairs miał świetny, wręcz znakomity apetyt. O ile sobie przypominał, to po przeżytym wstrząsie mózgu - a zdarzyło mu się to nie tak znów dawno - przez kilka tygodni sama myśl o jedzeniu powodowała, że kiszki podchodziły do gardła.

Różni ludzie, różne kontuzje, uznał patrząc, jak Carstairs stuka papierosem o papierośnicę i potem go zapala. Ludzie naprawdę są różni... Carstairs nie zachowywał się tak jak reszta oddziału.

Po chwili (dokładnie mówiąc mniej więcej po dziesięciu sekundach) Miller osunął się na podłogę, by dać wypocząć zmęczonym oczom i bolącym kościom i powoli odpływał coraz dalej i dalej w błogą krainę snu, gdzie nie ma bólu, jest za to całkowity odpoczynek.

Ktoś złapał go za ramię i zaczął szarpać. Błogość zniknęła, a cierpka bolesność w głowie i kościach wróciła z podwójną siłą. Obudził się. Popatrzył na zegarek. Okazało się, że spał jedynie dziesięć minut.

W tym czasie świat zdążył się całkowicie zmienić.

Szpara pod drzwiami wejściowymi zrobiła się jaskrawobiałym pasmem światła. Z zewnątrz dolatywały odgłosy syren i tupanie butów. Podkutych, niemieckich.

Miller starał się usilnie pozbierać myśli, ale one odmawiały posłuszeństwa, kłębiły się niesamowicie i nie mógł się na żadnej skoncentrować. Może złapano Andreeę. Może stary wąsaty Grek doniósł komu trzeba, że zapłacono mu złotem. Może znaleźli plastik...

A może wiedzieli wszystko.

Z ciemności napłynęły słowa Mallory'ego:

- Zajmij się tymi dwoma, ja załatwię resztę.

Miller otworzył usta, by zaproponować, ale nic nie powiedział. Usłyszał ogłuszające walenie do drzwi.

- Drabina - syknął Mallory.

Łomot ucichł, po chwili jednak się powtórzył. Tym razem był nieprzerwany.

Andrei jak na razie wszystko szło gładko.

Wyszedł bez problemu przez bramę, wykorzystując plamy cienia dotarł do parku samochodowego. Obserwował ciężarówkę, która przyjechała drogą prowadzącą przez nasyp, patrzył, jak ją rozładowują, ponownie załadowują, słuchał wydawanych typowym wehrmachtowskim wrzaskiem rozkazów dla kierowcy. Kiedy ciężarówka wyjechała z powrotem na nasyp i powoli zmierzała w kierunku lotniska, Andrea podbiegł do niej, zamocował linę do piór amortyzatorów tylnej osi i położył się, tak jak ktoś inny położyłby się w hamaku. Przy bramie lotniska kierowca pokazał przepustkę i wjechał na zastrzeżony teren. Ciężarówka dojechała do baraków, które, sądząc po odgłosach, służyły jako stołówka.

Andrea zaczekał, aż kierowca wysiądzie, zeskoczył na ziemię i szybko ruszył w kierunku Akropolu. Wokół nikogo nie było widać.

Pozostając w cieniu, Andrea zmierzał szybko w stronę ciemnej otwartej przestrzeni lądowiska, kierując się ku jego skrajowi. Raz zapaliły się światła na pasie startowym i padł płasko na ziemię, czekając, aż dwusilnikowy samolot wyląduje i odkołuje. Poza tym było spokojnie, cicho, wiała lekka bryza, pachniało suchym pyłem i wysuszoną trawą. Przyśpieszył do truchtu, podbiegł do płotu, wyjął z kieszeni nożyce i wyciął prostokąt na tyle duży, by udało mu się przecisnąć. Dół wycięcia zakamuflował ziemią. Na tle nieba rysowały się słupy wieży strażniczej. Będą tam wartownicy...

Jeden był znacznie bliżej.

Przeszedł tak blisko, że Andrea poczuł dym papierosa, którego Niemiec krył w zwiniętej dłoni. Nie był to wartownik poszukujący, ale wykonujący rutynowe czynności. Poza tym gdyby kogokolwiek szukał, rozglądałby się za kimś próbującym wejść na chroniony

teren, a nie usiłującym z niego wyjść. Wartownik poszedł dalej, Andrea też ruszył swoją drogą.

Nagle noc zmieniła się w dzień.

Andrea dostrzegł własną dłoń - wielkiego brązowego pająka na nagiej, kamienistej ziemi. Widział każdą deskę, każdy szczegół jaskrawo oświetlonej wieży strażniczej przed sobą, widział odwróconego półprofilem wartownika, jego otwarte usta, wyszczerzone ze strachu oczy.

Przez chwilę Andrea myślał, że zapalono szperacze na wieży, i przygotował się na krzyki i świst kul, zaraz jednak stwierdził, że światło nie płynie z miejsca tuż nad jego głową, lecz z dali za nim, zza mokradeł. Spojrzał przez ramię - Akropol był oświetlony jak tort weselny. Noc przeszywał jęk klaksonów. Bez względu na to, co się działo, nie przypominało to przygotowań do odparcia nalotu.

W wieży strażniczej zadzwonił telefon i jego dźwięk wybił wartownika z transu. Zaczął wchodzić na górę. Zanim się odezwał, Andrea pełził po trawie jak ekspresowa jaszczurka.

Wstał i skoczył w ciemność. Za jego plecami zapaliły się reflektory oświetlające okolice płotu, na szczęście już zniknął w mroku, był cieniem na tle ciemnych skał. Biegł szachownicą pól, wpadał w maleńkie oczka wodne systemu irygacyjnego, roztrącał pszenicę i marchew, uwalniał buty z lepkiego uścisku gliniastej gleby. Teren zaczął się podnosić - Andrea dotarł do gór.

Wills był na cmentarzu. Ostatnio większość czasu spędzał wśród zmarłych i miał nadzieję, że nie jest to zły omen.

Obudził się dwie godziny temu w grobowcu nad Jaskółczym Gniazdem. Miał coś na twarzy - dłoń Klitemnstry.

- Chodź - odezwała się. - Musimy iść.

Był wykończony z niewyspania i przez chwilę zamierzał powiedzieć, że nigdzie nie idzie, zaraz jednak przypomniał sobie, gdzie jest, z kim jest i co robi. Wstał. Powiedział sobie, że jest ważny powód, by iść dalej - musi iść tam, gdzie piękna Greczynka...

Wyszli w ciepłą noc i zaczęli się wspinać. Wiedział, że w świetle dziennym nigdy by tędy się nie wdrapał, ale o tej porze była to jedynie bardzo stroma ścieżka. W rzeczywistości wspinali się prawie pionową skalną ścianą z występami do stawiania stóp i chwytania się dłońmi.

Po jakimś czasie dotarli na polanę. Klitemnestra ścisnęła dłoń Willsa dając znak, by był cicho. Minęli czarny kontur niemieckiego wartownika i dopiero znacznie dalej Wills

zauważył, że w dalszym ciągu trzymają się za ręce. Szli dalej - o ile był w stanie ocenić - na zachód, krążyli labiryntem ścieżek i wąwozów, schodząc cały czas powoli w dół. Może po dwóch godzinach wyszli pomiędzy głazów na półkę skalną albo coś w rodzaju gzymsu, na którym rosły cyprysy. Na trawiastym podłożu w świetle gwiazd słabo migotały stokrotki. Dostrzegli zarysy przypominającego prostopadłościan białego budynku - cerkwi. Kiedy się do niej zbliżali, otworzyły się dwuskrzydłe, nabijane gwoździami drzwi. W ciemności bez słowa zniknął niski człowiek - czarny jak noc, z nakryciem głowy przypominającym małą beczkę na ropę.

- Kto to był? - spytał Wills.

- Patriarcha - powiedziała Klitemnestra, pociągnęła Willsa i zamknęła za nimi drzwi.

Z początku nic nie widział, czuł jedynie mdlący zapach kadzidła. Potem dostrzegł słabe światelko w prezbiterium. Klitemnestra puściła jego rękę. Kiedy oczy Willsa przywykły do ciemności, zobaczył, że dziewczyna klęczy i się modli.

Wills czasami też się trochę modlił, głównie w szkolnej kaplicy z kolegami, także mniej formalnie, ale podczas samotnych nocy na kutrze torpedowym, kiedy z ciemności wylatywały w jego kierunku smugowe pociski z działek wroga, zawsze modlił się żarliwie. Teraz jednak uważał, że w tym dziwnym, nieco zatęchłym miejscu jest parę ważniejszych rzeczy niż modlitwa.

Otworzył drzwi i wyslizgnął się na zewnątrz.

Wokół cmentarza biegł niski murek. W dole rozpościerała się dolina - wszystkie jej szczegóły były wyraźne jak na mapie. Widać było różnego rodzaju światła - najpierw zapaliły się latarnie znaczące pas do lądowania, potem wylądował samolot i latarnie zgasły. W oknach domów w wiosce na Akropolu paliły się świece. Nagle lądowisko przemieniło się w rozświetlony jaskrawo prostokąt, oślepiająco jasny. Potem zaczęły ożywać wszelkie źródła światła wokół. W końcu rozległo się trąbienie syren.

Coś się działo.

Wills sprawdził magazynek schmeissera, wcisnął się w cień między ścianą i cyprysem i czekał.

Czas mijał. Poza pachnącą tymiankiem bryzą, nocą i tym, co się działo za mokradłami, nic więcej nie istniało. Jeszcze niedawno, w pełnej majaków wędrówce, Willsowi było obojętne, czy przeżyje. Stracił statek, stracił swoich ludzi i siedział na najbardziej niepewnym konarze. Teraz jednak, kiedy jego stan poprawił się tak, że zauważał urodę Klitemnestry, interesowało go przeżycie. Oczywiście nie jest łatwo poznać, o czym myśli kobieta, zwłaszcza że przeszło się z Wellingtonu prosto do Dartmouth, a potem do

czynnej służby, lecz wydawało mu się, że nie miała nic przeciwko... no, jego towarzystwu. Była niezwykłą dziewczyną, wręcz ekstra...

Coś zatkało mu usta niczym wielka, miękka skórzana poduszka. Dłoń! Druga dłoń złapała go za kark i uniesiono mu podbródek tak wysoko, że dalej już nie było to możliwe. W przeblysku kompletnego przerażenia zrozumiał, iż tych dłoni nie interesuje, że jego podbródek już nie może poruszyć się wyżej, zamierzają go unosić, aż złamią mu kręgosłup i na tym będzie koniec...

- Ręce do góry! - krzyknął po grecku jakiś głos. Kobięcy. Zaskoczyła zarepetowana broń i dłonie puściły.

Wills opadł na kolana i jego palce zacisnęły się na schmeisserze.

- Cofnij się! - rzucił, zaraz jednak sobie przypomniał hasło i dodał: - Pyszna pogoda na przejażdżkę łódką.

- Kapitanie Wills - usłyszał głos, który doskonale rozpoznał, głos, który nie wiadomo, czy mruczał, czy dudnił basem, głos Andrei. - Nie powinien pan siedzieć tam, gdzie można pana zobaczyć na tle nieba.

- Idź sobie! - powiedział kobięcy głos. - Daj mu spokój, ty wielki głupi bawole! - Klitemnestra stała przy Willsie i obejmowała jego głowę dłońmi. - Jeszcze nie wiesz, kto jest po twojej stronie, a kto nie? Jesteś ślepy?

- Zrozumiała omyłka - odparł Wills sprawdzając, czy ma głowę na miejscu. - Szczęście, że akurat wyszłaś z cerkwi.

Klitemnestra parsknęła.

- Myślisz, że pozwoliłabym ci wyjść samemu w noc? Obserwuję cię od dwóch godzin. - Objęła go w pasie. - Jeśli nie umiesz dbać o siebie, ktoś musi to robić za ciebie.

Andrea odchrząknął.

- Niechętnie przeszkadzam - zwrócił się do Klitemnestry - ale czy mogłabyś mi powiedzieć, co wiesz o życiu i zwyczajach swego zmarłego brata...

W opinii Josefa Kocha ta wyspa była ohydny miejscem. Jeszcze przed tygodniem był zadowolony - całą zimę uganiał się za partyzantami po Jugosławii i perspektywa skorzystania trochę ze słońca, piasku i morza była bardzo podniecająca. Niestety, zaraz po tym jak tu przyjechał, wszystko zaczęło się sypać... Szarpnął kierownicą, wjeżdżając ciężarówką w kolejny ciasny zakręt. Ludzie na wyspie mieli temperament wściekłych szerszeni, a większość kobiet miała wąsy. Jeśli nie walczyli z przybyłymi na wyspę Niemcami, to walczyli między sobą. Wehrmacht na nic się nie przydawał, a jajogłowi jak to jajogłowi - też okazali się do niczego nieprzydatni. Josef Koch wrócił myślą do

szczęśliwszych czasów... w Bośni. W lesie przywiązali drutem do drzew kilku partyzantów i razem z dwoma szeregowcami zajęli się zrobieniem huśtawki. Była ona jego pomysłem, a istota sprawy sprowadzała się do tego, że na jednym końcu huśtawki stawiano bandytę, na drugim stawał on sam... Josef był wielkim mężczyzną, niektórzy, trochę śmielsi, mówili wręcz, że jest tłusciochem... w każdym razie bandyta stał na huśtawce z liną wokół szyi, przewieszoną przez konar, a szeregowcy opowiadali Josefowi dowcipy i próbowali go tak rozśmieszyć, by stracił równowagę i spadł z deski, a wtedy bandyta leciał w dół, zaczynał kopać powietrze i zazwyczaj, no, po jakichś pięciu minutach, umierał. Inną rzeczą, jaką Josef lubił, było przesuwanie się po desce huśtawki w stronę bandyty, który powoli opadał, a pętla na jego szyi stopniowo się zaciskała, podczas gdy Josef wyjaśniał mu, że nie należało robić tego, czego się dopuścił, i w końcu bandyta umierał, wijąc się i podskakując na linie i wpatrując w uśmiechnięte grube wargi Josefa Kocha i jego stale wybaluszone, czerwone gały. Fantastyczne, ile można mieć zabawy z prostą deską. Choć bandytom ta zabawa pewnie mniej się podobała.

Josef westchnął. Lubiał wieszać ludzi. W zeszłym tygodniu dobrze się zabawił w Parmatii, ale to była drobna akcja. Prawdę mówiąc, wiele wskazywało na to, że wkrótce będzie miał tu więcej podobnej roboty. W górach walczone, w fabryce pojawiły się kłopoty i... no tak... szef był poważnie wkurzony, a kiedy szef był wkurzony, najlepiej trzymać się z dala. Dlatego zlecenie wyjazdu ciężarówką do Parmatii - po to by przywieźć stamtąd kilku ludzi podejrzanych o współpracę z partyzantami - całkowicie mu odpowiadało.

Następny zakręt. Obrócić kierownicą, zredukować bieg, trzymać nogę płasko na pedale... powtarzał w myślach.

Na środku drogi leżał kamień, właściwie spory głaz, więc Josef Koch gwałtownie wcisnął hamulec. Ciężarówka stanęła. Tak, to było kolejne cholerstwo na tej wyspie - co kawałek na drodze leżały kamienie. Na szczęście miał na pace łom, więc westchnął, otworzył drzwi i zaczął wysiadać.

W tym momencie stało się coś dziwnego.

Kiedy jego buty dotknęły ziemi, coś złapało go od tyłu - za bluzę przy kołnierzu i za spodnie w okolicy siedzenia. Nagle stracił panowanie nad własnymi ruchami. W plecy trafił go z potężną siłą but i ciemna ziemia zaczęła wirować z przerażającą prędkością. Leciał ku poboczu drogi.

Tyle że pobocza nie było.

Tam, gdzie kończyła się droga, biegł wąski pas kamieni, w który feldfebel uderzył twarzą i od którego się odbił. Za pasem kamieni była cisza, leniwie przenoszące się masy

powietrza, a daleko w dole falowało morze.

Feldfelbel zaczął krzyczeć. Krzyk potrwał dokładnie tyle, ile ludzkie ciało potrzebuje, by spaść z wysokości siedemdziesięciu metrów na ostre skały.

Ciężarówka stała na drodze, pracujący silnik pomrukiwał. Andrea pomógł Willsowi zaciągnąć pomocnika kierowcy w krzaki po drugiej stronie drogi i ukryć go w ciemności, podczas gdy Klitemnestra wycierała ostrze swego długiego noża o kępę trawy. Pomocnik kierowcy zaskakująco mało krwawił, więc Wills bez większego obrzydzenia przebrał się w jego kombinezon i zajął miejsce za kierownicą. Klitemnestra usiadła w środku, a Andrea wpełchnął swe potężne ciało na prawe siedzenie, zapalił papierosa, opadł na oparcie i zacisnął dłonie na pistolecie maszynowym.

- Parmatia - rzucił.

Po chwili świat za przednią szybą się ożywił - w świetle zaciemnionych reflektorów przesuwały się białe kamienie, sosny i jałowce, klif i przepaście. Czarna wstęga drogi za nimi natychmiast zniknęła w ciemności.

Jechali do Parmatii.

Miller stał na szczycie drabiny w domu przy cerkwi i patrzył na Mallory'ego, który szedł do wejścia. Łomotanie w drzwi nie ustawało. Carstairs już przeszedł przez dziurę w suficie, więc Miller jak najszybciej zrobił to samo i zaczął wciągać do góry drabinę. Już prawie kończył, kiedy drzwi się otworzyły i nędzne pomieszczenie na parterze zalało błękitnobiałe światło. Noc przemieniła się w dzień i widoczny stał się każdy szczegół: słoma, śmieci i Mallory. Mallory z rękami na biodrach, wpatrujący się w trzech żołnierzy, którzy celowali do niego ze schmeisserów, krzyczący po niemiecku, wychodzący na zewnątrz w światło...

Więcej Miller nie zobaczył, musiał bowiem ustawić drabinę tak, by dało się po niej wejść na następne piętro. Kiedy Spiro zbliżał się do drabiny, skrzypnęła podłoga. Miller oświetlił mu drogę miniaturową latarką, syknął na Carstairsa, by zaczął wchodzić, i ruszył za nim. Spiro wspinał się z prędkością imponującą jak na człowieka jeszcze niedawno złożonego poważną chorobą, Carstairs szedł za nim nieco wolniej.

Znaleźli się na strychu. Było to niskie pomieszczenie, którego sufit stanowiła warstwa dachówek na dachu.

- Zostaw drabinę! - syknął Miller i zaczął odsuwać ciężkie dachówki. Po pięciu minutach nieustannej pracy jego głowa i ramiona wyrzały na zewnątrz. Przez chwilę płuł w nocne powietrze kawałkami przeżartych przez korniki belek i wiekowej trzciny, którą puszczelniano dachówki.

Miał przed sobą niski murek, za nim widać było dach cerkwi, który z jednej strony przechodził w kopułę, a z drugiej miał dzwonnice. Wokół dzwonnicy biegł metrowej szerokości gzyms, a można się było tam dostać zarówno z cerkwi - po schodkach - jak i z dachu.

Millerowi widok bardzo się spodobał.

Wyjął jeszcze kilka dachówek, wyszedł na dach i pomógł się wydostać pozostałej dwójce. Potem poukładał dachówki na miejsce i ruszył pierwszy w stronę spadzistego dachu cerkwi.

- Cholera... - jęknął Spiro. - Nie lubię wysokości.

- Nie jest wcale wysoko - powiedział Miller.

- Dla mnie tak.

- Chodź już.

- Nie.

Było jasne, że Grek mówi to, co myśli. Trudno było mieć do niego pretensje. Przeszedł już sporo, a każdy ma jakieś granice możliwości.

Szkoda, że jego ujawniły się właśnie tutaj.

Coś odepchnęło Millera na bok. Był to Carstairs. W wyciągniętej ręce trzymał migoczący w świetle gwiazd przedmiot. Migotał słabo, było to bowiem oksydowane na niebiesko ostrze bojowego noża: dwadzieścia centymetrów ostrej jak brzytwa groźby.

- Aua... - jęknął Spiro.

- Słuchaj, brudasie. Słyszałeś, co on powiedział - warknął Carstairs i jego ręka wysunęła się jeszcze kawałek w przód.

- Aua... - ponownie jęknął Spiro.

- Tak naprawdę to już cię nie potrzebujemy - dodał Carstairs - przekonaj mnie więc, że nie warto wycinać ci twojej przeżartej alkoholem wątroby.

Miller był zszokowany, ale nie interweniował.

Spiro dumiał przez mniej więcej trzy i pół sekundy i ruszył drobnymi kroczkami po szczycie dachu, niczym małpa z nadwagą.

Carstairs poszedł drugi, Miller na końcu - powoli i ostrożnie. Dach sprawiał wrażenie dość niepewnej konstrukcji, wyglądał, jakby coś w nim pękło, może nawet zaczynał się zapadać. Mając na uwadze to, że piętnaście metrów niżej znajdowała się kamienna posadzka, trudno było o tym nie myśleć. Miller stwierdził, że odruchowo wstrzymuje oddech.

W przodzie zapraszająco migotał obiegający dzwonnice parapet, tylko że trzeba było wyjść z cienia, za którym był znakomicie oświetlony kawałek dachu. Grekowi najwyraźniej

się ten widok nie podobał, bo zaczął zwalniać. Wybrał jednak złe miejsce na zwalnianie, gdyż nie osłaniał ich już domek popa i byli widoczni z dołu. Znajdowali się dokładnie nad rynkiem, na którym stał oddział niemieckich żołnierzy. Wystarczyło, by któryś spojrzął w górę.

- Ruszaj! - syknął Carstairs. Spiro zamarł.

Carstairs wyjął swój przerażający nóż i dziabnął Greka w stopę. Spiro pisnął, prysnął jak piorun po dachu i przerzucił ciało przez parapet dzwonnicy. Jego krótkie nóżki przez chwilę machały w powietrzu i zniknęły. Był bezpieczny.

Nie, nie był.

Ostatnim gwałtownym ruchem poruszył bowiem dachówkę, która powoli zaczęła się zsuwać po oświetlonej części dachu. Miller wyciągnął rękę, by ją pochwycić, i przez chwilę sądził, że mu się to uda, ale greckie dachówki są ciężkie, zrobione z solidnej gliny i kiedy któraś postanowi poddać się sile grawitacji, nie powstrzyma jej ludzka dłoń.

Miller patrzył, jak dachówka wyskakuje wysokim łukiem w powietrze, a następnie - wirując - zaczyna spadać i leci niżej i niżej ku kocim łbom na rynku, na którym stoją żołnierze...

Kiedy Mallory otworzył drzwi, pomieszczenie zalało światło. Stało przed nim trzech żołnierzy z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi. Zlustrował ich pogardliwie od stóp do głów.

- Co to za cholerne hałasy? - spytał po niemiecku, z akcentem absolwenta uniwersytetu w Heidelbergu, gdzie przed wojną spędził pół roku.

- Mam rozkaz przeszukać ten budynek - powiedział jeden z szeregowców, patrząc zmrużonymi oczami na wyglądającego groźnie Leutnanta SS o zapadniętych głęboko oczach, ze schmeisserem zwisającym nonszalancko z ramienia.

- Już go przeszukałem. - Kiedy jeden z żołnierzy otworzył usta, by coś powiedzieć, Mallory dodał: - Dajcie mi swoją broń.

Żołnierz bez wahania podał Mallory'emu pistolet maszynowy. Mallory popatrzył na broń z pogardą smakosza, który znalazł w zupie szczura. Wyciągnął zamek i rzucił pistolet na ziemię.

- Śmierdzi! Wyczyścić! A teraz zejść mi z oczu! - Powiedziawszy to, wyszedł na plac.

Było tu dużo żołnierzy - strasznie dużo. Mallory poważnie się zaniepokoił. Dobrze przeprowadzone poszukiwania sprowadziłyby na nich poważne kłopoty. Do Carstairsa nie miał wiele zaufania, pomijając nawet skutki uderzenia w głowę. Spiro okazał się czarującym, ale trudno go było nazwać mężczyzną atletycznym. Miller powinien poradzić sobie, ma

jednak na karku tyle balastu, że będzie potrzebował wszelkiej możliwej pomocy.

Mallory przeszedł energicznym krokiem przez plac, poszedł kawałek ulicą prowadzącą do bramy w ogrodzeniu otaczającym wioskę i skręcił ostro w ulicę Athenai, gdzie się spotkali. Domy tutaj były ciemne i zrujnowane. Na końcu ulicy wznosiła się czarniejsza od nocy stroma skalna ściana. Mallory zarzucił pistolet na plecy i zaczął się wspinać.

Ściana była stroma, ale miała mnóstwo regularnych wycięć w miejscach, skąd brano materiał na budowę wioski. Mallory wspinał się, aż mógł objąć wzrokiem cały teren, jaskrawo oświetlony umocowanymi na ścianie, na której się znajdował, potężnymi reflektorami. Zastanowił się, czy nie wdrapać się wyżej niż reflektory, które miał kilkadziesiąt metrów nad sobą, intuicja mówiła mu jednak, że lepiej będzie, jeśli na razie zostanie tam, gdzie jest. Przesunął się wzdłuż skalnej półki - półki w jego opinii, dla kogoś innego byłaby to jedynie mikroskopijna nierówność w skale - aż dotarł do szerokiego pęknięcia, skrytego w głębokim cieniu. Było na tyle głębokie, że mógł się w nim ukryć. Czekał.

Dachy domów zdawały się aż sine od światła, ulice wyglądały jak fioletowoczarne paski - z wyjątkiem rynku, który przypominał chustę nagiej bieli.

Na tym białym prostokącie poruszały się niewielkie postacie - precyzyjnie, metodycznie, pary łączyły się z innymi parami w większe grupy, większe grupy dzieliły się. Mallory doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ogląda staranne przeszukiwanie wioski. Szukano jego, Spira, Carstairsa i Millera.

Coś zwróciło jego uwagę. Za cerkwią widać było dom popa, opierający się o świątynię niczym drobny pijany człowieczek o wielką, tłustą żonę. Na dachu cerkwi dostrzegł poruszające się sylwetki.

Mallory przyglądał się im i stwierdził, że pierwsza - Spiro - rusza niechętnie w kierunku trójkąta światła na dachówkach. Zdjął z ramienia schmeissera i przystawił sobie kolbę do ramienia. Spiro wszedł w obszar widoczny z rynku, zatrzymał się, idący tuż za nim Carstairs dziobnął go nożem, Mallory patrzył, jak obruszona przez Greka dachówka zaczyna się zsuwać coraz szybciej, nieco przyhamowuje pod dotknięciem dłoni Millera, a potem leci dalej. Spoczęły mu się dłonie. Wycelował. Pod okapem dachu cerkwi stali w szeregu niemieccy żołnierze i w postawie na baczność słuchali komend wykrzykiwanych przez oficera. Ustawił celownik na hełm żołnierza stojącego najbliżej cerkwi i nacisnął spust. Wybuchło piekło.

Stalowy hełm pofrunął w powietrze i huknął o ścianę cerkwi. Żołnierz upadł na plac, a wokół jego głowy zaczęła się tworzyć kałuża krwi. Odgłos strzału przetoczył się niczym

grzmot między pozbawionymi ozdób domami. Zanim zdążył przebrzmieć, Mallory długą serią ostrzeliwał rynek, aby płomyk u ujścia lufy informował: tu jestem, tutaj, na tej skale!

Szare figurki na placu przesuwaly się teraz na boki, pełzały i wydawały z siebie okrzyki, przede wszystkim zaś starały się kryć. Z rynku zaczęto strzelać krótkimi rzadkimi seriami, źle wycelowanymi, ale skierowanymi mniej więcej tam, skąd rozpoczął ogień Mallory.

Oczywiście już dawno go w tym miejscu nie było. Uciekł w bok i w górę, trzymając się cały czas głębokiego cienia. Zbliżał się do reflektorów. Wioska w dole kipiała i mruzczała niczym wielki kocioł. Dwadzieścia metrów nad miejscem, z którego strzelał, Mallory zatrzymał się i popatrzył w dół. Na dzwonnicy cerkwi dostrzegł trzy głowy - widoczne tylko z góry.

Najważniejsze, że w całym zamieszaniu nikt nie zauważył czegoś tak banalnego, jak dachówka spadająca z dachu cerkwi.

Mallory ruszył dalej w górę. Skalna ściana zdawała się ginać w dzikiej, chłodnej czerni, jakby nigdy nie miała się skończyć, a w wiosce pod nim wrzało jak w mrowisku, w które wsadzono kij. Ktoś puszczał serie z pocisków smugowych; łomotały o skałę i rozpryskiwały się na boki tak bardzo, że ludziom na dole mogło się wydawać, iż nagle zaczęło strzelać czterdziestu wiszących na skale intruzów.

Wspinając się szybko i bez przystanków, Mallory musiał przyznać, że to, co się działo na dole, było godnym ubolewania uchybieniem dyscypliny wojskowej, nie miał jednak złudzeń. Wiedział, że wkrótce znakomita organizacja armii niemieckiej weźmie górę nad chwilowym bałaganem i życie stanie się znacznie trudniejsze niż w tej chwili.

Dla niego na pewno. Trójkę w wiosce mógł spokojnie pozostawić samą sobie, bo Niemcy z pewnością założą, że cały oddział jest na skalnej ścianie Akropolu. Jedyne, co mu pozostawało, to być stale w ruchu i ściągać na siebie pogoń.

Być stale w ruchu.

Przez chwilę pomyślał o wysokości ściany nad sobą, pełnej kolejnych występów i grani, a mającej tysiąc, może więcej metrów, które należało pokonać wbrew prawu ciężenia. Czuł w ustach smak starych papierosów, w oczach piasek od niewyspania, tępy ból w kościach - efekt prowadzenia akcji za akcją, akcji za akcją... Benzedryna musiała przestać działać, ale jeśli weźmie następną, zacznie mieć zwidy.

Lepiej mieć zwidy, niż spaść ze skały.

Wyjął z ampułki dwie pastylki, połknął je i z wysiłkiem wdrapywał się dalej. Po kolejnych kilkunastu metrach znalazł się tam, gdzie chciał dotrzeć.

Był na wysokości reflektorów. Tu i ówdzie w dalszym ciągu świstały kule, które rykoszetowały z wizgiem od skały, ale nikt nie celował w konkretne miejsce. Między kręgami jaskrawej jasności było naprawdę ciemno i w tej właśnie ciemności mógł bez przeszkód ukryć się, pozostać anonimowym.

Zatrzymał się i rozejrzał. Poczul w żołądku drgnienie - benzedryna zaczęła działać, krew w jego żyłach się speniła.

Tuż nad głową dostrzegł gruby kabel zasilający reflektory. Mallory wyjął z kieszeni scyzoryk i owinał wokół jego rączki gumowaną torebkę, w której przechowywał przybory do golenia. Żałował, że nie ma swojego komandoskiego noża, niestety został w oku zabitego wartownika. Nie wiedział, czy scyzoryk jest izolowany, ale gumowana tkanina powinna ochronić mu rękę. Zaczynaj - domagała się benzedryna - nic ci się nie stanie, jesteś nieśmiertelny, a jeżeli coś pójdzie nie tak, zawsze możesz rozpostrzeć skrzydła, skoczyć i polecieć nad wioską do morza... Spokojnie.

Wyciągnął prawą rękę, przyłożył ostrze do grubej izolacji i zaczął ciąć.

Ostrze zagłębiło się w gumę jak w masło. Poczul opór zbrojenia, zaraz jednak ostrze poradziło z tym sobie i spowodowało spięcie. Noc zrobiła się niebieska, jakby rozświetlał ją piorun, i nagle wszystko zalała czerń - światła zgasły. Zapanowały najczarniejsze ciemności - było czarno jak w kopalnianym szybie.

Mallory zostawił nóż w kablu i owinał wokół niego linę do wspinaczki. Wyjął z torby magazynek z nabojami smugowymi i wepchnął go w gniazdo pistoletu. Cofnął się wzdłuż kabla kilka metrów, aż lina się napięła, puścił w powietrze serię i skoczył.

Bujał się na linie jak wielkie wahadło. Jego dłonie i kolana drapnęły o chropowatą skałę, kiedy poczul, jak zaczyna się wznosić do góry, wyciągnął rękę, chwycił gumową osłonę kabla i postawił stopy na jakimś występie. Wystrzelił następną serię w powietrze i znów się puścił, by wrócić do miejsca, w którym był przed chwilą. Kątem oka widział, jak pociski smugowe wirują w powietrzu i rykoszetują. Posłał kolejną serię i nastąpiło kolejne bujnięcie. Tym razem kiedy zawisł na kablu, nie strzelał. Niemcy zobaczyli niemal równocześnie wystrzelone serie z miejsc oddalonych od siebie o prawie piętnaście metrów, założą więc, że na skale jest przynajmniej dwóch ludzi, może więcej. Dwóch ludzi osłaniających odwrót oddziału.

Zadanie dywersyjne wykonane, pomyślał Mallory. Najwyższy czas, by zniknąć. W górę, im wyżej, tym lepiej.

Podciągnął się na kablu.

Kabel wyrwał się ze ściany.

Mallory spadał, zawieszony na gumowej izolacji, gorączkowo próbując sobie przypomnieć, co jest dalej w dole; czy ściana, w którą zaraz uderzy, czy pustka i ma się przygotować na dłuższy lot. Tak ułożył dłonie i przedramiona na kablu, by jak najmniej podrapać je o skałę. Nastąpiły ponowne szarpnięcia, co oznaczało, że wrywają się kolejne mocowania, a leciał już z taką prędkością, że czuł wiejący mu po twarzy wiatr. Zdał sobie sprawę z tego, że scyzoryk z pewnością wypadnie z kabla i ponownie popłynie prąd.

Wydarzyły się dwie rzeczy.

Po pierwsze któryś z uchwytów wytrzymał i Mallory zawisł w bezruchu w mroku nocy, daleko w bok od wioski. Waliło mu serce, a wspólny ciężar pistoletu maszynowego, karabinu wyborowego i plecaka był tak duży, że miał wrażenie, iż zaraz wyrwie mu ramiona z barków.

Po drugie zapaliły się reflektory. Nadmiernie jasny umysł Mallory'ego natychmiast pojął, że skalna ściana musi być widoczna z rynku jako wielka jasna płaszczyzna z zakrzywioną linią, na której w regularnych odstępach świecą jaskrawe punkty powyrywanych z uchwytów reflektorów, linią, która niemal każe wieść wzdłuż niej wzrokiem: tutaj, patrzcie w tym kierunku...! Jak ryba na haczyku, kiwa się tam maleńka ludzka figurka.

Przez sekundę nad wioską i skalnym masywem zawisła śmiertelna cisza.

Miller wykorzystał ciemność, aby wstać i ocenić sytuację. Kiedy reflektory ponownie się zapaliły, odrobinę go to zaintrygowało, a właściwie zaskoczyło. Przeszło mu przez głowę, że Mallory, wiszący na ścianie, nad głowami ponad stu dwudziestu ciężko uzbrojonych Niemców, może być w drobnych kłopotach. Oczywiście zauważył wystrzeliwane z różnych miejsc serie pocisków smugowych, co naprawdę wyglądało tak, jakby znajdował się tam spory oddział, nie powinno więc nikogo zaskoczyć, jeśli ludzie Mallory'ego zrobią co nieco, by go osłonić.

Zanim skończył tę myśl, miał w każdej dłoni po dwa granaty, wyciągnął zawlecзки i rzucił je na rynek. Oczy wszystkich Niemców były skierowane na skalną ścianę i zaczęli podnosić broń, aby zacząć kanonadę, która pośle Mallory'ego do Bozi. Granaty okazały się pełnym zaskoczeniem.

Ledwie Miller skulił się za murem, noc rozświetliły błyski, rozległy się eksplozje, wizg szrapneli, krzyki rannych. Parsknęło kilka pistoletów maszynowych, ale niebornie, z przerwami. Oznaczało to, że żołnierze na placu doszli do wniosku, iż stojąc na jasno oświetlonym prostokącie rynku są wystawieni na szwank i postanowili się pochować.

Fakt ten niewiele interesował Millera. Jego natychmiastową uwagę zwróciło to, że na kablu zasilającym na klifie wisiły już tylko oślepiające reflektory.

Mallory zniknął.

- Jesteśmy - powiedziała Klitemnestra.

Wills wcisnął pedał hamulca i ciężarówka stanęła. Za zakrętem był kamieniołom i kończył się nasyp kolejowy.

W ciemności coś się poruszyło. Wills cicho zaklął. Pierwsi wartownicy powinni być dopiero przy wjeździe do kamieniołomu. Zapalił reflektory, czując równocześnie, jak przenosi się punkt ciężkości ciężarówki - Andrea, który jechał stojąc na stopniu, musiał zeskoczyć i zniknąć w ciemności.

Od przodu podchodził wartownik - grubas o ponurym wyrazie twarzy - który mrugał oczami w świetle reflektorów, oświetlających zwały tłuszczu nad jego pasem oraz maszyny w kamieniołomie i resztki wartowni, którą spalił Miller. Wills oparł łokieć o brzeg okna i rzucił:

- Cześć!

Tłusty wartownik zmarszczył czoło.

- Gdzie Koch?

Uśmiech zamarł Willsowi na ustach. Jego niemiecki nie nadawał się do prowadzenia poważniejszej rozmowy, poza tym może ten wartownik był kumplem Kocha. Mieli wyrzucić Andreego kilometr przed kamieniołomem, ale źle wszystko obliczyli.

- Odleciał - powiedział Wills starając się ukryć swój akcent.

- Dokąd?

- Do domu.

Wartownik znów zmarszczył czoło i zapalił latarkę. Wills poczuł, jak siedząca obok Klitemnestra sztywnieje. Co za głupi pech... Przez całą drogę nie mieli żadnych problemów. Znaleźli ulubioną jaskinię jej brata, wzięli maszynę szyfrującą, wrócili - wszystko jak ta lala, a teraz ten grubas miał im spaprać robotę.

Latarka znalazła się tuż przy szybie.

- Co ty tu robisz o tej porze? - spytał Niemiec.

- Załatwiam sprawy - odparł Wills.

- Dokumenty! - Potem wydał z siebie jeszcze jakiś dźwięk, ale nie były to słowa, lecz odgłos, jaki wydaje człowiek, kiedy po raz ostatni w życiu wypuszcza z płuc powietrze, i padł jak wór na drzwi ciężarówki. Metr za miejscem, gdzie jeszcze przed chwilą stał, pochylała się postać, która mogłaby być niedźwiedziem i wycierała o kępę trawy coś, co mogło być komandoskim nożem. Andrea wrzucił swój plecak do kabiny, bo tam, dokąd się udawał, musiał być bez ciężaru.

- Jedźcie. Rano, przy nabrzeżu obok lotniska. - Poklepał leżącą na siedzeniu pasażera

mahoniową skrzynię i dodał: - Pilnujcie tego, dobrze?

- Nawet gdybym miała to przyplacić własnym życiem - odpowiedziała Klitemnestra.

Andrea popatrzył, jak ciężarówka zawraca i rusza w kierunku, z którego przyjechali. Spojrzał na Akropol. Paliły się tam światła - zbyt wiele jak na jego gust. Cicho jak Matka Noc podążył ku bramie kamieniołomu.

Dolatywały stamtąd odgłosy rozmów, widać było ogniki papierosów wartowników dodających sobie odwagi konwersacją. W pobliżu bramy znalazł miejsce, gdzie dół siatki był luźny, wykopał więc trochę ziemi i zdołał przedostać się na drugą stronę. Prosto przed sobą miał podstawę nasypu. Nałożył na głowę niemiecki hełm, wyprostował się i poszedł między śpiochami w stronę Akropolu.

Mallory wisiał, uczepony skalnej ściany, a sto metrów pod nim rozciągała się wioska. Bardzo chciało mu się palić. Niemal zapomniał, jak to jest iść po twardej ziemi. Każdy jego staw odczuwał siłę grawitacji. Jęknął.

Był zaklinowany w szczelinie skalnej i miał poczucie, że wszystko poszło nie tak, jak należy. Wioska w dole kłębiła się od niemieckich żołnierzy, Andrea wyruszył w noc na straceńczą misję, która praktycznie nie miała szans powodzenia, a Spiro, Miller i Carstairs siedzieli na dzwonnicy jak w pułapce. Benzedryna benzedryną, ale był przemęczony. Potrzebował przynajmniej czterech godzin snu, tylko że za godziny zacznie się rozwidniać. Wróg z pewnością czekał na dzień, by powyłuskiwać wchodzących w skład oddziału Piorun i wszystkich po kolei pojmać. Sprawą życia i śmierci stało się skoordynowane pokierowanie oddziałem i odzyskanie panowania nad sytuacją. Skoordynowane pokierowanie i panowanie nad sytuacją. Wielkie słowa, mające może sens w stosunku do ludzi, którzy nie byli tak zmęczeni, że ledwie się poruszali.

Popatrzył w dół, na cerkiew. Musiał się dostać do dzwonnicy - ustalić harmonogram wart, zorganizować drogę ucieczki, określić nowy punkt zborny o świcie. Musiał znaleźć sposób dostania się do cerkwi.

Nie istniała taka możliwość - chyba że zamierzał przejść pośród prawie pięciuset Niemców.

Na rynku rozstawiono warty, wszystko się uspokoiło, ścigający ochłonęli. Niemcom pozostawało jedynie czekać. Oddział Piorun prowadził zbyt wiele akcji naraz, jego członkowie za bardzo się angażowali, za mało spali i jednostka rozprysnęła się niczym kropla rtęci. Wyglądało na to, że szybko pojawi się napis THE END...

Nad głową Mallory'ego coś cicho szczęknięło, po jego prawej na skale pojawiła się jasna kreska. Następna po lewej. Liny.

Dochodziły do niego kolejne dźwięki: pobrzękiwanie i chrzęst. Buty.

Mallory zrozumiał, że pomylił się co do Niemców, jeśli chodzi o czekanie. Bardzo się śpieszyli - ktoś nastąpił im na odcisk, i to mocno. Przeszukiwali Akropol centymetr po centymetrze. Żołnierze Wehrmachtu nie wdrapywaliby się na linach po pionowych skalnych ścianach - to była akcja Sonderkommando. Akcja Dietera Wolfa, prowadzona bardzo profesjonalnie, śmiertelnie groźna.

Mallory odwiązał linę i spojrzał w dół. Na rynku było pięciu, może sześciu ludzi. Pousuwano to, co zniszczyły granaty Millera - zarówno gruz, jak i trupy. Część żołnierzy była na dole, inni spuszczały się na linach z góry, a Mallory znalazł się między nimi.

Sądząc po ruchach lin, żołnierze sprawdzali każdy kawałek skalnej ściany, wsadzali nosy w każde zagłębienie i za każdy występ, pracowali niezwykle metodycznie. W końcu jednak należało się tego spodziewać po elitarniej niemieckiej jednostce.

Żołnierze na dole, prawdopodobnie nadmiernie pewni siebie, wcale się nie kryli.

Mallory miał plan.

Wyciągnął rękę, chwycił najbliższą zwisającą z góry linę i żyłką z maszynki do golenia odciął spory kawałek. Potem złapał drugą linę, zrobił na niej odpowiedni węzeł i włożył w pętlę granat. Zwinął odciętą linę i zawiązał na występie skalnym.

Załóżył na snajperskiego mausera tłumik płomienia wylotowego. Żałował, że nie ma tłumika dźwięku, ale doszedł do wniosku, że spowalniają one prędkość wylotową pocisku, poza tym ich stalowa wykładzina wytrzymuje jedynie sześć strzałów. Załadował magazynek i cicho wsunął go w gniazdo. Chrzęst nad jego głową był teraz głośniejszy. Patrząc w celownik optyczny, rozejrzał się po rynku. Dwóch ludzi stało na otwartej przestrzeni, dwóch było za przyporami cerkwi, w alejce mignął hełm kolejnego.

Mallory zrobił w pamięci listę, planując wszystkie ruchy. Wziął głęboki wdech, wycelował w plamkę światła w uliczce i nacisnął spust.

Karabin ryknął. Przesunął broń, celując do dwójki przy cerkwi... jeden, dwa... - pierwszy żołnierz zginął, drugi dostał w bok, ale ciężki pocisk na pewno go unieruchomił. Kiedy repetował, ci, którzy stali na rynku, próbowali się schować - jeden padł i znieruchomiał, drugi zniknął za przyporą, pokazując podeszwy butów. Cholera, kot pewnie zaraz skoczy między gołębie...

Mallory wyciągnął zawleczkę granatu przywiązanego do liny i pchnął ją od siebie. Kopnął zwój liny, którą odciął, tak że jej koniec poleciał w dół. Trzymając się jej, zaczął schodzić, choć dla niewprawnego oka nie różniło się to wiele od spadania bez trzymanki. W dole rozległy się strzały, ale pociski padały daleko od niego. Mallory przycisnął but do skały i

odbił się, by polecieć szerokim łukiem w dół. Z góry doleciał krzyk przerażenia - człowiek z grupy pościgowej zauważył, że jego lina nagle zrobiła się krótsza. Ciało poleciało w dół, odbiło się od skały i z hukiem wpadło między budynki u stóp skalnej ściany. Mallory zwalniał tempo zejścia, przesuwał się na bok tak, by wylądować na dachu. Pociski, które leciały w jego kierunku, były coraz bliżej. W tym momencie nad jego głową rozległa się ogłuszająca eksplozja i na dół poleciało kolejne ciało. Granat zrobił swoje...

Mallory stanął na dachu, puścił linę i odtoczył się na bok, równocześnie zdejmując z ramienia pistolet maszynowy. Ciężko dyszał, serce waliło mu jak oszalałe. Nad sobą dostrzegł zjeżdżających na linach trzech ludzi. Strzelił do nich. Dwóch spadło, trzeci zniknął w zagłębieniu skalnym i z cienia natychmiast zaczęły błyskać ogniki wystrzałów. Pociski zabębniły o dach, odprysk kamienia ukłuł Mallory'ego w twarz. Czuł się nagi na odsłoniętym dachu. Puścił w górę serię i odtoczył się na sam skraj. Tuż nad głową załomotały mu kule wystrzeliwane z rynku. Słyszał własny ciężki oddech, czuł, jak spływa potem. Kolejna seria z góry powyrywała kawałki kamienia przy jego głowie. Popatrzył na rynek, wystrzelił serię, przetoczył się jeszcze raz i poleciał na kocie łby ulicy.

Leciał długo; wysokość, z której spadł, była większa, niż ocenił. Wylądował źle i skręcił kostkę, ból przeszył mu nogę aż do kolana. Turlając się na bok i równocześnie strzelając pomyślał: koniec ze wspinaniem się. Kierował się ku plamie cienia, kostka bolała jak cholera i wiedział, że ból jeszcze się nasili... jeśli w ogóle będzie miał okazję czuć ból.

Przeciął uliczkę i schował się w cieniu. Jego hełm uderzył w kamień. Był w ukryciu, niewidoczny. Bezpieczny.

Czuł się tak nie dłużej, niż trwa wyciągnięcie zawleczonego granatu. Powiedzmy - dwadzieścia sekund. Nie było wyjścia. Próbował pokonać wpływ benzedryny, ból i słabość i znaleźć jakieś wyjście. Miller był na dzwonnicy. Wills gdzieś z Klitemnestrą. Andrea... no tak, Bóg wie, gdzie był Andrea. Najważniejsze to nie zdradzić miejsca pobytu Millera, bo jeśli go znajdą, znajdą też Spira, a jeśli znajdą Spira, należało się spodziewać, że powie wszystko, co wie.

Mallory doszedł do wniosku, że z tej sytuacji nie ma żadnego wyjścia.

Zapanowała wielka cisza. Wytężał słuch, czekał na syk odbezpieczonego granatu i terkot metalu o kamień, który będzie oznaczał koniec.

Zamiast tego usłyszał głos.

- Herr Kapitan Mallory! - Był to głos wojskowego, dźwięczał w nim dziwny, niepokojący syk. Skąd on zna moje nazwisko? - zdziwił się Mallory. - Rozpoznaliśmy pana - usłyszał, jakby mówiący znał jego myśli - muszę przyznać, głównie po umiejętnościach.

Kapitanie Mallory, jest kilka spraw, które muszę poznać.

Jasne.

- Kim pan, do diabła, jest? - krzyknął Mallory. Sam się zdziwił, że może mówić, lecz wszystko wskazywało na to, że jego głos jest wyraźny i normalny.

- Hauptmann Dieter Wolf - padła odpowiedź.

Ku zaskoczeniu Mallory'ego, Niemiec wyszedł na oświetlony teren. Miał na głowie czapkę, której denko z przodu wysoko zagięto, a daszek dotykał oczu. Coś musiało mu kiedyś zniekształcić szczękę i co by powiedzieć, ten, kto ją składał, nie okazał się mistrzem w swym fachu. Żuchwa była potwornie krzywa, wydawało się, że nie jest w stanie do końca się zamknąć. Kiedy Wolf oddychał, w kącikach ust tworzyły się pęcherzyki śliny, co nadawało głosowi obrzydliwy syczący podźwięk. Kontuzja sprawiła, że Niemiec wyglądał, jakby stale się uśmiechał, tyle że nie jak człowiek, ale jak krokodyl. Wolf trzymał w dłoni lugera, ale przynajmniej nie miał granatów.

- Niech pan wyjdzie.

- Dobrze mi, gdzie jestem.

Skrzywiona szczęką Wolfa wykrzywiła się jeszcze bardziej.

- Powiedzmy to następująco: moi ludzie zajmują pozycje, z których bez trudu mogą coś zrzucić do pańskiej dziury, a podejrzewam, że byłoby szkoda. Dużo o panu słyszałem.

Mallory musiał przyznać, że rzeczywiście szkoda byłoby rzucać w niego granatem. Wahał się. Nagle poczuł suchość w ustach. Doznał już kiedyś czegoś takiego - był wówczas wysoko, na nie nazwanej górze nowozelandzkich Alp Południowych, bez jedzenia, unieruchomiony na samym szczycie stromego żlebu, na który zaczynało świecić słońce, a promienie mogły uwolnić po jakimś czasie lawinę kamieni. Była to suchość pojawiająca się wtedy, kiedy kończą się pomysły, a człowiek musi odłożyć rozsądek na bok i zaufać szczęściu w sytuacji, w której szczęście było dotychczas towarem deficytowym.

Mallory wstał. Kostka mocno już bolała. Wszystko go bolało. Mało prawdopodobne, by Hauptmann Wolf chciał z nim rozmawiać o pogodzie. Raczej przetnie go na pół serią z pistoletu.

- Bliżej - powiedział Wolf, celując Mallory'emu prosto w żołądek. Mallory czuł obecność Millera na dzwonnicy i z trudem się zmusił, by tam nie spojrzeć. - No tak... jesteśmy zaszczytzeni, że zechciał nas pan odwiedzić, Herr Kapitan Mallory. Oczywiście także pańscy przyjaciele: Oberst Andrea z rozbitego w pył motłochu, który kiedyś zwał się armią grecką, i naturalnie kapral Miller z korpusu zaopatrzeniowego...

- Kto?

Gadzia szczęka wykrzywiła się w grymasie mającym być chyba uśmiechem. Z kącika zniszczonych ust ściekała strużka śliny.

- Obaj nie żyją - oświadczył Wolf. - Andrea został zastrzelony, Millera powiesiliśmy.

- Przykro słyszeć - odparł Mallory. Kostka go dobijała. Mówił sobie, by nie wierzyć w ani jedno słowo Wolfa, ale czuł w żołądku ssanie spowodowane nie tylko głodem.

Ogarnęła go słabość ciężąca niczym ołowiany płaszcz. Pogódź się z tym... ich jest kilkuset, nas było czterech... Wolf kłamie, jeśli chodzi o Millera, ale z Andrea...

- A teraz - kontynuował Wolf z przerażającą pseudo - przyjacielskością - zabiję pana. - Delikatnie wsunął lugera do kabury i zapiął ją. Zdjął czapkę i położył ją na bloku skalnym. Sięgnął do paska od strony pleców i wyciągnął sztylet z dwudziestocentymetrowym ostrzem.

Mallory słyszał o tej broni - Wolf lubił nią krajać ludzi na kawałki.

- Jeszcze jedno - odezwał się Mallory. - Jestem mile połączony faktem, że mnie pan rozpoznał, ale czy mógłby pan wyjaśnić jak?

- Powinienem powiedzieć, że pamiętam pana z przedwojennych gazet, ale to nieprawda. Prawda jest taka, że zdradził mi pańskie nazwisko pański przyjaciel Andrea... podczas tortur. Zaraz po tym jak opowiedział o ładunkach umieszczonych w amatorski sposób na broni, która przyniesie nam zwycięstwo. - Wolf miał nie tylko złamaną szczękę. Bez czapki cała jego głowa wyglądała tak, jakby czaszka została zgnieciona i niefachowo uformowana. Nad oczami niczym dwie zimne szparki wypiętrzała się pokryta białym puszkami czaszka, jaką mogłoby wymodelować z ciasta dziecko o skłonnościach do makabry.

Mallory uśmiechnął się promiennym, pełnym entuzjazmu uśmiechem człowieka, który właśnie dostał wspaniały prezent. Andrea nie zdradziłby na torturach nawet daty. Ten niemiły okaz człowieka bez cienia wątpliwości kłamał.

- A teraz proszę podejść, kapitanie Mallory. - Wolf kiwał na niego jedną ręką, w drugiej trzymał wysunięty do przodu sztylet. Za każdym kiwnięciem posuwał się do przodu.

Mallory sięgnął po nóż, natychmiast sobie jednak przypomniał, że zgubił oba. Pomacał kostkę - nie wyglądała dobrze. Stał i obserwował sztylet przeciwnika.

Byli na oświetlonym placu sami, dzieliła ich dwumetrowa odległość, każdy znajdował się w centrum rozchodzących się promieniście cieni. Jeden miał na grzbiecie plecak i stał w miejscu, drugi poruszał się drobnymi, niemal kocimi ruchami. Obaj koncentrowali się na gwiazdce światła na czubku sztyletu Wolfa.

Wolf zbliżył się na tyle, że Mallory czuł odór jego potu. Był to kwaśny, agresywny, odrażający zapach. Wolf opuścił nadgarstek, przygotowując się do zadania pierwszego pchnięcia, więc Mallory przeniósł ciężar na zdrową nogę. Oczy Wolfa nie wyrażały nic.

Zatoczył dłonią ze sztyletem błyskawiczny krąg, zakończony ruchem w górę, aby dźgnąć przeciwnika w brzuch, pchnął jednak w pustkę, gdyż Mallory się przesunął. Odsunął się tak, jak toreador odsuwa się od rogów szarżującego byka i równocześnie sięgnął do nadgarstka atakującego, by wykorzystując impet jego ruchu w przód, złamać mu rękę w łokciu.

Kiedy złapał Wolfa za nadgarstek, wiedział, że nic z tego nie wyjdzie. Esesman miał przedramię grubości słupa telegraficznego, łapsko człowieka, który dobrze jadł i zdrowo spał, natomiast dłonie Mallory'ego były zmęczone walką i stałym kontaktem ze skałą, a zapas sił bliski zera. Nie miał szans na przytrzymanie Niemca, który bez trudu oswobodził rękę i na dodatek wykonał błyskawiczny zamachowy cios lewą ręką, tak silny, że Mallory'emu zadzwoniło w uszach. Z trudem utrzymał się na nogach. Wolf znów nacierał, robiąc nożem szybkie zakola. Mallory kopnął go w kolano i trafił, tylko że uderzył kontuzjowaną nogą i pod wpływem nagłego bólu padł na ziemię. Równocześnie coś go zapiekło w zębra i poczuł w tym miejscu chłodne powietrze. Wolf go zranił, na szczęście niegroźnie. Była to powierzchowna rana na żebrach.

Sytuacja stanie się jednak groźniejsza.

Zmusił się, by wstać.

Wolf czekał. Oddychał równo i spokojnie, z każdym oddechem w kącikach zdeformowanych ust tworzyły się i pękały pęcherzyki śliny.

- Teraz cię załatwię - syknął.

Posuwał się trzymając sztylet przed sobą jak miecz. Mallory wiedział, że znalazł się w poważnych kłopotach, nie myślał jednak o tym, że ma zginąć. Nie było czasu na strach ani na myślenie, co będzie. Gra nazywała się przeżycie, każda sekunda była nagrodą wyrwaną ze szczytujących się szczęk śmierci.

Ruszył na atakującą rękę, zaklinował ją pod pachą i walnął głową (ciągle miał na niej hełm) w obrzydliwą zuchwę Wolfa, wskutek czego rozległ się chrzęst łamanych zębów. Uniósł kolano, by uderzyć nim w krocze przeciwnika, jego cios został jednak zablokowany nogą Wolfa, która była chyba zrobiona z twardego drewna. Zaklinowana ręka zaczęła go obejmować. Spróbował wymknąć się, ale ręce Niemca były bezlitosne, a on taki zmęczony...

Świat nagle oszalał.

Rynek wypełnił rozrywający uszy odgłos, jakby w jednej chwili zaczęto walić w klawisze tysiąca maszyn do pisania i dołączyło się do tego buczenie tysięcy szerszeni, którym naraz zniszczono gniazda. Rozległy się ponadto chyba dwie eksplozje. Czując, że ręce Wolfa na sekundę puszczają, Mallory jeszcze raz walnął go głową w twarz. Tym razem pękł nos, Niemiec stęknął i zatoczył się, sztylet wypadł mu z ręki i stuknął o kocie łby rynku. Zaraz

jednak złapał Mallory'ego za gardło i zaczął go dusić. Po raz pierwszy Mallory pomyślał, że jego czas nadszedł. Ogarnął go lęk przed śmiercią, obrzydliwy, czarny stwór...

Trwało to jednak tylko ułamek sekundy, nagle bowiem obrzydliwe ręce puściły go i Mallory poleciał do tyłu - wolny.

- Weź broń - usłyszał głos.

Znajomy głos.

Głos Andrei.

Miller uznał, że było to trudne do zniesienia pięć minut.

Siedzieli w dzwonnicy cicho i nikomu nie wadząc, Millerowi udało się nawet na chwilę zmrużyć oko - oczywiście tylko na chwilę, po pierwsze dlatego, że nie ufał Carstairsowi, a po drugie dlatego, że Spiro trząsał się jak przerażony królik i ciągle coś mruczał o kulach, broni i powtarzał „O Jezu, jak my się stąd wydostaniemy?”. Naturalnie niepokoił się o Mallory'ego, zwłaszcza po numerze z reflektorami, lecz znał go tak dobrze, że umiał odróżnić, kiedy Mallory jest w tarapatach, a kiedy prowadzi akcję dywersyjną. Numer z reflektorami - choć Miller dostał przy nim gęziej skórki - był ewidentnie działaniem dywersyjnym. Kiedy Mallory zniknął, zapadła cisza, która Millerowi bardzo się podobała. Potem strzelano i na koniec rozległ się głos na placu.

Głos był całkiem inną parą kaloszy.

Obudził Millera, a on nie lubił, jak mu się to robi. Popatrzył na plac przez otwór odpływowy w podłodze i ujrzał wielkiego mężczyznę w bryczesach, wojskowych buciorach i czapce z wysoko podniesionym z przodu denkiem, stojącego bez ruchu w aroganckiej postawie wśród leżących wokół żołnierzy. Potem zobaczył, jak Mallory kuśtykając wychodzi z cienia na jego spotkanie. Na ten widok Miller poczuł ssanie w żołądku.

Nie wynikało to wyłącznie z tego powodu, że Mallory wyglądał na zmęczonego, a potężny Niemiec na świeżutkiego jak dopiero co położona farba - ze swego miejsca widział różne rzeczy, których nie mógł widzieć Mallory. W sztabie nazwano by to „płynną sytuacją”, ale w sztabach wymyślano rozmaite określenia. Miller miał na to nazwę „kłopoty”.

Za rogiem, za plecami Mallory'ego, ustawiono karabin maszynowy. Nie do końca wiadomo dlaczego, Miller jednak podejrzewał, że może to mieć związek z chęcią ukarania cywilnych robotników. Prawdę mówiąc, nie bardzo się nimi martwił, uważał bowiem, że kiedy zostaną wysadzone rakiety, Niemcy zechcą skorzystać z każdej pary rąk do pomocy. Tak naprawdę zajmowało go co innego: ciemnymi uliczkami, przeskakując z plamy mroku w plamę mroku, zbliżał się do rynku cień. Wielki, nieprawdopodobnie wielki cień - cień o barach niedźwiedzia, ale poruszający się lekko jak motyl. Pchnął Carstairsa w żebra.

- Niech się pan przygotuje do osłony ogniem.

- Żartujecie, kapralu - odparł Carstairs, nie ruszając się z kąta, w który się wcisnął. - Będą nas mieli w sekundę.

- Posłuchaj, kapitanie. Jeśli nie dasz osłony, rozwalę ci ten twój cholerny łeb.

- Kapralu, czy zdajecie sobie sprawę, do kogo mówicie?

- Rozwalę panu ten pański cholerny łeb, sir - powtórzył Miller i wyjaśnił, o co mu chodzi.

W dole rozległ się odgłos upadającego na kocie łby sztyletu. Niemiec w bryczesach trzymał Mallory'ego za gardło i najwyraźniej skręcał mu kark.

- Ognia! - krzyknął w tym momencie Miller. Wstał i rzucił dwa granaty, a następnie skierował lufę schmeissera w stronę trzech głów na stanowisku spandaua i puścił dwie krótkie serie. Za jego plecami trzasnął wąż i buty Carstairsa załomotały o drabinę. Jeden z żołnierzy obsługujących erkaem wstał, zaraz jednak padł w poprzek na lufę karabinu. Granaty eksplodowały, wyrzucając go wraz z dwoma kolegami ze stanowiska. W oknach zrobił się ruch - Niemcy chowali się. Miller czekał na zmasowany ogień, który skosi Mallory'ego.

Tymczasem cień wyłonił się z uliczki. Nie był już cieniem, lecz Andrea, który ruszył wielkimi krokami przez rynek. Potężnym przedramieniem objął za szyję mężczyznę z powykrzywianą twarzą i oderwał go od Mallory'ego. Stał tak, aby osłonić swego przyjaciela plecami, a potem zaczął się wycofywać w kierunku drzwi cerkwi, używając krzywogłowego - Hauptmanna Wolfa osobiście - jako ludzkiej tarczy (choć ktokolwiek, kto znał Wolfa, nie użyłby względem niego określenia „ludzki”).

Akcja mogła robić wrażenie. Carstairs otworzył drzwi cerkwi i Andrea z Mallorym weszli do środka. Miller zszedł szybko po drabinie na dół, by znaleźć się w zbitej gęsto grupce, złożonej z Carstairsa, Spira, Mallory'ego i Andrei oraz Wolfa służącego za worek z piaskiem.

- Stańcie za mną - rzucił Andrea. Twarz Wolfa wcale się nie podobała Millerowi. Chyba zaklął, ale przedramię Andrei się napięło i przypominająca pogniecioną dynię gęba spurpurowiała. - Teraz!

Miller - tak na wszelki wypadek - delikatnie wyjął Carstairsowi schmeissera z rąk i podał go Mallory'emu. Wyszli z cerkwi i ruszyli w kierunku jednej z uliczek, przy czym musieli przejść przez rynek. Miller czuł się jak na talerzu, na szczęście żaden z żołnierzy nie chciał ryzykować zranienia swego dowódcy.

Za cerkwią pojawiła się postać w szarym mundurze, nie w polowej panterce, i uniosła do ramienia broń. Miller wycelował i posłał czteropociskową serię. Niemiec zniknął w cieniu.

- Dzięki - powiedział Mallory.

- Nie warto wspominać - odparł Miller.

Co prawda się uśmiechali, ale zdawali sobie sprawę z tego, że o ile ludzie Wolfa nie będą chcieli postrzelić swego dowódcy, to żołnierze Wehrmachtu nie będą mieć oporów. Sądząc po hałasie i zamieszaniu, dolatujących z głębi wioski, należało zakładać, że wkrótce zjawią się niemieckie posiłki. Tym razem z pewnością wykonają swoją robotę gruntownie.

Weszli w uliczkę. Po obu jej stronach były domy, zaraz jednak lewy szereg przeszedł w lity mur, w którym znajdowały się stopnie prowadzące na obronne blanki.

- Na górę! - krzyknął Andrea.

Zaczęli się wspinać. Wioska za ich plecami, choć w dalszym ciągu oświetlona, nagle całkowicie ucichła. Mallory popatrzył na biegnącą za blankami ścieżkę - stała tam wieża strażnicza, ale bez żołnierzy.

- Na drugą stronę - rozkazał wielki Grek. Mallory zdjął plecak i przerzucił linę przez mur.

- Spiro! - rozkazał.

- Nie - odparł Grek. - Nie idę. Zostaję. Wysoko, kule, bardzo źle.

- Pójdiesz - stwierdził Mallory. - Obwiąż się wokół szyi i pasa tak jak ja.

- Tam jest morze - bronił się Spiro. - Bardzo źle, mokro, nie pływam dobrze.

- Pola, nie morze - sprostował Andrea. - Rowy. Włóż!

Złapał Spira za grube nadgarstki, Mallory obwiązał go pod pachami liną i pchnął na drugą stronę muru. Opuszczali go, aż wydał z siebie dźwięk - ni to skrzek, ni to krzyk - świadczący o tym, że jest na dole.

W wiosce w dalszym ciągu było cicho.

- Oszaleliście - odezwał się Wolf. - Poddajcie się.

- Carstairs, teraz ty - rzekł Mallory.

Kapitan złapał linę i skoczył za mur.

- Miller.

Zapaliły się reflektory na skale. Domy w wiosce zrobiły się białe niczym wyschłe kości i choć w dalszym ciągu stały jak milczący świadkowie, świat wokół się zmieniał. Za oświetlonym prostokątem niebo zdawało się blednąć, a od bram dolatywał odgłos biegnących podkutych butów wojskowych.

PIĄTEK 3.00 - SOBOTA 3.00

Kiedy Miller przeniósł nogi na drugą stronę muru, zza zakrętu wypadły pierwsze szare mundury. Wyciągnął się na murze, przyłożył pistolet maszynowy do ramienia i pociągnął za spust. Dwóch żołnierzy padło, reszta się cofnęła.

- Ruszaj! - krzyknął Mallory.

Gdyby Miller był sam, być może by się zawahał, wiedział jednak, że jeśli Mallory mówi takim tonem, trzeba robić, co każe. Złapał linę i spuścił się po niej przekładając dłonie. Słyszał głos krzyczący po niemiecku. Był to głos Andrei, który wykrzykiwał coś o Hauptmannie Wolfie.

Miller dotknął ziemi.

- Gdzie? - spytał.

- Tutaj! - pisnął Spiro. - Dzięki Bogu jesteś.

- Teraz mnie słuchać! - krzyknął Andrea. - Mam Hauptmanna Wolfa i chyba wszyscy go znacie. Jest w wielkim niebezpieczeństwie. Nie strzelajcie!

Stukot butów ucichł. Uliczka po drugiej stronie muru była pusta. Zapadła cisza, nie była to jednak cisza panująca w pustym miejscu, ale cisza greckiej wioski pełnej wstrzymujących oddech greckich robotników przymusowych, cisza plutonu żołnierzy Wehrmachtu, czekających, aż Andrea im się pokaże. Cisza, jaka panuje między ostatnim tyknięciem zegara a wybuchem bomby.

Z uliczki padł krótki rozkaz.

- Nein! - wrzasnął Wolf.

Rozkaz dowodzącego oficera Wehrmachtu nie mógł być jednak odwołany przez esesmana w niewoli. Pół plutonu przykucnęło, by osłaniać kolegów ogniem, druga połowa ruszyła przed siebie.

Kiedy padła pierwsza salwa, Andrea poczuł, jak ciało Wolfa w jego rękach dygocze. Jeden z pocisków musnął mu przedramię, które zasłaniał Niemiec. Ciało Wolfa sflaczało, więc je puścił i odturlał się na bok, czując, że ma mundur przesączony krwią. Mallory już był po drugiej stronie muru. Andrea wyciągnął zawleczkę granatu, położył go ostrożnie w niewielkim zagłębieniu na wysokości miejsca, gdzie była przerzucona lina, wspiął się na górę i przeskoczył mur.

Zsuwał się cicho w noc, trzymając linę zgięciem łokcia i hamował stając jedną stopą

na drugiej. Na tle nieba - jaśniejszego w stosunku do panującej w dole ciemności - zobaczył, jak zza muru wychyla się jedna, potem druga głowa. Z dołu strzelono, by dać mu osłonę, i przestał liczyć, mając nadzieję, że czas minął.

Ze szczytu muru rozległ się potężny głuchy dźwięk wybuchu i przecięta lina natychmiast straciła swą sprężystość. Na górze wrzeszczano, ale Andrea niewiele słyszał, ponieważ ziemia w dole nagle ruszyła mu na spotkanie i po pokonaniu prawie siedmiu metrów uderzył w nią jak taran. Zrobił komandoski przewrót, jeden, drugi, aby znaleźć się jak najdalej od ściany, nie zwracał uwagi, że tam, gdzie wylądował, lądują także dwa ciała, wyrzucone przez eksplozję granatu. Uciekał w ciemność.

- Tutaj - usłyszał głos. Mallory.

Jeszcze dwa kroki i Andrea znalazł się w czymś, co sądząc po smrodzie i brzegach było rowem odpływowym. Oczy przyzwyczajały mu się do ciemności i widział, że jego głowa jest na poziomie któregoś z pól pokrywających każdy centymetr kwadratowy na tej wyspie.

- Tutaj - powtórzył Mallory.

Andrea pochylał się i zaczął biec. Tuż nad jego głową śmigały pociski smugowe. W ich błyskach widział trzciny, żdźbła traw, głębokie ślady stóp biegnących przed nim ludzi. Przypomniały mu się czasy, kiedy miał plecak, wyposażenie i mapy.

Szczególnie mapy.

Andrea był maszyną do walki, ale sama umiejętność walki nie uczyni z człowieka pułkownika. Pułkownikiem zostaje się mając zmysł taktyczny i umiejętność czytania mapy, umożliwiającą pełną orientację w dowolnym terenie, aby wykonać postawione zadanie.

Teraz musieli dotrzeć do lotniska. Między miejscem, gdzie przeskoczyli mur, a lotniskiem mokradła były najszersze i najbardziej śmierdzące. Na południu znajdował się nasyp i droga, której z pewnością uważnie pilnowano. Na północy pola dochodziły do plaży i nabrzeża. Jeśli podane im w Plymouth informacje były prawidłowe, nabrzeże było silnie strzeżone, ale nie tak jak droga.

Od pewnego czasu nie było wątpliwości, że muszą uciekać w stronę nabrzeża.

Dogonił kulejącego Mallory'ego, który popychał przed sobą Spira. Dobry człowiek ten Spiro, oczywiście hałaśliwy, ale odważnie dotarł aż tutaj. Zrobili przerwę, aby się rozejrzeć.

Od podstawy skalnego masywu odcinały się surowo i ciemno wysokie mury obronne. Od czasu do czasu z ich blank puszczano w kierunku pól serię pocisków smugowych. Wyglądało na to, że żołnierze strzelają na północ, ku nasypowi, co było objawem wzmożonego napięcia paralizującego działania oddziały wojskowego. Andrea i Mallory

zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że wkrótce się to skończy, żołnierze znowu się zorganizują i wtedy mokradła zostaną przeczesane żdźbło po żdźbło i nie uda im się uciec ani zabrać Niemcom Enigmy.

- No cóż, Keith, chyba będziemy musieli trochę pozełgować - powiedział Andrea.

Lecąca sowa ujrzałaby na polu grupkę umazanych błotem mężczyzn, którzy rozchodzą się strategicznie na boki i ruszają biegiem w kierunku zatoki wcinającej się w północne zbocze. Poruszali się tak, by wykorzystać każde nadarzające się schronienie - tu kępę oleandrów, tam jakąś szopę, ale ich celem pozostawał kawałek pokrytej ubitym żwirem i mułem ziemi z długim nabrzeżem i wychodzącym daleko w wodę pirssem, połączonej z wodną bramą Akropolu ponad kilometrową drogą.

Godzinę później niebo zrobiło się szare i wyspa zaczęła się wynurzać z anonimowości nocy. W gajach oliwkowych na zachodnich zboczach masywu wisiała mgła, wypływająca z zagłębień skalnych w górnych partiach Akropolu. Za północno - wschodnim przyłądkiem unosiła się niczym porzecz brzoskwiniowa chmura. Miller leżał w ostrej trawie przy skraju drogi. Po prawej, w półmroku majaczył Akropol, po lewej na tle falującego morza widać było stojącą przy pirsie wartownię. Oba obiekty łączyła droga.

Mallory zmrużył bolące oczy.

- Załatw przewód telefoniczny i wchodzimy.

Miller popatrzył na stojące nieco w głębi baraki. Dostrzegł między nimi inne kontury - betonowe przysadziste pękate formy. Jeśli mieli szczęście, były tam karabiny maszynowe, jeśli nie - osiemdziesiątkióssemki.

Westchnął, potoczył się w kierunku kabla i przeciął go. Potem zaczął się przygotowywać.

Nad nim i wokół niego mogło być Niemców w bród, ale Dusty Miller czuł się, jakby wrócił do domu. To było jego życie, życie żołnierza Pustynnej Grupy Działań Dalekiego Zasięgu: był na nizinie, siedział skulony w rowie i czekał na konwój.

Miller zawsze był zwolennikiem subtelnych działań. W czasie prohibicji, kiedy inni wozili gorzałkę z Kanady w ciężko opancerzonych ciężarówkach z podrasowanymi maksymalnie silnikami, on stał się artystą w tej dziedzinie. Pozbywszy się głównych konkurentów, przez nakłonienie ich do staranowania barki pełnej nitrogliceryny, kupił sobie wagon kolejowy, który podłączano do różnych pociągów. Wyruszał z Thunder Bay załadowany kanadyjską żytniówką, przetaczano go na bocznice na północ od Duluth, gdzie przeładowywano zawartość do prywatnego ambulansu, którego umundurowany kierowca rozwoził towar po domach co wybredniejszych klientów. Podczas gdy inni zabijali się z

powodu elegancko zaetykietowanych butelek płynu do czyszczenia klozetów, towar Millera był czysty jak łza i przybywał regularnie jak przyływ. W bardzo krótkim czasie zarobił sto tysięcy dolarów. Porządny interes wymagał porządku i nie dało się go prowadzić za pomocą superszybkich samochodów i karabinów maszynowych. Nie było jego winą, że kopalnia złota, którą kupił za zarobione pieniądze, zawierała mniej złota niż jest go w ustach przeciętnego trzylatka. Subtelność, myślał Miller wciskając nos w suchą trawę. Subtelność była wszystkim.

Przejechała obok nich pierwsza ciężarówka konwoju, druga była na ich wysokości. Miller nacisnął przycisk w dłoni i pod zbiornikiem paliwa drugiej ciężarówki rozbłysnął jaskrawy płomień. Samochód skręcił i zablokował drogę. Z wraka zaczął się wydobywać gęsty dym, po części pochodzący z płonącego auta, po części ze spalania się specjalnego proszku, który Miller dodawał do swych patentowanych bomb, zmniejszających ruch samochodowy. Wiatr praktycznie nie wiał i dym unosił się gęstą chmurą nad drogą, zasłaniając widok tego, co się na niej dzieje. Ktoś gdzieś strzelał, ale Miller nie słyszał pocisków. Sądząc po odgłosach, Andrea i Mallory robili sobie wolne przejście. Pchając przed sobą Carstairsa i Spira, Miller wskoczył na tył pierwszej ciężarówki, która zaraz potem wyraźnie przyśpieszyła. Z tyłu kłębił się dym, czyniąc niewidocznymi rozplaszczone na jezdni nieruchome postacie. Sądząc po tym, jak ciężarówka zarzucała, musiała mieć poszarpane przynajmniej dwie opony. Oczy Spira błędziły jak zwariowane, Carstairs gładził wąsy.

- Fajne maszyny te ciężarówki - powiedział Miller, patrząc na zegarek. - Choć jazda będzie okropna. O, popatrzcie, zostawili nam karabin maszynowy.

Ciężarówka wjechała na teren portu jak krab - z poszarpanymi tylnymi oponami i ciągnąc za sobą chmurę pyłu. Twarze za oknami w budynku kapitanatu były blade i sprawiały wrażenie zdenerwowanych. Telefony przed chwilą zamilkły i coś dziwnego działo się na drodze. Wszystko wskazywało jednak na to, że przybyły posiłki.

Z ciężarówki wyszedł wielki żołnierz w hełmie Wehrmachtu i ludzie się odprężyli. Facet wyglądał dokładnie na kogoś, kogo dobrze mieć w pobliżu, kiedy sprawy nie najlepiej się mają. Dzięki Bogu, jeden z naszych, pomyśleli ludzie w siedzibie kapitanatu.

- Morgen - przywitał się olbrzym i szeroko uśmiechnął. Andrea był znany z szerokości swego uśmiechu. - Telefony są popsute.

- Powiedz mi, co tu się dzieje? - spytał zastępca komendanta portu.

- W obozie jest trochę zamieszania, przyłapano esesmana na cudzołóstwie z kozą. Grekom się to nie podoba.

- Biedna koza - mruknął zastępca komendanta.
- Bierzemy łódź. Musimy sprawdzić teren wokół lotniska.
- Miły dzień na taką robótkę. Kawa potem?
- Może - odparł Andrea i odszedł.

Zastępca komendanta portu ziewnął. Teraz, kiedy statki przestały przyplływać, służba na tym zakurzonym nabrzeżu była nudna. Czasem tylko przysłano jakieś zapasy albo paliwo, alkohol i tlen do fabryki, albo części lotnicze, które trzeba było przewozić do płytkiej zatoki przy pasie startowym. Poza tym żołnierze się opalali, a każdy z nich był napalony, wkurzony i znudzony. Podobno lada dzień miano odpalać raketę, ale kto wie...

Olbrzym i jego czterej towarzysze już stali na kei. Jeden wyglądał na cywila i coś było nie tak z ich butami, ale nie był to problem zastępcy komendanta portu. Uruchomili motorówkę i weszli na pokład. Zrzucili cumy, motorówka odpłynęła od nabrzeża i ruszyła na atramentowe wody zatoki znajdującej się między pirsem a lotniskiem. Szybko malała, kierując się na nabrzeże do rozładunku paliwa na potrzeby lotniska. Jezu... komendant znów ziewnął. Ale im się śpieszy...

W tym momencie z chmury dymu wyjechał motocykl z koszem. Żołnierz w koszu wisiał jak wór na zamontowanym tam karabinie maszynowym, prowadzący pojazd zsiadł, zaczął łomotać w drzwi budynku i coś wykrzykiwać. Zastępca komendanta portu potrzebował kilku minut, by zrozumieć, o co mu chodzi. Kiedy wreszcie zrozumiał, natychmiast pożałował, że w ogóle próbował.

- Przepraszam, że pytam - odezwał się Carstairs - ale jak zamierza się pan przedostać przez płot?

- Coś wymyślimy - odparł Miller, który siedział na dnie motorówki i wsuwał zapalniki w kostki plastiku. Spiro odwrócił wzrok jak dziecko, które wie, że życie jest bardzo niebezpieczne, ale nie chce się pogodzić z tym, jak bardzo.

- Weźmiemy samolot - powiedział Mallory.

- Oczywiście - kiwnął głową Carstairs.

- Co? - niemal wrzasnął Spiro, który nie był w stanie dłużej nie zwracać uwagi na to, co słyszały jego uszy. - Chcecie ukraść samolot?

- Ukraść, kupić, pożyczyć. Kto wie? - Carstairs wyciągnął papierośnicę w kierunku Spira. - Tureckie z lewej, wirgińskie z prawej.

- Pluję na twoje tureckie - automatycznie odpowiedział Spiro. - Żadnego palenia, za dużo tu wybuchowych rzeczy.

- Boże drogi... - westchnął Carstairs i przybliżył złotą zapalniczkę do papierosa. -

Przecież to można jeść.

- Nie! - zawył Grek. - Chcesz mieć wybuch w żołądku, to jedz. Spiro nie...

- Cicho! - skarcił go Mallory. Obserwował przez lornetkę brzeg, skąd odpłynęli. Żołnierze wbiegali do parku maszynowego obok budynku kapitanatu, zaczęła się także krzątania na stanowisku osiemdziesiątkióssemki, przy której zaparkowali ciężarówkę. Motorówka telepała się po spokojnej wodzie zatoki. Byli w połowie drogi. Jeszcze zbyt blisko. - Trochę w lewo.

Andrea pchnął rumpel biodrem i motorówka zmieniła kurs. Z wylotu lufy osiemdziesiątkióssemki błysnął płomień. Huknęło w momencie kiedy pocisk uderzył w wodę jakieś dwadzieścia pięć metrów w prawo od nich i w powietrze buchnął żółty dym eksplodującego silnego materiału wybuchowego.

- Trochę w prawo - rzucił Mallory.

Nastąpił kolejny wystrzał. Tym razem pocisk przemknął z prędkością pociągu pośpiesznego, trącił powierzchnię wody, odbił się od niej i zrobił wyrwę w plaży. Nikt się nie ucieszył - byli w maleńkiej drewnianej łupinie na środku niewielkiej zatoki, całkowicie odsłonięci.

- To by było na tyle - stwierdził błady Carstairs. - Następny trafia. Boże, co my tu robimy? Jak ryba w beczce...

- Cicho! - wrzasnął Spiro. - Tchórz! Bądź mężczyzną!

Osiemdziesiątkaóssemka ponownie kaszlnęła i tym razem pocisk trafił tak blisko, że opryskało ich śmierdzącą chemikaliami pianą. Nadleciał następny, plasnął o wodę, podskoczył i rozprysnął się na brzegu.

- Ha! - Spiro najwyraźniej się nakręcał. - Znow nie trafili! Tępe kanciastogłowe debile!

- Zamknij się. - Carstairs pękał. - Już nie żyjemy. Co mnie, do diabła, podkusiło...

W okolicy budynku kapitanatu rozległ się potężny huk i w niebo wzniósł się wielki słup dymu.

- Trochę w lewo - powiedział Mallory.

Carstairs podniósł się i wywalił gały w kierunku brzegu. Kiedy dym się rozwiął, stało się jasne, że osiemdziesiątkaóssemka została zniszczona. Leżała na skraju wielkiego krateru i była tylko masą poskręcane metalu. Jeśli chodzi o ciężarówkę, zniknęła z powierzchni ziemi.

- Co to było?

Miller popatrzył na niego niewinnie.

- Chyba zostawiłem w ciężarówce bombę. Cóż za nieuwaga...

Carstairs przełknął, ale nic nie powiedział. Motorówka telepała się dalej. Brzeg coraz bardziej się zbliżał.

- Dlaczego nie strzelają z karabinów maszynowych? - spytał w końcu.

Mallory patrzył przed siebie.

- Ze względu na paliwo.

- Paliwo?

Miller wskazał grzecznie palcem do przodu. Na brzegu przed nimi ciągnął się pas białego piasku. Na nabrzeżu wznosiła się łącha spalonej słońcem trawy, jeszcze wyżej widać było niewielkie kolorowe obiekty.

- Zbiorniki ropy - wyjaśnił. - Benzyna. - Wskazał do tyłu i powiedział: - Tam są twoje karabiny maszynowe, a tam magazyn paliwa na lotnisku - wskazał do przodu. - Jeśli nas nie trafią i coś zrykoszetuje, wywali wszystko. Mają problem, stary.

Carstairs przez chwilę myślał, czy nie zwrócić uwagi na fakt, że ich obecność w ostrzeliwanym magazynie nie tylko dla Niemców może być problematyczna, ale w tym towarzystwie wolał się nie odzywać. Wkrótce i tak będzie po wszystkim.

Niezależnie jak to wariactwo się skończy.

Od strony morza lotnisko nie miało wież strażniczych - można było wybaczyć odpowiedzialnym za bezpieczeństwo ludziom, że tak daleko na Morzu Egejskim nie uwzględnili możliwości ataku od strony wody. Kiedy jednak motorówka znalazła się w odległości kilkuset metrów od brzegu, pasem szarozielonej trawy, ciągnącym się między plażą a ogrodzeniem, z hukiem nadjechała ciężarówka. Andrea przekazał rumpel Mallory'emu, popatrzył wzdłuż lufy erkaemu, który zabrał z ciężarówki, i rozpoczął ogień. Ciężarówka nagle skręciła i wjechała na plażę. Andrea kosił wyskakujące z samochodu figurki i po kilkunastu sekundach wszystkie przestały się ruszać. Dla pewności puścił serię w stojące na nabrzeżu beczki i niemal natychmiast poczuli specyficzne podmuchy eksplodującej benzyny, po których nadpłynął słodkawy smród wznoszącego się w górę czarnego dymu. Weszli na brzeg i nisko pochyleni sunęli do płotu. Nie było czasu na finezję. Mallory otworzył w silniku motorówki pokrywę reduktora, wyjął jakiś element i schował go do kieszeni. Miller przymocował do ogrodzenia kostkę plastiku i wsunął zapalnik.

- Na ziemię! - krzyknął.

Trzydzieści sekund później huk i fontanna piasku poinformowały ich, że płot przestał istnieć.

Od strony zniszczonej ciężarówki strzelano, więc ukryli się w leju po wybuchu i

ustawili na jego skraju ręczny karabin maszynowy Spandau. Mieli przed sobą kilka tysięcy metrów kwadratowych terenu otoczonego niewysokim wałem ziemnym, zastawionego beczkami z ropą naftową i benzyną. Na skraju tego magazynu stała cysterna.

- No... - odezwał się Miller. - Sądzę, że nie będą zbyt wiele strzelać.

Spiro nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Mallory po dokonaniu oceny sytuacji doszedł do wniosku, że panują nad nią.

- Nie zrobią nic, co mogłoby doprowadzić do zniszczenia zapasów paliwa - oznajmił. - Na razie zostaniemy tutaj. Carstairs, co pan proponuje?

- Potrzebujemy transportu - odparł Carstairs. Jego skóra wokół ust była blada, wokół nosa mocno ściągnięta. Wyjął papierośnicę. - Tureckie z lewej, wir...

- Nie tutaj - łagodnie powiedział Mallory. - Pójdzie pan tam z Millerem - wskazał na stojącą przy bramie cysternę na zużyty olej napędowy - który zepnie ją na krótko, przyjedzie pan do mnie i pojedziemy we dwóch ukraść samolot. Potem wracamy po pozostałych i odlatujemy.

- Dziecinna igraszka - stwierdził Carstairs.

Pięć minut później Carstairs podjechał cysterną i Mallory wsiadł. Wyjechali z magazynu paliw i zaczęli przecinać lądowisko. Andrea szepnął coś Millerowi, który poszedł na drugi koniec magazynu paliw. Kiedy wrócił, byli z nim Wills i Klitemnestra.

- Dzień dobry - z wyszukaną elegancją powiedział Andrea.

- Cześć - odparł Wills.

Klitemnestra trzymała go za rękę.

- Widzę, że nie zgubiliście drogi.

- Jesteśmy tu prawie całą noc - odparł Wills i podszedł do zbiornika przeciwpożarowego. Obok, jakby nigdy nic, leżało na ziemi pudło z polerowanego mahoniu, zaopatrzone w uchwyt z parcianego pasa.

- Oj tak... - wydusił z siebie Spiro - oj tak, to ta cholerna machina, przez którą wszyscy poginiemy. Pluję na nią - tu rzeczywiście splunął - i przeklinam ją. Oby trafiła na dno piekła.

- Jasne... - mruknął Miller.

- Lepiej się schowajmy - zaproponował Andrea, równocześnie wsuwając naboje w magazynek snajperskiego karabinu Carstairsa. - Masz. - Podał go Willsowi i spytał Klitemnestrę: - Też chcesz broń?

- A jak myślisz? - odparła, a jej oczy błysnęły ciemnym ogniem.

Andrea wzruszył ramionami.

- Osłaniaj mnie - powiedział i wydał jej instrukcje.

Miller i Klitemnestra weszli na grzbiet ziemnego wału zabezpieczającego zbiorniki. W dole rozciągało się oświetlone słońcem lotnisko, upstrzone kępami trawy przyciskanej do ziemi przez wiatr. Poruszały się na nim niewielkie figurki zmierzające w ich stronę.

Andrea bez słowa wziął się do pracy. Wtoczył na obwałowanie dwie dwustulitrowe beczki benzyny lotniczej i ustawił je tak, że jedną od drugiej dzieliła trzymetrowa odległość. Między beczkami postawił spandau. Miller wtaczał mniejsze beczki na obwałowanie i układał je piramidalnie.

- Niech mnie cholera... - powiedział Wills lekko blednąc. - To Ciotka Sally.

- Co to znaczy? - Klitemnestra sprawdzała broń. Najbliżsi żołnierze byli oddaleni o czterysta metrów.

- Jeśli Niemcy zaczną do nas strzelać, istnieje spore prawdopodobieństwo, że trafią którąś z beczek i może się ona zapalić, przewrócić i stoczyć na inne beczki, co spowoduje wysadzenie całego magazynu paliw. Ich statek zaopatrzeniowy został storpedowany, więc to paliwo ma dla nich wielkie znaczenie i nie będą chcieli go stracić.

- To dobrze - odparła Klitemnestra wzruszając szerokimi ramionami. - Nie będą więc strzelać. To dobrze, prawda?

- Oczywiście... tylko że to nie jest... normalne...

- Nic nie jest teraz zbyt normalne. - Pierwszy niemiecki żołnierz wszedł w zasięg jej broni i zaczęła pociągać za spust. W tej samej chwili ciężko zakaszła spandau Andrei. Na nagiej brązowej płaszczyźnie lotniska zaczęły się przewracać małe figurki.

Wills westchnął i strzelił. Zarepetował, popatrzył i ponownie strzelił. Poczł lewą dłoń, że lufa się rozgrzała. Niemców było dużo - bardzo dużo. Co prawda nie strzelali, więc zasłona z beczek okazała się dobrym pomysłem, ale było ich zbyt dużo i dlatego prędzej czy później odbiją magazyn paliw, chyba że...

Wills zdawał sobie sprawę z tego, że Andrea musi mieć jakiś plan dodatkowy, który zapobiegnie zniszczeniu magazynu paliw i nie dopuści do śmierci broniącej się grupy.

Erkaem zaciął się i wrogowie bez trudu posuwali się w ich stronę. Zostało im niewiele czasu.

Zza linii atakujących, nieco z lewej strony, rozległ się ryk uruchamianych silników. Najpierw jeden, potem drugi, po chwili równo pracowały. Za zbliżającymi się do wału Niemcami zaczął kołować dwusilnikowy heinkel.

Samolot pochylił nos w kierunku żółtej trawy i skierował go na niemieckich żołnierzy. Do ryku silników dołączył się basowy klekot, przypominający pracę młota pneumatycznego.

- Boże drogi... - jęknął Wills. - Kosi ich z karabinów maszynowych... - Linia

atakujących zaczęła się załamywać, Niemcy błyskawicznie się zatrzymali. Heinkel znów zakręcił i szybko kołując, podjechał do magazynu paliw.

- Idźcie, zaraz do was dołączę - zawołał Andrea, któremu udało się już odblokować erkaem. Niemcy nie poddawali się, ich oddział się przeformowywał, wiatr niósł okrzyki podoficerów. Kiedy członkowie oddziału Piorun ruszyli do samolotu, za ich plecami znów zaczął terkotać spandau Andrei.

Otworzyły się drzwiczki i wyjrzał z nich Mallory. Carstairs siedział w kabinie pilota i uśmiechał się dziwnie - niemal jak kot, który zaraz dobierze się do sperki.

- Wszyscy wsiadać - ponaglał Miller, który trzymał w ręku skrzynię z Enigmą.

Mallory wyskoczył z kabiny i poszedł do Andrei. Miller wniósł skrzynię do samolotu i Carstairs przyciągnął ją do siebie. Kiedy Miller pomagał wejść Klitemnestrze, kapitan stwierdził:

- Oj, chyba nie... - W ręku trzymał pistolet maszynowy i choć koniec lufy lekko drżał, gdyby strzelił, bez problemu trafiłby Millera między oczy.

- Że co? - spytał Miller.

- Sześciu ludzi plus pilot to trochę za dużo...

- O czym ty gadasz?

- Nie chcemy chyba ryzykować z tą maszyną, prawda? Komu dziś można ufać?

- Ty draniu! - wykrzyknął Wills. - Ty cholerny, bezduszny...

Miller powstrzymał go.

- Co pan zrobi z maszyną? - spytał.

- Zawiozę aliancom - odparł Carstairs. - Problem tylko w tym, że jeszcze nie wiem którym. Wszyscy chcą ją mieć. Jankesi mają dolary, Rosjanie złoto, nie zdziwiłbym się, gdyby nawet biedni Anglicy schowali do skarpety parę szylingów. A dodatkowo zbytnio się nie lubią. Zorganizuję małą aukcję, to wszystko... A teraz cofnąć się!

Miller ruszył do tyłu, ciągnąc za sobą Willsa i Klitemnestrę. Jego mina nie wyrażała żadnych emocji.

- Do widzenia... - powiedział.

Drzwiczki zatrzasnęły się, silniki zwiększyły obroty i heinkel zaczął się toczyć. Wills unióśł pistolet maszynowy, lecz Miller pchnął mu lufę w dół.

- Nie może mu pan pozwolić odlecieć! To złodziej! Zdrajca! Pan...

- Ciii... - syknął Miller i Wills zauważył, że zbliża się Andrea. - Niemcy sądzą, że wszyscy jesteśmy w tym samolocie.

Heinkel dotoczył się do końca pasa startowego i zawrócił tak gwałtownie, aż uniosło

mu się jedno koło. Kiedy Carstairs otworzył przepustnicę do końca, silniki zaczęły pracować jeszcze głośniej. Samolot nabierał prędkości i z każdą chwilą malał. Ogon uniósł się w górę, koła jakby się znalazły w zawieszeniu i między nimi a pasem startowym pojawił się pasek powietrza. Carstairs przystąpił do chowania podwozia, wystawił rękę z kabiny i zamachał. Samolot nawrócił nad budynkami i poleciał nad morze, ścigany nie mogącymi mu nic zrobić, wybuchającymi daleko za nim, pociskami baterii przeciwlotniczej.

- Cholera... - jęknął Wills. - Niech to cholera!

Heinkel wznosił się stromo w ciemnoniebieskie niebo.

Wkrótce był już tylko małą plamką, zmierzającą na północny zachód - do Włoch. Spiro obserwował go, jakby widział ducha. Jego opadnięta szczęka i obwisłe policzki informowały wyraźnie, co ma na myśli: cały jego wysiłek, znoszenie kapitana Helmholtza, udawanie śpiączki, wspinanie się nocą po linie... wszystko poszło na nic.

Wills nie zamierzał milczeć. Był blady i trząsł się z wściekłości.

- Sir - powiedział do Mallory'ego. - Muszę zaprotestować. Jestem zmuszony powiedzieć panu, że przekażę moim zwierzchnikom raport o tym haniebnym, żalonym... - Nie dokończył, gdyż wiszący na niebie czarny punkt gwałtownie się zmienił, stając się najpierw jaskrawobiałym błyskiem, potem kulą dymu, z której odpadały jakieś elementy, ciągnąc za sobą smugi jak ogoniaste komety. Po chwili doleciał do nich stłumiony odgłos eksplozji. - Wyleciał w powietrze... drań po prostu wyleciał w powietrze...

- O mój Boże... - westchnął Miller. - Naprawdę...

- Ale miał maszynę!

- No tak, domyśliłem się, że coś kręci. - Miller przechylił się nad krawędzią basenu przeciwpożarowego i wyciągnął z wody zawieszony na linie przedmiot... owiniętą w wodoszczelne płótno paczkę. - Enigma jest tutaj, kapitan Carstairs dostał tylko walizkę. Podejrzewam, że ktoś mu coś do niej włożył.

Wills wpatrywał się to w Millera, to w Enigmę: klucz do poznania zamierzeń niemieckiego naczelnego dowództwa, okno, przez które można będzie oglądać tajne reakcje wroga na utworzenie alianckiego drugiego frontu, co miało lada chwila nastąpić.

- Jeśli chodzi o grę w trzy karty, to kapral Miller jest mistrzem świata - oznajmił Mallory.

- Teraz poszukajmy kryjówki, aby w niej przeczekać do wieczora.

Twarz Spira wyglądała jak bryła spoconego smalcu.

- Kryjówki? Oszalałeś chyba. Oni wszędzie szukają, znajdą nas, złapią. Jesteśmy martwi, drogi chłopcze.

- Mów za siebie - przerwał mu Miller. - Ja tam jeszcze żyję i podejrzewam, że wszyscy na tej pięknej wyspie uważają, że byliśmy w tym samolocie.

Na twarzy Spira nagle pojawił się wyraz nadziei i oczekiwania.

- A niech mnie! Na Boga wszechmogącego, masz rację!

Andrea zszedł z obwałowania.

- Nadchodzą - oświadczył krótko.

- Czas iść - stwierdził Miller i popatrzył na zegarek. Przemknęli jak cienie i już ich nie było.

Feldfelbel Braun podszedł do obwałowania magazynu paliw ze zwykłą dla niego energią. Jego oddział był rozproszony zgodnie z zaleceniami w podręczniku taktyki w wypadku zagrożenia ostrzałem przez wroga. Na terenie magazynu w pewnym momencie ucihła strzelanina i w końcu intruzi odlecieli samolotem. W ostatnich dniach pojawiło się mnóstwo dezorganizacji i nieprzyjemności i Braun już się nie mógł doczekać, kiedy życie wróci do normy, regulamin znów będzie przestrzegany, a ilość działań bojowych spadnie do minimum.

Lecko pochylony - bardziej z przyzwyczajenia niż w oczekiwaniu wrogiego ognia - krótkimi, książkowymi skokami doprowadził swoich ludzi do obwałowania i następnie na teren magazynu paliw.

Nie było tam nikogo. Braun poszedł między poustawiane jedna na drugiej beczki. Pozostały tu ślady intruzów - łuski, cynfolia po czekoladzie - ale oni sami zniknęli. Zachichotał na myśl, że przecież zniknęli także dosłownie... w eksplodującym samolocie. Pozostały jedynie beczki, wyglądające nieco jak karpy ściętych drzew jakiegoś metalowego lasu.

Przy jednej z „karp” rósł „grzyb”. Braun podszedł sprawdzić, co to może być. Przyjrzał się dziwacznej brązowej narośli, z której wystawał przypominający długopis przedmiot z czarnym poprzecznym paskiem.

Otworzył usta, by krzyknąć, ale nie zdążył.

Oznakowany na czarno zapalnik ołówkowy powodował opóźnienie wybuchu o dziesięć minut przy temperaturze dwudziestu pięciu stopni Celsjusza. Ponieważ był bardzo ciepły poranek, czas trochę się skrócił. Kiedy Braun ruszył ku beczce, wybuchła mu w twarz.

Usłyszeli odgłos eksplozji, siedząc w głębokiej dziurze w kępie trzciny. Suche źdźbła zasyczały i zatrzęśły się, nad ich głowami przeleciała fala gorącego powietrza, za nią niósł się smród spalonej trawy. Potem w niebo buchnęła chmura dymu, która zasłoniła słońce.

Mallory położył głowę na plecak i wyjrzał zza skraju zagłębienia. Stał tam na warcie

Andrea. Jeśli jest się już martwym, nie można zginąć - pomyślał i zasnął.

Słońce zachodziło, kiedy z mokradeł wyszło czterech esesmanów i dwoje cywilów. Ruszyli wzdłuż ogrodzenia lotniska, biegnącego równoległe do plaży. Doszli do miejsca, gdzie siatka było pogięta, a słupki potopione z gorąca. Motorówka stała tam, gdzie ją zostawili. Akropol tonął w ciszy.

Mallory z szacunkiem położył Enigmę na dnie motorówki, otworzył pokrywę silnika i zamocował zabraną poprzednio część. Uruchomił silnik, który zaskoczył z kasznięciem i po chwili zaczął równo pracować.

- Ładna noc na próbne odpalenie rakiety - stwierdził Miller. Niebo wyglądało jak wielka aksamitna kopuła, wysadzana igielkami gwiazd. Popatrzył na zegarek. - Musieli znaleźć ładunki, powinny wybuchnąć przynajmniej osiem godzin temu.

- Zrzucaj cumy - odparł Mallory.

- Wer da? - dobiegło od strony brzegu i nagle w ciemności pojawiły się postacie. Były ich dziesiątki i stały tak gęsto, że migoczące na hełmach i karabinach błyski światła zdawały się zamykać małą grupkę ciasną obręczą. Mallory miał pustkę w głowie. Jego oddział był zmęczony, słaby i bez najmniejszej szansy na uniknięcie identyfikacji, a mieli przy sobie najtajniejszą maszynę świata...

- Wychodzić z motorówki! - padło z ciemności.

- O czym wy mówicie? - blefował Mallory.

- Dokumenty!

- Idź do diabła. Porozmawiaj w tej sprawie z Hauptmannem Wolfem.

- Hauptmann Wolf nie żyje. Na szczęście. Wysiadać! - powtórzył cień.

Nagle cień przestał być cieniem.

Wyspę rozjaśnił gigantyczny biały błysk. Oświetlił bladym, trupio bladym, światłem poskręcaną siatkę ogrodzenia, rzucił cienie żołnierzy plutonu na osmalone obwałowanie byłego magazynu paliw i niczym słońce w zenicie rozjaśnił ciemną powierzchnię wody i białe jak cukier budynki Akropolu.

Po błysku nadleciała fala uderzeniowa, która przewróciła niemal wszystkich stojących na plaży niemieckich żołnierzy. Motorówka wystrzeliła w górę i natychmiast opadła, odbijając się od skraju nabrzeża. Kiedy błysnęło, siedzący w niej ludzie byli odwrócony tyłem do źródła światła, a chcący ich skontrolować żołnierze - zwrócony do niego twarzami. Ci ostatni natychmiast oślepli.

- Musimy jechać na pomoc! - ryknął Mallory. - Szybko!

Silnik zadudnił, woda spieniła się pod kadłubem i motorówka odbiła od nabrzeża,

ruszając w kierunku apokaliptycznego zjawiska.

Góra płonąła. Z tuneli, szybów i galerii wylatywały jężory płomieni i snopy iskier, a z wierzchołka, gdzie w pobliżu miejsca startowego prawdopodobnie mieścił się magazyn tlenu, wystrzeliwały wysoko w niebo olbrzymie, skręcające się strumienie ognia, które u szczytu się rozdzielały, gasły i przechodziły w gęsty dym, rozprzestrzeniający się nad wyspą i morzem niczym czarny sufit.

- Efektowne, kapralu Miller - stwierdził Mallory.

- Urodziłem się czwartego lipca.

Kiedy sterowana przez Willsa motorówka prawie docierała do nabrzeża po drugiej stronie zatoki, ostro skręciła, popłynęła kawałek wzdłuż wschodniego brzegu i wypłynęła na otwarte morze.

Na szczęście nie było nikogo, kto mógłby obserwować takie drobiazgi - wszystkie oczy patrzyły na górę na Antykyntos, która ponownie wybuchła.

Wkrótce odgłos silnika motorówki ucichł w ciemnościach.

Dwie godziny później czekali na umówionym miejscu, unoszeni długimi, szklistymi falami morza. Andrea wyjął z plecaka butelkę brandy i puścił ją w ruch. Miller znalazł w skrzynce pod ławką żyłkę i haczyki, zrobił więc wędkę i zarzucił ją. Palił, niby obserwował szałwika, ale tak naprawdę podrzemywał. Mallory leżał oparty o komorę silnikową z zamkniętymi oczami. Spiro siedział drżąc, niespokojnie patrzył to na lewo, to na prawo - w świetle latarni na krótkim maszcie jego twarz wyglądała, jakby miał żółtaczkę. W cieniu przycupnęli trzymając się za ręce Wills i Klitemnestra. Wills zdawał sobie sprawę, że wiry wojny, które połączyły jego i Klitemnestrę, wkrótce zaczną ich pchać w różnych kierunkach. Powinien być zadowolony, że ta długa i męcząca akcja się kończy, ale zamiast tego - niezależnie od zmęczenia, bólu i siniaków - było mu smutno.

Miller właśnie śpiewał pod nosem „Masz za duże stopy” i wyciągał żyłkę, kiedy niedaleko wzburzyła się woda i na tle nocy zamajaczył długi czarny kontur. Po wodzie dobiegło do nich pytanie:

- Któryś z was nazywa się Mallory?

- Tak, ja!

- No to chodźcie. Herbata się parzy. - Po chwili usłyszeli jeszcze: - Strasznie tu śmierdzi dymem.

Mallory popatrzył na pomarańczowy blask nad obiektem, który jeszcze niedawno był fabryką rakiet V4.

O stalową blachę załomotały buty, klapnął otwierany luk, zawyły pompy tłoczące

wodę do zbiorników balastowych. Potem wszystko umilkło - słycać było jedynie cichy pomruk dieslowskich silników i potężny, wieczny szum morza.

EPILOG

Słońce rozświetlało szmaragdowozieloną łąkę, służącą jako boisko do krokieta. Na skraju stała niewielka figurka w nienagannym mundurze letnim: kapitan Jensen, który już nie był kapitanem, o czym świadczył jarzący się w blasku promieni nowy otok na rękawach i czapce. Obecni byli także Andrea, Mallory, Miller i Wills, który czuł się nieco nieswojo w obecności takiej szycy - wymizerowani, z zapadniętymi oczami, sprawiający wrażenie zaniepokojonych, jakby na coś czekali.

Oficjalna odprawa dotycząca akcji już się zakończyła, a Enigma leciała na pokładzie hurricane'a pod liczną i dobrze uzbrojoną ochroną do miejsca, gdzie zajmą się nią specjaliści.

- No to by było na tyle - stwierdził Jensen.

Mallory milczał. Niepolitycznie byłoby wspominać o admirale Dixonie, nie interesowało go jednak uprawianie polityki. Rola, jaką odegrał Carstairs, już została wyjaśniona - najpierw był kłopotem, potem niebezpieczeństwem, w końcu okazał się zdrajcą, a był pomysłem Dixona.

- Spodziewaliśmy się, że będzie tu dziś admirał Dixon - powiedział.

Jensen uśmiechnął się swym niepokojącym tygrysim uśmiechem.

- Mogłem się o to założyć - odparł i Mallory, jak często w obecności swego dowódcy, natychmiast pojął, że został wymanewrowany i pokonany przez mistrza. - Tak a propos to nie admirał Dixon, a kapitan marynarki Dixon w stanie spoczynku. - Popatrzył na galon na swoim rękawie. Do węższych złotych pasków doszedł nowy szeroki. - Nie ma miejsca dla zbyt wielu admirałów...

Popatrzyli na niego - wielki Andrea, wyglądający na słonecznym tle jak góra, Miller z rękami w kieszeniach, sprawiający wrażenie na pół śpiącego, i Mallory o wychudłej z niedojadania i zmęczenia twarzy. Jensen już taki był. Choć wszystko wskazywało na to, że grają na Kynthos w jedną grę i grali najlepiej, jak umieli, tak naprawdę byli także pionkami w innej grze - intrydze szefa przeciwko Dixonowi...

- Popatrzcie na niego - Jensen skinął na Willsa. - Jego to nie rusza.

Wills nie słuchał, wrócił myślą do chwili w wieżycze okrętu podwodnego, kiedy Klitemnestra ostatni raz ścisnęła go za rękę i popłynęła z powrotem, w kierunku Parmatii. Zawierzenia wojny rozdzieliły ich, ale kiedy nastąpi pokój i wszystko się uspokoi, wróci... Otrząsnął się, bo Jensen chyba coś mówił.

- No tak - powiedział obcesowo. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy, prawda?

- Tak jest, sir - odparł Mallory.

- Bardzo się cieszę, że was widzę. Naprawdę. Szczególnie dziś, tak się bowiem składa...

- O nie! - przerwał mu Miller. - Proszę, tylko nie to.

Andrea wbijał wzrok w Jensena, Mallory otworzył usta, by coś powiedzieć, Jensen jednak uniósł dłoń i dokończył:

- ...że mam dla was robotę. Naprawdę, małą. Tak sobie pomyślałem, że jeśli już tu jesteście, to...

Mallory westchnął.

- Wysłuchamy pana z najwyższym zaciekawieniem, ale pod warunkiem, że dostaniemy brandy.

- Dużo brandy - dodał Andrea.

- Pięciogwiazdkowej - zażądał Miller. - Prosto z beczki.

- Oczywiście - odparł Jensen. - Robi się. Napijcie się i zaczynamy.

ALISTAIR MACLEAN

Nieżyjący szkocki autor niezwykle popularnych powieści przygodowych i wojennych, które weszły do kanonu literatury tego gatunku. Urodził się w 1923 roku; w wieku 18 lat wstąpił do Marynarki Królewskiej; ponad dwa lata służył na pokładzie krążownika. Po wojnie, po ukończeniu z wyróżnieniem Glasgow University, pracował jako nauczyciel w gimnazjum dla chłopców. Powieść wojenna „H.M.S. Ulisses” (1955) ukazująca bardzo realistycznie przejścia załogi krążownika uczestniczącego w konwoju przewożącym broń i wyposażenie do radzieckiego Murmańska przyniosła pisarzowi uznanie krytyków, niezależność finansową oraz popularność w Wielkiej Brytanii. Druga książka „Działa Nawarony” (1957) uczyniła z MacLeana autora światowej sławy; doczekała się też nie mniej sławnej ekranizacji z aktorami tej miary co Gregory Peck i David Niven. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych MacLean wyspecjalizował się w pisaniu książek przygodowych i thrillerów, stając się szybko najchętniej czytany autorem tego gatunku na świecie. Jego utwory przetłumaczono na kilkadziesiąt języków, a wiele z wydanych przez niego 28 powieści zostało sfilmowanych. Oprócz „Dział Nawarony” do najgłośniejszych ekranizacji należały „Tylko dla orłów” z Richardem Burtonem i Clintem Eastwoodem, „Komandosi z Nawarony” z Harrisonem Fordem, „Stacja arktyczna Zebra” z Rockiem Hudsonem, „Czterdzieści osiem godzin” z Anthonym Hopkinsem, „Przełęcz Złamanego Serca” z Charlesem Bronsonem.

Przez kilkanaście lat MacLean mieszkał w jugosłowiańskim Dubrowniku. Tam powstały jego późniejsze, słabsze powieści, m.in. „Partyzanci” (1982), „San Andreas” (1984) i ostatnia, „Santorini” (1986). Pisarz zmarł w Szwajcarii na atak serca w lutym 1987 roku.

SAM LLEWELLYN

Autor serii książek przygodowych o tematyce morskiej, m.in. Hell Boy, Maelstrom, Riptide i The Shadow in the Sands. Na zlecenie spadkobierców Alistaira MacLeana i wydawnictwa HarperCollins napisał dwie powieści stanowiące kontynuację „Dział Nawarony” Alistaira MacLeana: „Huragan z Nawarony” (1997) i „Piorun z Nawarony” (1998). Od lat uprawia żeglarstwo; odbył rejsy do wielu zakątków świata.